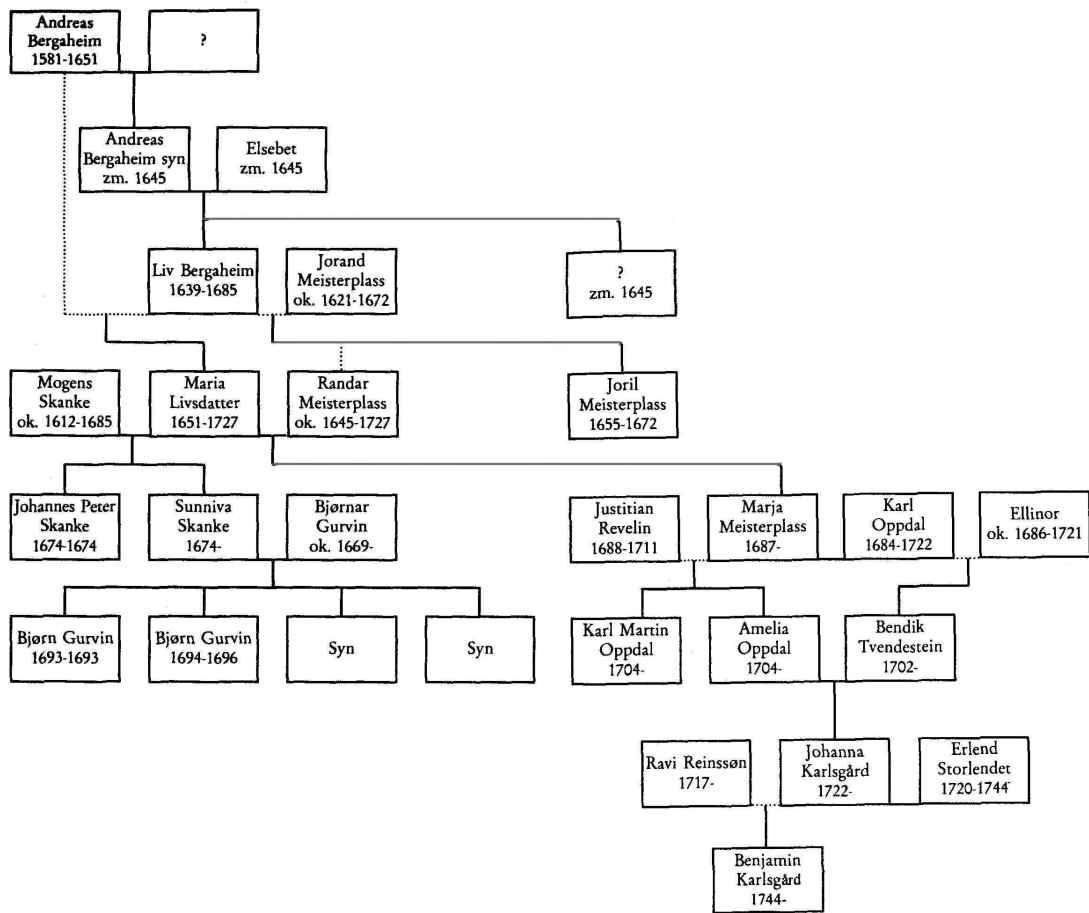


**MAY GRETHE LERUM**

**CIEMNE MOCE**



## ROZDZIAŁ I

Niepogoda nie przykrzyła się Raviemu, przeciwnie, lubił szum wiatru w koronach drzew i miarowe uderzenia deszczu o gładkie liście. W szałasie w taki czas zawsze robiło się nieco wilgotno, lecz obaj mężczyźni przeciągnęli swoje sienniki na środek, bliżej ognia.

Gunnelius zdobył gdzieś dzban mocnego piwa i zasnął, jeszcze zanim zagotował się garnek z owsianką. Ravi musiał więc jeść sam i z całych sił się starał, by nie ulec irytacji wywoływanej chrapaniem starego.

Możliwe, że Johanna dziś wieczorem zostanie w domu, chociaż to ich dzień. Mogłaby mieć kłopoty z wytłumaczeniem się, gdyby ktoś zobaczył, jak wraca do domu mokra niczym przytopiony kot. A może na Karlsgård i tak o wszystkim już wiedzą? Jej matka zapewne czegoś się domyśla, podobno tak już bywa z matkami, ale Johanna nigdy nie wspominała o tym ani słowem, nigdy nie mówiła, co się dzieje w domu. W ogóle niewiele się odzywa, gdy jesteście razem, pomyślał Ravi z uśmiechem. Pewnie dlatego było im ze sobą tak dobrze.

Johanna się zmieniła.

O, tak, była teraz całkiem inna.

Jakby bardziej pewna siebie, mniej bojąca się wszystkiego. Johanna często odczuwała strach i nieraz wprawiała Ravięgo w prawdziwą rozpacz, najczęściej bowiem lękała się takich rzeczy, którym nikt nie jest w stanie zaradzić, a pytania, jakie zadawała, były z rodzaju tych, na które nikt nie zna odpowiedzi.

Teraz chyba żyła bardziej codziennym dniem. Dawno już nie widział, by jej dziwne, różniące się od siebie kolorem oczy świadczyły o ponurym, bezsensownym zamyśleniu nad tym, co może się wydarzyć...

Może odmieniło ją dziecko?

Ravi posmutniał na tę myśl.

Być może gdyby wówczas po prostu z nią pojechał, wszystko byłoby o wiele prostsze. W każdym razie nie spotkałby wtedy Heleny.

Odstawił zniszczoną miszkę, niemal do czysta wyskrobawszy ją palcem, który potem oblizwał.

Bębnienie padającego deszczu zmieniło się w jednostajny szum. Był to lekki letni deszcz, lecz wiatr potrafił zasieć nim w twarz wędrującego po dworze pechowca. Może powinien wyjść Johannie naprzeciw? Nie, ona na pewno dziś nie przyjdzie, a trudno się

będzie potem wysuszyć, bo drewno przy szałasie było świeże, tego zaś, które mieli wyschnięte, musieli oszczędzać, żeby choć od czasu do czasu zjeść ciepły posiłek.

Wyciągnął się na sienniku. Jeśli ona naprawdę przyjdzie, w niczym nie będzie mu przeszkadzać, że zmoknie. W szałasie z gałęzi nie było teraz zbyt przyjemnie, lecz, o dziwo, gdy tylko towarzyszyła mu tam Johanna, nie potrafił sobie wyobrazić lepszego miejsca do spędzenia zimnej, wilgotnej nocy na zachodzie kraju.

Usłyszała chrapanie już z odległości wielu kroków i nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Biegła tak prędko, że wydawało się, iż uderzenia wiatru nie są w stanie jej dosięgnąć, i mokre miała jedynie ramiona i kraj spódnicy. Szare niebo rozjaśniło się przed nocą i już wkrótce pogoda miała się poprawić. Niech sobie będzie, co ma być, przynosiła ważne nowiny.

W duszy jej śpiewało ze wzburzenia przemieszanego z radością. Marja wróciła do domu! I wszystkie rzeczy udało się uratować! No cóż, przynajmniej to, co posiadało jakąkolwiek wartość, dającą przeliczyć się na pieniądze.

I Karl!

Matka objęła go z płaczem i nie chciała puścić. Twarz tego obcego mężczyzny miała wiele jej rysów. Johanna ze zdumieniem stwierdziła, że, prawdę mówiąc, brat i siostra są jakby swoim lustrzanym odbiciem.

- Są teraz jeszcze bardziej do siebie podobni niż w dzieciństwie - odkryła z zadowoleniem Marja.

Stała w koronie przetykanych siwizną włosów i mocno trzymała Amelię, swoją córkę, za rękę, jakby ta wciąż była małym dzieckiem.

Johanna dostrzegła na twarzy matki radość, jaką wywołało przybycie Marji, lecz rysowało się na niej coś jeszcze, jakiś lęk, jak gdyby Marja nie była jedynie ukochaną, wytęsknioną matką. Amelia podawała jedzenie drżącymi rękami i słała bratu długie spojrzenia, jakby dopraszała się z jego strony uznania za wszystko, co robiła.

Mimo to jednak przeważała radość. I ucztą na Vildegård dopiero się zaczęła. Johanna, napotkawszy spojrzenie Marji, odniosła wrażenie, że między nimi dwiema popłynęły jakieś nie wypowiedziane słowa. Jak gdyby odwiecznym pragnieniom, na których realizację brakowało jej odwagi, pomogła urodzić się kobieta, będąca świadkiem tylu narodzin.

*Masz walczyć i nie wolno ci zadowolić się niczym mniejszym niż całkowite zwycięstwo.*

*Masz zrobić to, czego przez cały czas pragnęłaś.*

*Potem załatwimy sprawy z resztą świata, Johanno.*

Być może tak jej się tylko wydawało, być może tę właśnie myśl starała się zwalczyć podczas schadzek w szałasie Ravięgo, schadzek, które za każdym razem stawały się coraz gorętsze.

Ale teraz nie zabraknie jej odwagi.

Miała głębokie przeświadczenie, że i jemu także. Jakże on się zmienił, myślała Johanna. Nie jest już taki ponury i przestał się przed nią ukrywać. Tak, Ravi się odmienił, śmiał się częściej i umiał rozmawiać o codziennych sprawach, łatwo mogła się przy nim rozluźnić. Okazywał jej też większą czułość, potrafił godzinami siedzieć i tylko bawić się jej włosami, całować wewnętrzną stronę ramion albo wręcz drzemać, delikatnie ją obejmując.

Może to dlatego, że został ojcem? Johannę ukłuło w sercu. Ravi zbyt rzadko widywał Benjamina, ale dziecko już wiedziało, kto jest jego ojcem, i te kilka razy, gdy odważyła się je zabrać z sobą, nazywało go tatą.

Teraz rozpocznie się inny taniec!

Johanna podciągnęła czerwoną spódnicę z grubej wełny i sprężystym krokiem pobiegła przez ciężkie od deszczu zarośla. Roześmiała się tylko, gdy jakiś spłoszony ptak poderwał się w górę, wykrzykując swój strach prosto w jej ucho.

Przysiadł na gałęzi w pobliżu. Zrozumiał widać, że młoda zakochana kobieta nie stanowi żadnego zagrożenia.

- Hanno moja! Nie sądziłem, że przyjdiesz, w taką pogodę...

- A kogóż obchodzi pogoda? Mam wspaniałe nowiny! To wręcz nieprawdopodobne, nie uwierzysz, to wprost...

- Zaczekaj chwilę, spokojnie. Zachowujesz się, jakbyś oszalała!

Roześmiał się, a potem długo całował. Za ich piecami Gunnelius posapywał niczym stary nieszczęsny piec.

- Chodź - szepnął Ravi. - Jeśli przynosisz takie ważne nowiny, to musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie możemy być sami. Ale boję się, że w naszej chatce jest mokro...

- Wcale tam nie pójdziemy - oświadczyła Johanna tajemniczo.

Ravi popatrzył w jej niezwykle żywe oczy. Błyszczały jakby nieco żartobliwie, podobny wyraz pojawiał się w nich wówczas, gdy byli razem, a ona pragnęła dalszych pieszczot.

- Pójdiesz dzisiaj ze mną na Vildegård, Ravi! Drgnął, jak gdyby zamiast łagodnie musnąć palcami jego policzek podrapała go do krwi paznokciami.

- Co ty mówisz, moja Hanno? To przecież niemożliwe, sama twierdziłaś...

- Wszystko się zmieniło, Ravi! Nigdy nie zgadniesz, co się stało!

- Licytacja... Dwór... pewnie jest już sprzedany, ale...

- Marja wróciła do domu!

Johanna znów rzuciła mu się na szyję, ze śmiechem pocałowała go pod uchem. Ravi zachwiał się, ręce zrobiły się nagle takie dziwne, Zesztywniałe, zdołał jednak jakoś objąć ją i mocno przytulić.

- Marja... Ale...

- Marja i Karl! Mój wuj, pamiętasz? Karl Martin!

- Ten malec, który chciał zabić wójta... Tak, coś tam o nim słyszałem.

- Ludzie chyba niemal całkiem już go zapomnieli, lecz Marję przecież znasz! I teraz znów się z nią zobaczysz. Wiesz, ona jest tak samo piękna jak kiedyś, chociaż wkrótce już będzie miała sześćdziesiąt lat. Musisz się dobrze pilnować, mój kochany, bo wydaje mi się, że dość w niej jeszcze zostało z kobiety, by wszyscy mężczyźni w tej wiosce ją sobie przypomnieli! Niejeden w bezsenne noce gotów był oddać życie za to, by chociaż jej posmakować. Puściła go nagle.

- Ach, przepraszam... zapomniałam... Nie chciałam...

Ravi tylko kiwał głową, uśmiechał się do niej zaskoczony całą tą opowieścią. Johanna chyba się przestraszyła, że sprawiła mu przykrość, lecz on jedynie pokręcił głową. Nie chciał myśleć o ojcu.

Johanna odciągnęła go z dala od szałasów, wrócili na ścieżkę, którą tu przyszła. Ravi stapał ciężko, nogi miał jak z ołowiu, w głowie mu się kręciło. Czuł się jak owca prowadzona na postronku, zaraz też przystanął i zatrzymał Johannę.

- Hanno moja, to spadło na mnie tak nagle... Spostrzegł, że blask w jej oczach nieco przygasa, a uśmiech sztywnieje. Zakłuło go w sercu, lecz nie mógł postąpić inaczej.

- Hanno, ja... nie wszystko rozumiem, chyba muszę nad tym trochę pomyśleć...

- A nad czym tu myśleć? - przerwała mu.

- Chodzi mi o... Nie rozmawialiśmy przecież o tym, co powinniśmy zrobić. Nie wiem, co wymyślą ludzie ze Storlendet, kiedy tak nagle zobaczą, że jestem cały i zdrowy. Oni chyba wciąż uważają, że to ja...

Johanna mocno wciągnęła powietrze w płuca, Ravi zorientował się, że podejmuje wszelkie wysiłki, byle tylko nie stracić dobrego humoru.

- Przepraszam - powiedziała wreszcie i usiadła na pniu zwalonego drzewa.

Ravi zobaczył, jak wilgoć natychmiast wsiąka w wełnianą spódnicę, materiał na tle drewna wyglądał jak zakrzepła krew. Przysiadł jednak przy Johannie.

- Chyba się zanadto pospieszyłam. Zaraz usłyszysz więcej. Nie masz przecież pojęcia o wszystkim, co się wydarzyło. To fantastyczne...

I rzeczywiście zaraz się dowiedział o pełnej dramatyzmu chwili, gdy okazało się, że obcy mężczyzna, który wykupywał wszystko, i towarzysząca mu kobieta to matka i syn z Karlsgård. Nie zdołali ocalić dworu, nie został bowiem wystawiony na sprzedaż, lecz całe piękne umeblowanie i większość kontraktów dzierżawnych przeszła w ich ręce, a żadne z przepięknych sreber Amelii nie wpadło w szpony Magnusa Storlendet.

- Ten tłusty łajdak dobrze sobie nabił sakiewkę talarami, ale niech i tak będzie, one nikomu nie przyniosą szczęścia, są brudne, oszukane - splunęła Johanna. - Zostało nam tyle, że sobie poradzimy, a ojciec już mówi o rozbudowie Vildegård. Karl Martin ma widać dość pieniędzy, my zresztą też nie zostaliśmy z pustymi rękami, możemy sprzedać te dwie małe zagrody, może las i tereny na wyżynach. Przekonasz się, że ród z Karlsgård przetrwa i zostawi po sobie ślady tu, w Lyster.

Ravi pokiwał głową. To brzmiało rzeczywiście jak baśń, lecz z każdym wypowiedzianym przez Johannę słowem coraz lepiej uświadamiał sobie coś jeszcze.

Złożył Helenie obietnicę.

A teraz zrozumiał, że Johanna nigdy nie zwołniła go z przyrzeczenia, które dał jej kiedyś, już dawno temu.

Żonaty nie był z żadną z nich.

Lecz obie sobą naznaczył.

Umilkł, siedząc tak obok niej, i docierały do niego zaledwie oderwane, pojedyncze słowa o planach, jakie przed nim roztaczała.

Nagle Johanna szturchnęła go w bok. Drgnął wystraszony.

- Co się stało, Ravi? Nie cieszysz się? Nie rozumiesz? Marja wróciła do domu! Jestem pewna, że w tej parafii niewielu znajdzie się takich, którzy ośmielą się jej sprzeciwić! W każdym razie nie teraz, gdy wróciła do domu jak jakaś królowa, obładowana kosztownościami i pieniędzmi. Magnus ze Storlendet już nigdy nie odważy się nam dokuczać, dobrze mu zapłaciliśmy. I żaden człowiek nie będzie mógł zaświadczyć przeciwko twoim słowom, jeśli przysięgniesz, że nie zabięś Erlenda!

Ravi wolno obrócił się w jej stronę. Z jego niczym nie zakrytych włosów skapywała woda, błyszczące krople spływały po brązowej skórze w dół, ściekały w krótką czarną brodę. Oczy znów zapadły się głęboko pod brwiami i Johanna niemal wystraszyła się ich wyrazu.

- Ja... ja nie wiem. To takie... trudne. Hanno, nie mogę teraz z tobą iść. Muszę przetrwać wszystko to, co mówisz. I... nie wiem, czy przyda ci się taki mąż jak ja, bez względu na wszystko. Nigdy nie będzie ze mnie porządny gospodarz, dobrze o tym wiesz.

- Ja nie chcę żadnego gospodarza, chcę ciebie! I myślałam, że ty chcesz mnie, Ravi! Po cóż innego byś tu przywędrował, jak nie za nami?

Pytanie zawisło między nimi w powietrzu niczym miecz, ostry, błyszczący, nie dający się nie zauważyć.

Ravi z trudem przełknął ślinę. Mrugając, chciał pozbyć się ciężkich kropli deszczu, czuł, jak całe ciało ogarnia paraliżujące zmęczenie. Pierwszy widać zdrętwiał mu język.

Johanna powtórzyła pytanie, przesycone teraz rozpaczą:

- Odpowiedz mi, dlaczego za nami przyszedłeś? Ty... ty... Mówiłam ci przecież, że więcej tego nie zniosę! Dobrze wiesz, że nie mam siły na żadne kolejne rozstanie!

- Hanno, ja... jestem po prostu głupcem. Bezmyślnym... Po prostu nie mogłem tego nie zrobić, ale nie mogę też... przynajmniej nie dziś wieczorem. Musisz teraz wrócić do domu, Johanno. Musisz iść... do swoich.

Johanna zasłoniła twarz rękami, lecz nie widać było, żeby płakała. Napięte mięśnie dłoni i ramion świadczyły o gniewie, nie trzęsły się bezradnie. Ravi tak chciał objąć ją, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że nie pragnie niczego bardziej, niż być przy niej, przy synu, w spokoju przez całe życie.

Nie mógł jednak tego zrobić.

Nie mógł tego zrobić, dopóki nie rozmówi się z Heleną.

Od wyjścia z domu nie widziała czerwonej spódnicy, lecz w środku lasu usłyszała krzyk spłoszonego ptaka, a gdy jeszcze trochę przyspieszyła, dostrzegła jakąś istotę biegnącą między drzewami. Johanna! Helena zwolniła kroku, zdumiona, że zmierzały tą samą drogą. Gdy jednak Johanna zboczyła ze ścieżki i wbiegła między dwie wysokie brzozy, prawda uderzyła Helenę niczym błyskawica.

Przyszły tu w tej samej sprawie.

Johanna wiedziała o Ravim.

To do niego chodziła w te wszystkie wieczory.

Helena nie pozwoliła, by ta prawda dotarła dalej niż do głowy, mocniej tylko zacisnęła ręce na brzegu spódnicy, starając się biec za drugą kobietą najciszej jak się dało.

Ukryła się za drzewem na skraju polany. Z szałasuszączył się dym. Widziała, jak Ravi wychodzi, zanim Johanna dotarła do szałasus.

Objęli się, Helena usłyszała śmiech Johanny i jej pełen zapachu jasny głos.



Stała nieruchomo, wstrzymując oddech tak długo, jak trwał pocałunek.

Usiedli na pniu drzewa, na którym ona sama tyle razy odpoczywała również razem z Ravim. Właśnie tutaj siedzieli, kiedy położył jej rękę na brzuchu i powiedział, żeby się niczego nie bała, że wszystko będzie dobrze, że on się o nią zatroszczy.

Przekłeta głupia baba, powiedziała cicho i uszczypnęła mocno cieniutką skórę na wewnętrznej stronie ramienia. Usłyszała własne zgrzytanie zębów, lecz nie zwracała uwagi ani na nie, ani na ból. Wzrok utkwiała w parze siedzącej na pniu, starając się wychwycić wszystko, co oni do siebie mówili.

Głupia baba, powtórzyła bezgłośnie, tym razem nie siebie mając na myśli.

A więc Johanna wyobrażała sobie, że on przywędrował tu właśnie za nią!

Gdy tylko pomyślała to do końca, pojawiło się podejrzenie.

Czy możliwe, by miała rację?

Helena poczuła zaciskający się w środku węzeł. Dziecko poruszyło się w brzuchu, a jego ruch tylko wzmógł jej gniew.

Na wszystkie demony piekieł, on jej za to odpłaci! Wydrapie mu oczy, obetnie mu ten fałszywy język!

Jemu i Johannie, tej kłamliwej dziwce, tej, która tak słodko mówiła o pomocy, o przyjaźni, o tym, że dziecku będzie u niej dobrze, że zatroszczy się o to, by Helena mogła teraz żyć szczęśliwym, porządnym życiem!

Nie mogła się powstrzymać, musiała wbić te swoje białe ząbki w niego znów, i to akurat w momencie, gdy on zaczął jakoś dochodzić do siebie i wreszcie uświadomił sobie, czego tak naprawdę chce.

Helena zobaczyła, że wstają. Pewnie teraz on znów ją pocałuje, a potem pójdzie na Vildegård i zostanie przyjęty jak marnotrawny syn. Pewnie wkrótce zapomni i o niej, i o dziecku, które nosiła w łonie. Johanna zapewne nie będzie chciała mieć z dzieckiem nic do czynienia. Kupiła je sobie wyłącznie jako pamiątkę, kiedy myślała, że Ravi spoczywa gdzieś martwy i zimny, nie będąc w stanie spłodzić już nigdy więcej żadnego dziecka.

O, jeszcze się przekonają!

Helena zacisnęła pięści i uderzyła nimi mocno o własne ciało.

Pożalają, nędznicy!

Oszustwo. Oszustwo i zdrada.

Miała ochotę karać się przez całą wieczność za to, że okazała się na tyle głupia, by uwierzyć, że świat jest inny.

Ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę dwojga ludzi, którzy najwyraźniej nie mogli się sobą nasycić.

Zawołała:

- Ach, tak! A więc nie tylko jedna kotka szuka dzisiaj chłopa? I to przy takiej pogodzie! Johanno, nie boisz się o swoją jedwabną bluzkę?

Z zadowoleniem zobaczyła, jak odrywają się od siebie, tak gwałtownie jak gdyby pastor we własnej osobie zaskoczył ich na popełnianiu grzechu.

- Nie, nie, nie będę wam przeszkadzać. Zjedz go sobie, Johanno, zostaw mi tylko jakieś marne resztki, jak to masz w zwyczaju!

Johanna otworzyła usta, lecz widać żadne rozsądne słowa nie przysły jej do głowy. Helena zirytowana zobaczyła, że Ravi robi krok w jej stronę i staje między dwiema kobietami, jak gdyby bał się, że rudowłosa zaraz rzuci się na Johannę, by wyrwać jej serce z piersi.

- Heleno! Co... ty... ale...

Helena odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem. Poczowała, że włosy lepią jej się do policzków.

- A więc taka jest twoja tajemnica, Ravi! To dlatego nie wolno mi było opowiedzieć Johannie o tobie. Tak, powinnam to była już wcześniej zrozumieć. Pojąc, że miałeś zupełnie inne plany.

- Heleno, musimy o tym porozmawiać na spokojnie, musimy...

- Ach, zamknij się, babo! Nie ma o czym rozmawiać. On mnie oszukał, a sądząc po twojej baraniej minie, omamił i ciebie. A może ty o wszystkim wiedziałaś? Może uknułiście to we dwoje? Wspólnie postanowiliście wykołować głupią Helenę, żebyście mogli...

- Heleno, a co by nam z tego przyszło? Okazałam ci gościnność, nigdy nie usłyszałaś ode mnie złego słowa, chociaż przybyłaś tutaj jako dziwka mojego męża, z jego dzieckiem w brzuchu. Potraktowałam cię jak zwyczajnego dobrego człowieka!

- Tak, tak, twoja miłość bliźniego nie zna granic, Johanno, ale nie założyłabym się bodaj o kosmyk włosów, gdyby ktoś powiedział, że się przy tym nie bawiłaś!

Ravi sprawiał wrażenie, jak gdyby nie pojmował przedstawienia rozgrywającego się na jego oczach. Cofał się wolno, aż wreszcie pięty uderzyły o pień drzewa, a kolana pod nim ugięły się i osunął się w miejscu, gdzie siedział wcześniej.

Helena nie przestawała krążyć wokół Johanny.

- Czy to nie śmieszne, Johanno? Udawałyśmy wzajemnie przed sobą żalobnice! Obie tak pięknie mówiłyśmy o Ravim, a wszystko to dlatego, że żadna z nas nie miała odwagi, by

podjąć prawdziwą walkę o niego. Sądziłaś, że przegrasz, prawda? Może trochę się mnie bałaś?

Johanna próbowała wyciągnąć do niej rękę.

- Heleno, uspokój się. To jest... bardzo trudne, ale nie wolno nam zapominać, że...

- To nie jest ani trochę trudne! Do diabła, jesteśmy jak podniecone suki, ale zaczynam się zastanawiać, czy chce mi się jeszcze walczyć. Do diabła, Johanno, jeśli on woli ciebie, to go sobie weź! - Gwałtownie odwróciła się do Ravięgo. - Ale nie licz na to, że jeszcze długo będzie ci grzał łóżko. Helena nie tak łatwo zapomina o zdradzie, a noża nikt mi nie odbierze!

Ravi poruszył głową, jak gdyby chciał się pozbyć natarczywej muchy.

Johanna skrzyżowała ręce na piersi.

- Doprawdy, masz rację, Heleno. My dwie nie będziemy się ze sobą bić. To ty, Ravi, musisz rozstrzygnąć. Od jak dawna to już trwa? Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? Jak mogłeś tak oszukiwać nas obie? Do diaska, rozumiem teraz, dlaczego się nie ucieszyłeś! Nigdy nie chciałeś zostać ze mną, czy tak? Być może właśnie za Heleną tu przyszedłeś i nie śmiałeś mi o tym powiedzieć?

Helena uśmiechnęła się. Dla Ravięgo gniew Johanny był niczym ukłucia sztyletu. Drżał teraz cały, nie będąc w stanie wydusić z siebie ani słowa. Zaatakowała go z drugiej strony.

- Ciągniesz za sobą jedynie brud, Ravi. Piękne słówka i to, co masz między nogami, tyle od ciebie dostałam. I nic więcej z tego nie będzie, jeśli natychmiast nie powiesz mi, za którą z nas właściwie tu przyszedłeś!

Zapadła cisza.

Johanna zauważyła, że nawet deszcz ustał.

Ravi podniósł się na chwiejnych nogach. Przenosił wzrok z jednej kobiety na drugą. Johannę zakłuło w sercu, gdy napotkała ból w jego spojrzeniu, lecz gniew i upokorzenie utworzyły twardą tarczę broniącą ją przed wszystkim, co mogłoby wzbudzić w niej litość.

Helena stała wyprostowana, ale na szyi drgał jej mięsień. Johanna wiedziała, że dziewczyna nie potrafi się już dłużej bronić. Dziecko uczyniło ją bardziej wrażliwą, słabszą, może łagodniejszą. Napłynęła kolejna fala wściekłości, doprawdy, cóż to za idiotyczna sytuacja! Czuła, jak policzki jej płoną. Przed oczami stanęła jej Marja, poczuła na sobie ostre spojrzenie babki. Co ona by zrobiła? przemknęło jej przez głowę pytanie.

I moment później Johanna gwałtownie się odwróciła i biegiem ruszyła w las.

- Możesz go sobie zabrać, ja nie mam siły na nic więcej!

Ravi podniósł ręce jak gdyby mimowolnym gestem, ale złapał puste powietrze. Zaraz potem znów osunął się na pień i ostatnią rzeczą, jaką Johanna zobaczyła, była drobna ręka Heleny uderzająca go w twarz. Dwa, trzy i jeszcze kilka razy. On zaś nie uczynił nic, by się przed nią bronić.

## ROZDZIAŁ II

- To wprost niewiarygodne, mamó, że tu jesteś, że żyjesz... Byłam niemal pewna, że już nigdy... że nigdy już cię nie zobaczę. I Karl... cóż to za błogosławieństwo!

- Kochana moja, mnie samej wprost trudno w to uwierzyć. Dobrze wiem, że nigdy nie byłam dla ciebie naprawdę dobrą matką, i wiele razy myślałam, że najlepiej bym zrobiła, gdybym więcej już się tu nie zjawiła... Ale nie mogłam, Amelio, musiałam na koniec wrócić do domu.

- I rzeczywiście przyjechałaś w ostatniej chwili, Mar - jo. Ale z tego co słyszałem, taki już masz zwyczaj.

Marja roześmiała się i wyciągnęła rękę w stronę łożowych świec płonących w pięknym lichtarzu, który mały Benjamin dostał z okazji chrztu. Widniały na nim wciąż ślady pożaru, który strawił chatę Ravięgo w Al, ale nie stracił blasku, lśnił dumnie na środku dużego stołu w największej izbie Vildegård niczym kościelne srebro.

Unosił się tu zapach rozmaitych medykamentów i ziół, lecz Marja była chyba ostatnią osobą, której by to przeszkadzało. W miarę jak wieczór upływał, wnoszono kolejne półmiski zimnych i ciepłych przekąsek, piwa i najdelikatniejszych wypieków. Zapach palącego się pszczelego wosku zasnuwał izbę słodkim, ciężkim aromatem zwiędłych kwiatów.

To nie od wina tak mi się kręci w głowie, pomyślała Amelia, ani też nie od toastów, które spełniliśmy w ten jakże niezwykły dzień.

Dzięki Ci, Boże, to naprawdę moja rodzona matka siedzi tu, na moim krześle. Zdrowa niczym żrebak, siła wprost od niej bije, dokładnie tak jak kiedyś. Dzięki Ci, Boże, ona nic a nic się nie zmieniła.

Bendik uściśnął żonę za rękę, obserwując długie spojrzenia, jakie wymieniały obie kobiety.

Tyle mają sobie do powiedzenia!

Być może Marja zdoła dać Amelii tę pociechę, jakiej on nie potrafił jej już ofiarować. Teraz, gdy Amelia ma przy sobie zarówno matkę, jak i córkę, więzy krwi odnowią się, umocnią. Być może żal za tym, co nieosiągalne, nieco złagodnieje. Może wreszcie żona zdoła pogodzić się z faktem, że Bóg nie chce ich jeszcze raz pobłogosławić.

Odczuwał ulgę z tego powodu, ulgę niosącą ożywienie.

Marja była kobietą zarazającą wszystkich swoją siłą, w każdym razie dopóki się uśmiechała i trzymała prosto jak struna. Bendik nigdy nie spotkał drugiej takiej osoby.

I wciąż była piękna.

Choć nie tak jak kiedyś. Nie miała już tej świeżości i barwy, od której ludziom zapierało dech w piersiach.

Marja jest niczym wino, pomyślał. W miarę upływu lat jej kolory nieco się przytłumiły, lecz siły życiowe jakby nabrały mocy. Kiedy się śmiała lub gdy nachylała się, by wypić jeszcze jeden łyk z ciężkiego kufla, na twarzy rysowały się bruzdy, lecz w blasku świec trudno było odnaleźć w twarzy tej kobiety zmęczenie i oznaki starości. Bendik odczuł coś na kształt niepokoju.

Powiadano, że czarownice kupują sobie wieczną młodość, pijąc u źródeł samego diabła.

Uświadomił sobie, że taka myśl nie tylko jemu może przyjść do głowy.

Wiedział, że z Marją w parze często idzie niepokój. Ale co z tego? Tego dnia wszak nikt i tak nie mógłby określić jako spokojnego, nawet gdyby nie miał miejsca ów nieoczekiwany powrót Marji i Karla Martina do domu.

Bjørge i Ingebjørg również zjawily się na Vildegård, usłyszały już o niecodziennych wydarzeniach. Wieści niosły się po wsi szybciej niż ogień, a parobcy z Karlsgård, ci sami, którzy dopiero co wyglądali, jak gdyby miano ich pochować jeszcze tego samego dnia, pili teraz i śmiali się uszczęśliwieni przy stole, flirtując z dwiema młodymi pannami służącymi z Døsen, których zadaniem było przygotowanie tej jakże niespodziewanej uczyty.

Bendik napawał się widokiem uśmiechniętej żony, lecz jego oczy niespokojnie błądziły po izbie w poszukiwaniu innej twarzy. Gdy jej nie znalazł, zaczął jakby coś przeczuwać. Napływał narastający niepokój.

Johanny tu nie było. Brakowało również Heleny, choć jej być może nie należało się spodziewać.

Czyżby one dwie gdzieś uciekły? Czyżby miały zacząć się jakieś nowe kłopoty? Wiedział, że obie kobiety w pewnym sensie się pogodziły. Johanna nigdy nie wspominała o bólu, jaki musiał jej sprawiać widok rosnącego brzucha Heleny. Przeciwnie, zawarta między nimi umowa jakby ją uspokoiła, jak gdyby Johanna znalazła coś w rodzaju pociechy w fakcie, że będzie jej wolno zatrzymać dziecko Raviego. Wieczną pamiątkę po nim. Brata albo siostrę nieszczęsnego małego Benjamina.

Sprawa została załatwiona w najlepszy z możliwych sposobów. Helena również sprawiała wrażenie zadowolonej. Z ulgą przyjęła fakt, że może jednak patrzeć w przyszłość.

Ale gdzie one się podziewają?

Bendik wstał, Amelia pomiędzy pytaniami zadawanymi matce posłała mu przelotny uśmiech.

Zapowiadało się, że uczta potrwa długo, a i tak Marja i Karl nie dotrą do końca swej historii. Bendik jednym uchem słuchał ich opowieści o carach, hrabiach, powstaniach i ucieczce, a wciąż jeszcze nie poznali wyjaśnienia, w jaki sposób, na miłość boską, tych dwoje zdołało zgromadzić takie bogactwo.

Zapowiadała się pełna emocji noc, a historia matki i syna zapewne zbawi od nudów całą wieś, i to nie tylko na jedną długą zimę.

Marja wróciła.

I wcale nie zmieniła się. Swoimi dziwactwami i wymysłami wciąż mogła nakarmić pięć tysięcy wygłodniałych dusz.

Światła na Vildegård wydały jej się rzeczą niezwykłą. O tej porze zagroda zazwyczaj pograżała się we śnie, nie było tu bowiem wielu zwierząt, które należało oporządzić, ani też codziennej w innych zagrodach pracy, która często zabierała i pół letniej nocy. Chorzy wcześniej udawali się na spoczynek, a Bjørg surowo pilnowała, aby nikt nie palił świecy niepotrzebnie za długo. Czasami tylko w domu ognia czyściły arcydzięgiel albo gotowały maści, zwykle jednak obie pomocnice wcześniej kładły się spać. Nigdy nie wiedziały, ile przed nimi nie przespanych nocy, starały się więc wykorzystać każdą możliwość odpoczynku.

Dziś wieczorem najwidoczniej uczują.

Do uszu Johanny dotarł dźwięk skrzypek i drumli. Przez szybę zobaczyła, że izba pełna jest dymu z lamp i fajek, a szeroko otwarte drzwi wypuszczają śmiechy i toasty do wszystkich, którzy akurat tędy przechodzili.

Drogą ciągnęli ludzie. Spotkała ich wielu, chyliła się wtedy, przygarbiała plecy i mocniej okrywała się chustką. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że to Johanna z Karlsgård wędruje sama w taką noc. Nic więc jej nie groziło.

Zakradła się od tyłu i zamknęła za sobą drzwi. W małej izdebce, która teraz należała tylko do niej, mogła wreszcie pozwolić na to, by zęby zaczęły jej dzwonić. Zdrętwiała z zimna i rozpaczycy ściągnęła z siebie przemoczone ubranie i wsunęła się pod okrycia. Odgłosy wesolej zabawy wprost raniły uszy, nic jednak nie zdołało zagłuszyć słów Heleny, które wciąż pobrzmiwały w jej wnętrzu, za każdym razem zdzierając z ciała płat skóry.

Wszystko jest ułudą, Ravi oszukał je obie. A ona była gotowa głowę dać, że nie kłamał, gdy wyraz jego oczu mówił jej to, co chciała usłyszeć.

Jak to możliwe, żeby on był taki? Jak to możliwe, by dzielili ze sobą tyle nagich chwil, tyle drżącej bliskości, skoro on przez cały czas czekał jedynie na Helenę?

Ona jest dziwką, pomyślała Johanna.

Właściwie nie można jej obwiniać.

Ale Ravi, Ravi, jak on mógł sprawić jej taki ból, kolejny już raz?

Johanna z płaczem przysięgła sobie, że nigdy, przenigdy nie upokorzy się, pytając go o to. W dodatku oboje, Ravi i Helena, mają pewnie dość rozumu, by zniknąć stąd prędzej niż błyskawica.

Płacz zamarł jej w gardle. Usiadła.

Nie ma mowy.

Tego im nie wolno.

Biedne dziecko!

Johanna potrafiła wyobrazić sobie jeden tylko los gorszy od losu kobiety Raviiego i wroga Heleny.

To los dziecka Raviiego, dziecka Raviiego i Heleny.

Nigdy jeszcze Johanna nie spotkała kobiety, która nosiłaby w sobie tyle nienawiści i chłodu. Helena nie poradzi sobie z odpowiedzialnością za maleństwo, Ravi także nie, z tymi swoimi czarnymi nocami i dniami, kiedy nic, absolutnie nic do niego nie dociera.

Ich umowa wciąż była ważna, Johanna nie zamierzała ustąpić. Dla dobra dziecka i ze względu na własne sumienie.

I być może, być może dlatego, że pragnę zachować jak najwięcej ciebie, mimo wszystko, mój ty dziwny, niegodny zaufania ukochany.

- Na pewno się z nim policzymy - powiedziała Marja cicho. - Odpokutuje za to! Karlsgård jest nasze, walkę o dwór winni jesteśmy Antonowi!

Bendik poczuł lekką irytację, wywołaną wybuchem upartej kobiety. Tak jakby oni nie walczyli! Wykorzystali wszak każdą legalną kartę, sprowadzili najlepszych doradców, jakich tylko można było znaleźć, lecz i tak Magnusowi Storlendet udało się przekonać asesora, że Johanna ponosi moralną winę za śmierć ich syna. Może w wielkim sądzie sprawy potoczyłyby się inaczej, być może z sądu wiejskiego mogliby apelować do sądu okręgowego, a potem iść do samego króla. Bendik wiedział jednak, że taki spór ciągnąłby się całe lata, i być może, gdy sprawa dobiegłaby końca, zostałoby im jeszcze mniej. Takie procesy bowiem kosztowały, i to niemało. Ten, kto trzymał więcej pieniędzy w kufrze, miał większą szansę wygrać. Nikt nie zdołałby pokonać Magnusa Storlendet, który na pewno sprzedałby wszelkie prawa w górach i listy wierzitelne, żeby osiągnąć to, co wbił sobie do głowy.

- Zrobiliśmy wszystko, co leżało w naszej mocy, Mar - jo. Nie myśl sobie inaczej.



- Nie, nie, nie o to mi chodziło. Ale to przecież straszne, Bendiku, i właściwie trudno uwierzyć, że to możliwe. Co się właściwie stało z tym Erlendem? Czy to Ravi go zabił?

- Może i tak - odpowiedziała Amelia ostrożnie. - Uważam jednak, że nie powinniśmy więcej o tym rozmawiać. To już przeszłość, mamy to już za sobą, lepiej o wszystkim zapomnieć.

- Zapomnieć? Oszalałaś, dziewczyno? Nie możemy zapomnieć o tym, co należy do nas! Nie wróciłam do domu po to, by oddać wszystko chciwemu chłopu, któremu brak piątej klepki!

- Nie nauczysz starego psa służyć - cicho odezwał się Karl Martin, wzruszając ramionami. - Marjo, najwyższy czas, żebyś trochę się uspokoiła, zacznij szydełkować albo wiązać koronki tak jak te pracowite córki, z którymi razem żeglowaliśmy.

Marja gwałtownie poruszyła głową i demonstracyjnie wstała z krzesła.

- Podaj mi fajkę, Karl, a potem już się zamknij, mały draniu! Nie zamierzam się uspokajać, mam zamiar iść do asesora! To tak jawna niesprawiedliwość, że aniołowie płaczą w niebie.

- Podpisaliśmy, Marjo. Na nic nie zdadzą się protesty. Podpisaliśmy, że zaakceptujemy wyrok asesora. A teraz już po wszystkim. Teraz może będzie spokój. Wyjrzyj przez okno, zobacz, ile leży drewna, zbudujemy tu nowy dom. Wielki i wspaniały, będzie gotów na następne lato, Marjo, i nikt w całej wsi nie będzie miał takiego dachu nad głową. I stajnię też postawimy, i wielką oborę dla owiec. Myślę, że tu będzie nam lepiej, tu przecież prawie wcale nie ma sąsiadów.

Amelia roześmiała się. Trzymała męża za ramię, niemal wciskała się w niego, lecz oczy przez cały czas kierowały się ku matce, pełne nie zadanych pytań.

- Marjo, będziesz miała oddzielny dom, ale sama musisz go sobie zbudować. Teraz bowiem rządzi tu twoje bogactwo.

Bendik usiłował rozweselić rozgoryczoną kobietę.

- Zbuduj go z dębu i żelaza, Marjo, i przykuj łańcuchami do ziemi. Nikt wtedy nie zdoła ci go odebrać.

Z oczu Marji posypały się iskry. Zapaliła fajkę i zaraz otoczyła ją chmura szaroniebieskiego dymu. Tytoń pachniał obco, dziwnie.

- Wydaje wam się może, że nie mam nic innego do roboty - powiedziała cicho.

- A jakie masz właściwie zamiary, mamó? Zostaniesz tutaj chyba, nie wrócisz... nad...

- Nad ciepłe morze? Nie, nie wrócę tam. Jestem już stara, gotowa, żeby przejść na dożywocie, Bendiku.

Wybuchnęli śmiechem. Amelia odetchnęła z ulgą. Bała się matki, bała się tego, do czego może doprowadzić jej gniew. Ludzie mówili, że człowiek z wiekiem staje się mniej kanciasty, mniej zdecydowany i uparty. Możliwe, że Marja była kiedyś jeszcze gorsza, lecz doprawdy, i tak pozostała twardym orzechem do zgryzienia. Widać podczas długiej podróży dawny wojowniczy duch znów w nią powrócił.

Kiedyś zapewne dowiedzą się więcej, na razie powiedziała im tylko, że przyjechali z dalekiego kraju, gdzie morze było ciepłe, a upalne lato trwało niemal przez cały rok. Z kraju, gdzie mieszkają czarni ludzie, którzy służą białym bez zapłaty. Tam właśnie wyjechał Karl Martin, kiedy musiał opuścić kraj Nadjany, i tam właśnie po wielu latach poszukiwań śladów zagubionego syna znalazła go Marja.

- Och, moich opowieści starczyłoby i na rok, ale do niczego wam się teraz to nie przyda. W dodatku nie chciałabym kłamać, a ta historia wymaga wielu kłamstw, by nadawała się do przetrwania - westchnęła Marja z żartobliwą skargą.

- O, myślę, że nie zdołasz się od tego powstrzymać, gdy nadejdą zimowe wieczory. Na pewno wszystko z ciebie wyciągniemy, babciu - Bendik szturchnął ją przyjaźnie.

Karl Martin siedział przy czarnym kominku, zapatrzony, jak gdyby tańczyły tam płomienie. Zachowywał się, jakby stał z boku, siedział tylko, sprawiając wrażenie, że nie słucha rozmowy innych.

Amelia podeszła do brata, pogładziła go po piaskowych włosach, poczuła, że pod palcami są sztywniejsze, przypominają w dotyku konopie. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Martinie, jak to dobrze, że wróciłeś do domu. Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Obrócił się powoli.

- I ja za tobą tęskniłem, Amelio. Tyle razem przeżyliśmy.

- Tak wiele się wydarzyło, Martinie, nie bardzo wiem, od czego mam zacząć opowieść.

- Nie chcę wcale aż tyle wiedzieć, na pewno sam dowiem się tego, co najważniejsze. A wieś jest taka jak przedtem, nietrudno to zauważyć. Prawa ustanawiają ci tłusci i bezczelni.

- Pewnie tak... Tego, myślę, odmienić się nie da.

- A ja myślę, że się da - odparł cicho. Amelię przeszedł dreszcz.

Przed oczami stanęła jej nagle drobna, zacięta twarzyczka. Uczeń Nielsa Kvithovuda. Cóż jednak poza bólem mu to przyniosło? Przecież wójt był równie twardy jak przedtem.

- Nadeszły lepsze czasy, Martinie, również i u nas w wiosce. Widziałeś nową szkołę? Chatka Marji zrobiła się za mała. Mamy teraz radę szkolną, składającą się z najpierwszych

gospodarzy we wsi, z pastorem Juulem na czele. Wszystkie dzieci mają się uczyć dobrej nowiny i nikt już nie będzie musiał wstydzić się, że nie zna Ojczyzny.

- Doprawdy, nie wiem, czy to zmiana na lepsze. W szkole dzieci dowiadują się jedynie, że mają być posłuszne Bogu, i królowi.

- Martinie... zawsze był z Ciebie dziwak.

Karl Martin pokiwał głową w milczeniu, spuścił wzrok.

- Owszem, ale to ja mam rację.

Amelia nie mogła powstrzymać się od śmiechu i nareszcie brat odwrócił się do niej, przyciągnął do siebie na stołek i uściskał.

- Siostrzyczko... jakżeś Ty się postarzała...

- Postarzała? Wstydź się! A Ty? Jak Ci się wydaje? Włosy Ci się przerzedziły, jesteś chudy jak stara szcotka. Ale ja Cię tu odkarmię, braciszku, zatroszczę się o to, abyś trochę pożył. Za wiele rozmyślasz, Karlu Martinie, zawsze tak było, ale teraz ja Ci dam powód do rozmyślań. Czy możesz pożyczyć nam pieniądze na nowy dwór? Ja nie chcę sprzedawać Meisterplassen, a wiem, że Bendik nosi się z taką myślą.

Brat uniósł brwi.

- Pieniądze? Ja nie mam pieniędzy, Amelio. Wszystko należy do matki. Dlaczego jej nie spytasz?

Amelia milczała. Zaciśnęła usta, zerknęła na Marję w czerwonej sukni.

- Chyba widać będę musiała, ale... boję się warunków, jakie ona postawi.

Brat wreszcie wybuchnął śmiechem, maska opadła z twarzy.

- Na Boga, my dwoje jesteśmy jedynymi osobami, które naprawdę ją znają! Ale nie bój się jej, ona uczyni dla Ciebie wszystko, Amelio, tak jak zrobiła dla mnie.

- Tak... kiedy to naprawdę jest ważne, to nikt nie ma lepszej matki.

- To prawda, kiedy to ważne.

- Oczywiście, że będziemy budować! Dostę tu miejsca. Wielki budynek mieszkalny, konstrukcja obłożona deskami, grube warstwy wełny i trawy w ścianach. Nie chcę już nigdy więcej w życiu marznąć!

Marja rozprawiała z zapalem, ale dwaj cieśle patrzyli na nią z powątpiewaniem. Złapała pióro i nakreśliła przed nimi plan. Starszy wolno kręcił głową. Cóż to za kobieta! Wcale nie opadła z sił, ta Marja Oppdal, jej szaleństwo przez te lata jeszcze się raczej wzmogło. Jedynie kilka dodatkowych zmarszczek wokół ust i białe pasma w grzywie włosów zdradzały jej wiek. Poruszała się lekko jak młódka, a wargi jaśniały żywszą czerwienią niż u jakiegokolwiek młodziutkiej panny w noc świętojańską.

- Tu, w tym miejscu, widzisz, będziemy mieć pokój kąpielowy, z podłogą i sufitem wymurowanym z kamienia. A na środku piec, porozmawiam o nim z kowalem. I taką rynnę wkopaną o tu, w ten sposób, pod podłogę...

Cieśle popatrzyli na siebie, mrugając z niedowierzaniem. To najdziwniejszy wymysł, o jakim kiedykolwiek słyszeli. Woda w domu? Murowana sadzawka w chałupie, żeby się w niej kąpać? A co złego w bożonarodzeniowej balii w domu ognia?

Marja z zachwytem klasnęła w dłonie.

- Ale z tym nie trzeba się spieszyć, najpierw trzeba zbudować dom. Rozumiecie te rysunki? Trochę wam się to może wydać niezwykle, ale sposób budowy przypomina ten, w jaki się stawia kościoły. Spójrzcie, szkielet z grubych pni, skrzyżowane belki wzmacniające. No i solidna polepa z gliny, od tego będzie cieplej.

- Potrzeba tuzina ludzi i co najmniej pięćdziesiąt wozów drewna. To nie będzie tanie, pani.

Marja wzruszyła ramionami.

- Jakoś się ułoży. Zajrzyjcie w niedzielę po nabożeństwie. Dostaniecie pieniądze, zaliczkę na budowę.

Obaj starsi rzemieślnicy wstali z wyraźną ulgą. Właśnie to najbardziej ich niepokoiło. Nie byli wcale przekonani, czy zdołają postawić ten dziwaczny dom, ale zawsze warto spróbować. Zostanie po nich coś na pamiątkę, a w dodatku zapowiada się dobry zarobek.

Marja odprawiła ich z uśmiechem.

A potem wzięła się pod boki.

- Amelio, co zrobiłaś ze swoją córką? Nie widziałam jej od wczoraj, a i to zaledwie przez chwilę.

- Johanna wybrała się do Døsen, tak mi się wydaje. Któraś z dziewcząt paskudnie zacięła się w rękę.

- Niewiele się odzywa ta wasza Johanna. Zapamiętałam ją inną, była takim żywym dzieckiem.

- Mamo - poprosiła Amelia. - Chodź, usiądź, myślę, że najwyższy czas, abym opowiedziała ci coś więcej o Johannie, ale musisz mi obiecać, że nie pobiegniesz natychmiast ogarnięta gniewem, żeby ukarać wszystkich, którzy wyrządzili jej krzywdę. W takim razie musiałabyś zacząć ode mnie...

Marja ze zdziwieniem popatrzyła na córkę, lecz posłusznie ruszyła za nią do drzwi i dalej na ławkę pod podwórzowym drzewem.

- Znaleźliśmy ją tam, bardzo osłabioną po porodzie, ale na szczęście całą i zdrową. Ravi był przy niej, lecz zniknął tak prędko, jakby się wystraszył. W każdym razie Johanna chciała wracać do domu. Erlend nie żył. Nikt nie wie dokładnie, co się stało, lecz Johanna czuje się winna, to pewne. Chyba dlatego nie bierze sobie tak do serca tego, co stało się z Karlsgård, być może uważa, że w pewnym sensie zasłużyła na taką karę.

- Cóż to za głupstwa, Karlsgård jest nasze!

- Tak, Anton przekazał dwór tobie, a ty zostawiłaś go...

Popatrzyły na siebie i obydwu w tym momencie do głowy przyszyła ta sama myśl.

- Karl Martin! - powiedziała Amelia. - Karl Martin ma prawo do swojej części! To on jest pierworodnym, to on... może odebrać dwór Magnusowi Storlendet.

Marja uśmiechnęła się.

- Masz rację. - Puknęła się ręką w czoło. - Boże, ileż pieniędzy zmarnowałam! Gdybyśmy tylko zaczekali do zakończenia licytacji, to mógłby domagać się zwrotu przynajmniej połowy za o wiele mniejszą cenę!

- Nie wygląda na to, aby brakowało ci pieniędzy, mamó - zauważyła cierpko Amelia. - Jakoś to przetrzymasz.

Marja zaśmiała się.

- Do diabła, to prawda, na pewno przetrzymam, ale zapowiadam ci, Amelio: nie pochowaj mnie, dopóki nie zobaczę, jak ten tłuszcioch ze Storlendet opuszcza nasze izby.

- Raczej w ogóle nie postawi tam nogi. Powiadają, że już wynajął dwór kapitanowi. Podobno będą się tam odbywały ćwiczenia żołnierzy, musztry i podobne historie. Dobrze wiesz, że zmieści się tam sporo ludzi.

- To nie potrwa długo, przekonasz się, moja kochana. Ale miałyśmy, zdaje się, rozmawiać o Johannie.

Amelia westchnęła.

- Nie bardzo wiem, co mam powiedzieć... Ona jakby przestała być sobą. Humor jej się nieustannie zmienia, dość długo chodziła blada i wynędzniała, chłopczyk źle się chował, a w dodatku na pewno bardzo tęskniła za tym swoim Ravim. On ją zawiódł, nie chciał wrócić razem z nią do domu. On unikał ludzi, mamó. Marja kiwnęła głową.

- Pamiętam go, pamiętam go bardzo dobrze. Wprost trudno uwierzyć, że Johanna miałaby... No nic, mów dalej.

- Jakby ją zauroczył, aż się boję... Ale nie wyrządzi jej już więcej krzywdy. Johanna ostatnio jest w lepszym nastroju. Wiesz, ogromnie ciężko przeżyła wiadomość o jego śmierci i to, że przysłał tu do niej swoją nałożnicę... w dodatku ciężarną.

- Masz na myśli tę Helenę?

- Tak. Ona już się nie awanturuje tak jak wcześniej, już teraz nie. Sądzę, że to jej stan sprowadził na nią spokój, ale gdy się tu zjawiała, gdy się zorientowała, że będzie miała dziecko... Myślałam, że postrada zmysły. Wpadła w histerię, biła i krzyczała, walczyła jak dzika kotka. Ale Bendik potrafił dojść z nią do ładu, zdołał ją jakoś uspokoić, a Johanna przyrzekła, że zajmie się dzieckiem i zatroszczy o to, by Helena miała z czego żyć. Johanna nie należy do tych, które przechodzą obok takich spraw obojętnie.

- Chciałabym porozmawiać z tą dziewczyną, lepiej ją poznać. Rozumiem, że stała się w pewnym sensie członkiem rodziny.

- O, nie, zostanie tutaj tylko tak długo, dopóki będziemy jej potrzebni. Kiedy dziecko się urodzi, odejdzie. Helena da sobie radę. Widać przyszła na świat z nożem w ręku i walecznym spojrzeniem - westchnęła Amelia.

- Mam wrażenie, że już ją polubiłam - uśmiechnęła się Marja.

Amelia roześmiała się.

- Tak, tak, wydaje mi się, że nawet ty, mamó, mogłabyś się od niej nauczyć paru pięknych słów.

Marja zatopiła się w myślach.

- Powiedz mi jedno, Amelio... Czy nie wydaje ci się, że Johannie musi być bardzo ciężko żyć pod jednym dachem z kobietą, która odebrała jej męża?

- Johanna nie myśli w ten sposób. Ravi sam zdecydował, że zostanie w Al, to on dokonał wyboru. Dobrze wiesz, że był dziwakiem, tyle niesamowitych rzeczy mu się zwidywało. Może wiedział, że nadeszła jego ostatnia godzina? Może wiedział o tym przez cały czas i dlatego nie mógł wrócić razem z Johanną? Zginął pod błotną lawiną. Podpalił kilka zagród, by wypłoszyć z nich jej mieszkańców, którzy nie chcieli uwierzyć w jego przestrogi. Sam umarł w pewnym sensie jak bohater, lecz z tego, co mówi Helena, trudno raczej liczyć, by postawiono mu wielki pomnik na cmentarzu. Ludzie się go bali, pogardzali nim, uważali jedynie za chorego na głowę pijaka, którym zawładnęły diabelskie moce.

- Rozumiem - powiedziała Marja, wyraźnie poruszona tą historią. - Doprawdy, muszę porozmawiać z Johanną, w dodatku, tuż przed moim wyjazdem, ona mi coś obiecała...

Amelia nie dopytywała się, o co chodzi.

W maleńkiej izdebce na tyłach wielkich sal Vildegård Johanna znów odzyskała spokój. Tak wiele się wydarzyło. Tyle myśli przedło się i plątało w głowie, tak wiele musiała przetrwać, wydarzenia, jakie zaszły w ciągu dwóch dni, odwróciły cały jej świat do góry nogami.

Lecz wśród strumienia poplątanych myśli jedna przebijała, napawając ją dojmującym bólem.

Utraciła Ravięgo. Znow go straciła.

A więc jednak przyszedł tu za Heleną. Ale dlaczego zaczął z nią wtedy rozmawiać? Dlaczego nie pozostał w ukryciu między drzewami?

Pewnie chodziło mu o dziecko. Zapewne ujrzał Benjamina i jego ojcowskie uczucia okazały się na tyle silne, że nie mógł po prostu stać spokojnie i patrzeć, jak syn odchodzi.

Tak, tak, właśnie tak musiało być. Bo przecież najpierw spotkał się z Heleną, może nawet zakradał się na Karlsgård nocą, odwiedzał ją na stryszku. Być może działo się to akurat wtedy, gdy ona, Johanna, leżała w swoim łóżku i wyplakiwała sobie oczy z żalu nad jego śmiercią.

Johanna czuła, że rozgoryczenie coraz bardziej rozrasta się w piersi. Aż trudno było teraz oddychać. Doskonale jednak zdawała sobie sprawę, że danie mu ujścia absolutnie na nic się nie zda.

Mogła złościć się, krzyczeć, nienawidzić, ile tylko starczy jej sił. Prędzej czy później jednak będzie tu leżeć słaba i wyczerpana z tym samym piekącym uczuciem w piersi.

Kochała go.

A teraz wszystko już się skończyło.

Helena, ta przeklęta Helena!

Bez niej życie byłoby takie proste, powiedziała do siebie Johanna. Ale Helena była zdrowa i silna, rozkwitała z dnia na dzień. Pożywne jedzenie wygładziło głębokie rysy na wychudłej dawniej twarzy, a włosy nabrały blasku. Rzucająca się w oczy fryzura w całej swej niezwykłości wydawała się teraz wręcz ładna. Lśniące, miedzianozłote loki wiły się wokół twarzy dziewczyny; wciąż jeszcze nie dało się ich zapleść w warkocz, opadały więc swobodnie jak u małej dziewczynki.

Helena była piękna.

Johanna z trudem przełknęła ślinę i przyznała to sama przed sobą:

Miłość sprawiła, że Helena złagodniała, i uczyniła ją również piękną.

Miłość Ravięgo.

To w niej zapewne odnalazł pokrewną duszę, istotę, która wiedziała, czym jest ludzka pogarda. Istotę, która także usiłowała uciec od samej siebie?

Johannie pozostawało jedynie się poddać.

Miała wszak swoją dumę.

Marja wróciła do domu. Czy ona czołgałaby się przed jakimkolwiek mężczyzną?

Johanna poczuła pewność, że siła babki krąży również w jej żyłach. Marja kiwnęła głową i powiedziała: „Słusznie robisz, Johanno, nie pozwól dłużej się upokarzać, nie daj Helenie odczuć, że jej zwycięstwo tak drogo cię kosztuje. Niech dziwka weźmie sobie to, co dostają dziwki. On nie jest więcej wart, Johanno”.

- On nie jest więcej wart, Johanno? - głos Marji brzmiał tak cicho, że Johannie wydawało się wręcz, iż się przesłyszała, ale babka powtórzyła: - Czy on naprawdę nie jest wart jeszcze jednej walki?

Johanna zmieszała się. O co chodzi Marji? Czy uważa, że znów powinna paść przed Ravim na kolana? Odłonić się całkiem przed triumfującą Heleną? Tylko po to, by znów ją opuścić?

- Wybór należy teraz do niego. Zresztą chyba już go dokonał. Został razem z nią. A mógł pójść za mną. Sam tak zdecydował.

- A czy on o tym wiedział?

Jaka ona teraz łagodna! Jakże niepodobna do siebie, do dumnej, twardej Marji.

- Co masz na myśli? Wiedział chyba to, co powinien wiedzieć. Przecież przyszedłem tam, żeby zabrać go do domu!

Marja westchnęła, wypła łyk swej własnej specjalnej herbatki. Z kubka unosił się nie tylko aromat ziół, lecz również jakiś obcy słodkawy zapach, trochę taki jak wódka, lecz jednak całkiem inny. Johanna na razie podziękowała, gdy babka chciała ją poczęstować tą herbatką.

- Johanno, to wszystko stało się tak nagle. Amelia o niczym nie wie? Twój ojciec też?

- Nie, rodzice myślą, że on już nie żyje. Wszyscy tak sądzą. Ale teraz nie wiadomo, co będzie. Może Gunnelius w końcu coś zdradzi? Ravi znów będzie musiał uciekać, asesor bowiem założył, że to on zabił Erlenda.

- A czy tak było?

Znajoma ostrość pojawiła się na powrót w oczach Marji.

Johanna spuściła wzrok.

- Powiedz mi, co mam robić, babciu Marjo, nie wiem, co począć...

- Przecież już wybrałaś. Postanowiłaś pozwolić, żeby on wyjechał z Heleną. Być może nawet już tak się stało. Nikt nie widział Heleny przez ostatnie dwie doby.

- Może i tak, lecz ona przyszłaby chyba po swoje rzeczy. Na pewno się tu zjawi, żeby zobaczyć mnie pognębianą, złamaną. Znam ją na tyle, by wiedzieć, że tak się stanie - stwierdziła Johanna z goryczą.

- Dobrze, wtedy jej pokazemy - oświadczyła Marja spokojnie.



Johanna z namysłem pokręciła głową.

- Tyle się wydarzyło, Marjo, głowę mam pełną zmartwień.

- Zajmuj się nimi po kolei, moja kochana. Zaczynj od tego, co najważniejsze. A najważniejszy, jak przypuszczam, jest Ravi.

Pochyliła się poufale, ujęła Johannę za rękę.

- Jest wiele rodzajów miłości, Johanno. Ty być może odnalazłaś jeden z nich, lecz są również inne, uwierz mi. Zawsze są również inne.

- Nie wiem - odparła Johanna słabym głosem.

- Naprawdę?

- Tak. Dla mnie... istniał tylko Ravi.

- No a Erlend? Podobno miałaś policzki czerwone jak róża, gdy wychodziłaś za mąż za Erlenda, byłaś chorą z miłości panną, jeśli całkiem się nie mylę.

- Tak... rzeczywiście byłam zakochana. On się tak do mnie zalecał... Pamiętam, że raz pobił się z Ravim o mnie... byliśmy wtedy jeszcze dziećmi, Marjo. A Ravi... już wtedy miał w sobie coś przerażającego.

- Ravi to szczególny człowiek, podobnie jak ty, Johanno. Jak my wszyscy. I muszę ci coś powiedzieć: nawet jeśli Rein był pod wieloma względami prawdziwym łotrem, to jednak miał w sobie coś, coś... co ma również jego syn. Ci odmieńcy, Johanno... Mam wrażenie, że istnieje coś w rodzaju więzów krwi między nimi a nami. Uważam, że powinnaś się nad tym poważnie zastanowić. Jakiś głos mi podszeptuje, że Ravi i tak, bez względu na wszystko, będzie ci zawsze towarzyszył.

- Wiem o tym.

- Nie powinnaś więc unikać żadnego sposobu, aby był przy tobie. W razie czego idź z nim.

Johanna przyciągnęła rękę do siebie. Mocny głos dźwięczał w jej uszach. Babka wypowiedziała na głos to, co szeptały jej do ucha najskrytsze marzenia.

- Iść za nim? Znów? Ale przecież matka... Benjamin... Marja wolno pokręciła głową. Teraz oczy jej płonęły.

- Idź do niego, Johanno. Powiedz, że nie zamierzasz pozwolić mu odejść, powiedz Helenie, że ona jest jedynie zabawką, pociechą, że nie może mierzyć się z Ravim. Na pewno sama zdaje sobie z tego sprawę. Posunęła się za daleko.

- Nie mogę... nie, to niemożliwe. Muszę zostać tutaj, na Vildegård. Muszę zrobić to, co do mnie należy. Tu tak wielu ludzi mnie potrzebuje, muszę się uczyć, a poza tym mam Benjamina. On jest chorowity, nie wytrzyma takiego życia, jakie może dać mi Ravi. Wieczna

ucieczka... On w dodatku pije, babciu, a wtedy zapomina o wszystkim. Benjamin nie może wychowywać się w takich warunkach. To niemożliwe, zwłaszcza że tutaj może mieć taki dom.

- Hm, moja ty rozsądna Johanno. Cóż, pewnie masz rację. Bez względu na wszystko jednak, nie wolno ci się tak łatwo poddawać. Idź do Raviego, powiedz mu, że ma zostać z tobą, że nikt nie będzie go kochać mocniej niż ty. - Urwała, a potem wbiła wzrok w Johannę.

- Jeśli to oczywiście prawda.

Johanna nie wahała się ani chwili. Lekki uśmiech ożywił pobladłą twarz. Oczy jej błyszczały.

- To prawda, Marjo. To przecież prawda...

Marja zadowolona wstała niczym królowa na znak, że audyencja dobiegła końca. Skrzyżowała jednak ręce na piersi i patrzyła na Johannę oczyma, w których malował się podziw.

- Jesteś dzielna, Johanno, a ja jestem z ciebie dumna. Przypominasz mi... matkę.

Johanna uśmiechnęła się.

- To ona pomogła mi przyjść na świat, twoja matka Maria.

Marja uśmiechnęła się.

- Mamy podobne korzenie, Johanno. O tym nie możesz zapominać.

- Nie ma obawy - uśmiechnęła się Johanna.

Już poczuła się silniejsza. Zastanowi się nad tym, co mówiła Marja. Serce uderzało jej żywiej, z nadzieją, być może jeszcze nie wszystko przegrała. Może czeka ją inne życie, życie z Ravim?

Tak bardzo chciała spróbować jeszcze raz podjąć tę ostatnią walkę.

Nie miała jednak pewności, czy starczy jej odwagi.

Nie była przekonana, czy będzie w stanie znieść przegraną.

- Marjo - powiedziała Johanna, gdy starsza kobieta już zamykała za sobą drzwi. - Marjo, udało mi się sprawić, by twoje drzewko zakwitło.

- Wiem o tym, Johanno, byłam tam dziś w nocy.

- Czy będę mogła kiedyś pójść tam z tobą?

- Tak, pójdziemy tam, ty, ja i Ravi.

- On o wszystkim wie, on... Właśnie tam się kiedyś spotkaliśmy, raz.

Marja skinęła głową, w oczach zakręciły jej się chyba łzy.

- Połóżmy się dzisiaj wcześniej spać. Jutro pójdziesz do Raviego.

Johanna spuściła wzrok. Marja zwlekała z zamknięciem drzwi, z zewnątrz dobiegało pochrząkiwanie świni, która nie potrafiła widać odnaleźć się w nowym otoczeniu.

- Marjo, ty... ty nie pójdziesz ze mną? Babka wolno pokręciła głową.

- To musisz załatwić sama, moja mała. Ale zamierzałam wybrać się jutro do lasu. Przyrowadź tam Ravięgo, gdy już się ze sobą rozmówicie.

Johanna kiwnęła głową i wymruczała coś na zgodę. Małeńka izdebka przemieniła się nagle w wielką równinę, gdy tylko Marja ją opuściła. Kiedyś było to jej miejsce, Johanna dobrze pamiętała, jak zapach dymu, słodkawego potu i mnóstwa suszonych kwiatów zawsze tkwił w tych ścianach.

Ściągnęła nakrycie z łóżka, nalała wody do miski. Niemal bezmyślnie dokonała całego rytuału, rozpięła warkocz, rozsznurowała stanik sukni, starannie obmyła chłodną wodą ręce i stopy. Potem jednak sięgnęła po niedzielną suknię, wiszącą za drzwiami, i zanim rozum zdołał ją powstrzymać, ubrała się w nią i z butami w ręku wykradła się z domu.

### ROZDZIAŁ III

Oddech Heleny wydawał się taki lekki i ciepły na jego szyi. Spała, a może tylko udawała, że śpi. Momentami drgała, jakby dręczył ją jakiś zły sen albo ktoś w regularnych odstępach czasu szczypał ją w nogę.

Ravi usiłował się rozluźnić i zapaść choćby w coś w rodzaju snu. Gunnelius chrapał na swojej pryczy, znudziły mu się wreszcie nieprzyzwoite komentarze i rubaszny śmiech. Ravi wiedział, że starego ogarnęło podniecenie i na pewno z wielką chęcią oddałby pół swego zapasu gorzałki i najlepszą koszulę, byle tylko mógł posmakować Heleny.

A ona była chętna i rozbawiona, przez cały czas pod przykryciem drażniła Ravięgo, wargi nieustannie pilnowały jego ust i chwytaly je, gdy tylko twarze zbliżyły się do siebie w miękkim półmroku.

Ravi przymknął oczy, a potem przycisnął Helenę do siebie tak mocno, jakby chciał ją uwięzić.

Dziewczyna zaszczebotała coś cicho, prosto do ucha, mówiła o czymś, o czym on nie chciał słuchać.

Co takiego się stało?

Usiłował przywołać tamtą nierzeczywistą sytuację w lesie, dwie kobiety, z których oczu sypały się iskry.

Piękne usta Johanny, wykrzywione, nie mogące znaleźć odpowiednich słów.

I jego własne milczenie, spuszczone wzrok, ręce zaciśnięte na wilgotnym pniu drzewa, zimne, nie nadające się do niczego innego.

Johanna przyszła, żeby zabrać go ze sobą.

A on nie mógł z nią iść.

Jeden z powodów leżał teraz u jego boku, uśpiony. Wyczuwał twardą wypukłość na brzuchu Heleny, jak gdyby nosiła pod skórą kamień.

Ravi zadrżał. Oddech dziewczyny sprawił, że jego serce zmieniło rytm. Bolały go wszystkie członki, ale nie chciał się ruszyć. Siennik był niewygodny, jakby naciskał ciało, twarda słoma w wielu miejscach wystawała i kłuła.

Miał wrażenie, że źdźbła sięgają aż pod skórę.

Zbyt późno zorientował się, że obrazy, które pragnął przywołać, by bliżej im się przyjrzeć, przyciągnęły również za sobą inne, wydobyły je z dalekich głębi.

Jeszcze mocniej uściśnął Helenę, aż dziewczyna cicho jęknęła przez sen.

Ravi zaklął w duchu.

Dlaczego? Dlaczego przekleństwo musiało odzywać się akurat w takich chwilach, gdy resztką sił potrafił utrzymywać się na powierzchni? Wizje zaczęły go porywać, wciskały się coraz mocniej, nadciągały ukradkiem niczym wygłodzone wilki. Poszukiwały najdrobniejszej bodaj szczeliny w jego głowie, w sercu. Na pewno zdołają ją odnaleźć, choć z czasem pojął wreszcie, że najlepszą obroną przed nimi jest skierowanie myśli na coś zupełnie innego.

Otworzył oczy, popatrzył na smugi niebieskiego światła, tworzące wzór na grubych ścianach. Mech powypadał spomiędzy bali i przy dobrej pogodzie słońce wciskało się do środka przez wąziutkie szczeliny.

Z zewnątrz dobiegał śpiew ptaków.

Nazajutrz będzie piękna pogoda.

Pójdę jutro do lasu i przyniosę naręcze mchu, kiedy jeszcze będzie wilgotny i sprężysty. Uszczelnię dach, pozapycham dziury w ścianach. A potem nazbieram wierzbowych witek i kory, zrobię sobie nowy plecak.

Usiłował się skupić na codziennych, prostych zadaniach, wyobrażał je sobie krok po kroku i zdołał oszukać wilki. Raz, dwa razy.

Ale prędko się zmęczył.

Helena znów się rozluźniła.

Rawiego ogarniał coraz większy niepokój, zrozumiał, że pora wyjść.

Jakie to dziwne! Za każdym razem, gdy nachodziły go wizje, musiał ukrywać się przed ludźmi. Tak jak zwierzę, które wie, że wkrótce skona, pomyślał.

Przekreślił się, zsunął na podłogę, delikatnie, bez gwałtownych ruchów, które mogłyby zbudzić Helenę. Instynktownie wiedział, że tej nocy by go nie puściła.

Nie była wcale pewna zwycięstwa, choć czerwone wargi uśmiechały się zadowolone i nazywały go swoim.

Ravi wyszedł w niebieską noc.

Szare chmury gnały po niebie, deszcz ustał, a wiatr na wysokościach odsłaniał już oblicze księżyca.

Widział go ponad koronami drzew niczym odległą szarozółtą lampę, której szkło ktoś zapomniał wyczyścić.

Ravi nasłuchiwał odgłosów życia toczącego się w lesie. Wiedział, że teraz, gdy deszcz już przestał padać, po okolicy krążą tysiące małych i większych stworzeń w poszukiwaniu pożywienia albo siebie nawzajem. Ale żadne zwierzę nie mogło go teraz przestraszyć.

To fakt, że wyczuł człowieka, wprawił Ravięgo w zmieszanie i zmusił do przebiegnięcia kilku kroków, zanim wreszcie mógł skulić się przy pniu wywróconego drzewa i ukryć twarz w dłoniach.

Znów pojawił się ów natrętny obraz mężczyzny pozbawionego twarzy, który zabijał swoje dzieci. Ta wizja nie dawała mu spokoju. W otoczeniu bezbarwnej szarości po raz kolejny ujrzał, jak oczy maleńkiej dziewczynki rozszerzają się ze strachu, a usta otwierają w bezgłośnym krzyku.

Wnętrznosci skrzyły mu się w brzuchu, zacisnął zęby, wiedząc, że musi po prostu pozwolić, by wizja sama minęła.

Może potem będzie miał spokój.

Dawniej, kiedy był młodszy i jeszcze bardziej się bał, próbował w takich chwilach zmusić się, by przed oczami ukazały mu się kolejne obrazy, jak gdyby mógł unosić się na strumieniu niechcianych wizji i być może pochwycić niekiedy coś ważnego.

Poszukiwał odpowiedzi na pytania, o które się zakładano, albo historii, które mógłby później sprzedać.

Teraz jednak zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe. Nie miał nad tym wszystkim żadnej kontroli.

Tak jak powiadał jego ojciec:

- Taki łotr jak ty nie może być silniejszy od diabła, Ravi.

Doskonale wiedział, że ona tu idzie. Że kroki, których słabe echo wyczuwał, istniały nie tylko w jego głowie.

Ona nadchodzi, o, tak, to całkiem pewne.

W szafie śpi Helena. Może stary się przebudzi i będzie próbował się do niej dobrać, gdy spostrzeże, że leży sama?

Ale nie, Gunnelius nigdy się na to nie poważy. Ravi nie raz wzbudził w nim szacunek. Wciąż zdarzało się, że stary przychodził z maślanym ciastkiem, z odrobiną słodkiego piwa czy innym smakołykiem i chciał wymienić go na chwilę zabawy. Z reguły jednak wystarczało pokazać mu, jak miska tańczy po stole.

Ravi uśmiechnął się.

W każdym razie staruszek wierzył, że to naprawdę widzi...

Helena bez trudu potrafi się obronić i Gunnelius z całą pewnością również zdawał sobie z tego sprawę. W głębi ducha był tchórzem i wolałby się nie narażać na drwiny z ust kobiety.

Myśli Ravięgo krążyły.

Kroki zbliżały się z każdą chwilą, lekkie, znajome.

Podniósł głowę, poczuł, że rękawy kurtki ma całkiem mokre. Niekiedy zdarzało się, że podczas wizji z oczu płynęły mu łzy, choć nie czuł wówczas piekącego bólu w piersi, tej ciężkiej kuli, jaka zazwyczaj towarzyszy zwykłemu płaczowi.

Mimo to jednak musiał ocierać oczy i mrugać często, zanim mógł znów wyraźnie zobaczyć otaczający go świat.

Siedział całkiem nieruchomo.

Ona go znajdzie, bez względu na to, co będzie robił.

- Czekałeś na mnie? - spytała Johanna.

Pokiwał wolno głową, ona się uśmiechnęła. To było nie do zniesienia.

Johanna podeszła, pachniała dziką różą i lawendą. Włosów nie schowała pod chustką, którą zwykle wiązała na głowie, ani też nie splotła w koronę jak przy pracy. Wiły się żywo na jej ramionach.

Ravi z trudem przełknął ślinę.

Johanna westchnęła. Potem chrząknęła i miękko przycupnęła na pniu. Ravi siedział na ziemi blisko zwalonego drzewa. Johanna górowała nad nim niby królowa, lecz białe dłonie spoczywające na pniu były chłodne i jakby trochę niepewne.

- Marja wróciła do domu. Ravi wolno skinął głową.

- No tak, już ci o tym mówiłam, a Helena zapewne dopowiedziała resztę. Wrócili oboje, Marja i Karl Martin, są bogaci, zajmowali się handlem... wygląda na to, że na całym świecie. W każdym razie mają skutą pełną złota i pieniędzy, tak się przynajmniej wydaje. I zamierzają zapłacić za rozbudowę Vildegård, uczynić z niego dwór, jakiego nikt jeszcze nie widział. Marja będzie miała oddzielny dom, prawdziwy pałac, Ravi, zbuduje też stajnię i oborę, a stodoła będzie składzikiem i pomieszczeniem dla chorych, gdyby zaszła taka potrzeba.

Ravi wciąż się nie odzywał. Pozwalał jej mówić. Wkrótce nastąpi ta chwila, gdy zasadniczej sprawy nie da się dłużej odwlekać.

Johanna z całą pewnością nie będzie łaskawa.

- Ravi, jestem zła. Spodziewał się tego.

- Siedzisz tylko, tak samo niemy jak wczoraj. Tak nie wolno, Ravi, musisz wybrać... którą z nas chcesz.

Podniósł głowę, zdumiony.

Johanna bez trudu czytała w jego oczach. Wychwyciła zaskoczenie. Z czułością pojęła, że on wcale nie liczył na to, że da mu jeszcze jedną szansę.

- Helena jest taka samotna... wiem, o czym myślisz. Uważasz zapewne, że ja mam koło siebie tylu ludzi, więcej teraz niż kiedykolwiek... że mam pieniądze, przyjaciół, szacunek, wszystko. Helena natomiast...

Ravi w milczeniu kiwnął głową.

Johanna pochyliła się w przód, ujęła jego ręce tak samo zimne, splecione w jakiś dziwny węzeł.

- Ravi, słusznie, że tak czujesz, jesteś taki dobry, nikomu nie chcesz wyrządzić krzywdy... lecz mimo wszystko jednak krzywdzisz nas dlatego, że nie masz odwagi wybrać!

- Nie mogę - odparł cicho.

Wezbrało w nim rozgoryczenie, odepchnął ją, zaczął wymachiwać rękami, jakby opędzał się od atakujących go niewidzialnych kruków.

- Ona mnie ocaliła, Johanno. Gdyby nie ona, nie siedzielibyśmy tutaj teraz. Skończyłbym z sobą, nie rozumiesz tego? Gdyby nie Helena... Johanna pozostawała niewzruszona.

- Czy ja nie zrobiłam tego samego? I to więcej niż raz, Ravi?

On zdrętwiał, zamrugał zmieszany.

- Czy ja także więcej niż raz nie byłam jedynym powodem, dla którego znajdowałeś jeszcze siłę, by dalej żyć?

Ravi osłabły osunął się z powrotem na trawę.

- Tak wygląda prawda, dobrze o tym wiesz - szepnęła Johanna niemal z zawstydeniem.

Ravi kiwnął głową i potarł twarz. Czarne włosy miał związane na plecach rzemykiem. Johanna zaczęła go rozwiązywać, drżąc ze strachu, że Ravi ucieknie.

Ale on nie ruszał się z miejsca.

Przyciągnęła go do siebie tak, by oparł się plecami o pień, na którym siedziała. Głowę trzymał sztywno, lecz ona z czułością przytuliła ją do łona.

- Ravi, ja ciebie nie oddam - powiedziała cicho w noc. - Nigdy w życiu. Jesteś moim mężem i o tym nie wolno ci zapominać.

- Wcale nie zapominam - odpowiedział schrypniętym głosem.

- To dobrze.

Johanna pochyliła się do przodu i pocałowała go u nasady włosów, potem przesunęła usta na czoło. On wygiął szyję i już wkrótce ich usta znalazły się tak blisko siebie, że mogli się leciutko pocałować.



Johanna wsunęła mu rękę pod koszulę, dotknęła zziębniętej skóry pod lekko wilgotnym materiałem.

- Mój kochany... nie odchodź ode mnie. Ravi jęknął.

Wyciągnął do niej rękę, przekreślił się.

- Hanno moja, cóż ze mnie za diabeł, skoro wyrządzam ci taką krzywdę? Wszyscy wokół mnie cierpią, cierpią i umierają. Hanno moja, lepiej by było, gdybym się nigdy nie narodził!

- Nie zaczynaj od nowa - przerwała mu z urazą, a zmęczenie wyczuwalne w jej głosie zmusiło go, by wziął się w garść.

Dłonie Johanny rozgrzewały się od dotyku jego skóry, choć oboje byli zmarznięci.

- Ravi, nie bój się o Helenę. Ona jest z tych, co zawsze dadzą sobie radę. Mówiłam jej już, i to na długo, zanim to wszystko się stało, że nie musi niepokoić się o dziecko. Uzgodniłyśmy to, Ravi. Twój syn albo córka będzie dorastać razem ze swoim bratem, z Benjaminem. O Helenę także się zatroszczymy, z pieniędzmi w kieszeni i dobrym świadectwem sama się przekona, że prawdziwa wolność jest czymś zupełnie innym niż życie, do jakiego przywykła.

Ravi rozprężył się nieco w jej objęciach, a Johanna, zachęcona jego pozorną zgodnością, ciągnęła:

- Rozumiem, że nie miałeś ochoty wracać ze mną do domu na Karlsgård. To nie był twój dom, tylko mój, ale teraz wspólnie coś zbudujemy. Nie możesz się bać, bo wiem, że dobrze cię przyjmą, w każdym razie Marja. Ona... To ona prosiła, żebym przyszła do ciebie jeszcze raz, to ona powiedziała, że nie mogę tak zaprzepaścić miłości.

- Ona rzeczywiście powinna o tym wiedzieć - cierpko zauważył Ravi.

Johanna nie pozwoliła zbić się z tropu.

- Wszystko może się tak dobrze ułożyć, mój kochany, a teraz, gdy Marja wróciła, nikt nie odważy się zrobić ci nic złego.

- Ona nie jest Bogiem - przypomniał Ravi.

- Owszem, ale blisko jej do tego. I uważa, że chroni cię samo prawo. Widzisz, nie można dwukrotnie osądzić jednego człowieka za tę samą sprawę, a skoro asesor uznał żądania Storlandet i przyjął za podstawę, że ty i ja jesteśmy winni śmierci Erlenda... to jednocześnie uwolnił cię od sroższego wyroku.

Ravi otworzył oczy. Przez krótki oddech przed oczami obojga stanęły te same obrazy.

Zabójstwo.

Moment, gdy nóż przeciął skórę Erlenda, walka, krew.

Dłoń Johanny zaciśnięta na mocnej rękojeści noża.

Ravi ukrył twarz w fałdach jej sukni.

Ręce przesunęły się, obejmując ją, tulił się do niej, mocno ściskając w pasie. Johanna schowała oczy w czarnych włosach.

- Wszystko może się dobrze ułożyć - szepnęła. - Wszystko, Ravi. Jeśli naprawdę chcesz właśnie mnie...

- Tak właśnie jest, zawsze - odparł schrypniętym głosem gdzieś na wysokości jej piersi.

Johanna wyprostowała się i mocno wciągnęła powietrze w płuca. Wydało jej się nagle dziwnie czyste i świeże.

Jakby przyjazny zrobił się otaczający ich las!

I księżyc wkrótce już całkiem będzie wolny od chmur, a na wschodzie po raz pierwszy od wielu poranków rysowała się złocista smuga.

Przejaśnia się, pomyślała Johanna.

Wędrowała w stronę jasnej wstęgi, nie słyszała obudzonych już ptaków na drzewach.

Niewielki tobołek w niczym jej nie przeszkadzał, przywykła do dźwigania większych ciężarów. Do pasa miała przytroczony nóż, na ramiona narzuciła za dużą kurtkę.

Szła pod górę, teren z każdym krokiem stawał się coraz trudniejszy do pokonania, ale Helena parła naprzód, przekonana, że gdzieś dojdzie, jeśli tylko się nie odwróci.

Towarzyszył jej w powrotnej drodze przez las. Po raz pierwszy. Zaczekali, aż zrobi się całkiem jasno, a teraz słońce wspinało się już po niebie ponad szczytami na wschodzie. Johanna uśmiechała się do Ravięgo, wciąż jednak wyczuwała sztywność w sposobie, w jaki trzymał ją za rękę.

- Myślisz o Helenie? - spytała, wkładając całą siłę swej woli w to, by w słowach zabrzmiała troska, a nie zazdrość czy też podejrzliwość. To przecież oczywiste, że on myśli o tej nieszczęsnej dziewczynie.

- Ona przywykła do tego, że znikam nocą - mruknął lekko.

Johanna kiwnęła głową, rozumieli się.

- Ale będę musiał do niej wrócić i...

- Tak, musisz wszystko wyjaśnić. Chcesz, żebym poszła z tobą?

- Tak... Łatwiej jej będzie się wtedy rozgniewać. Johanna pokiwała głową, to w istocie prawda. Helenie potrzebny będzie gniew. Łatwo przychodziło jej odczuwać współczucie dla rudowłosej dziewczyny teraz, gdy Ravi szedł u jej boku do wsi i mocno trzymał ją za rękę.

- Boże, oni przeżyją wstrząs!

- O czym myślisz?

- Kiedy nas zobaczą - roześmiała się.

Ravi westchnął. Bał się bardziej, niż potrafił to jej wyjaśnić.

Przeszli przez niezwykle wezbrany strumień i ruszyli na skróty polami ponad wsią. W dole widzieli już ludzi biegnących tam i z powrotem między bryczkami i łodziami przy Døsen. Dostrzegli niebieską koszulę karczmarza powiewającą na sznurku, przy studni jakaś kobieta wyciągała wodę.

Kościół spoczywał biały i władczy. Wzrok Johanny skierował się w dół, w stronę fiordu, do niedużej kępy jarzębin i splątanych zarośli.

Tak, ktoś tam był.

Jej spojrzenie powędrowało z powrotem na drogę, która kończyła się przy cmentarzu i wiła się dalej wzdłuż linii brzegu.

Powóz. Ten stary.

Marja nie musiała czekać zbyt długo.

- Nie jesteś już do niego podobny - powiedziała Marja cicho, wyciągając rękę, by odsunąć z twarzy Ravięgo splątane włosy.

Dziwne powitanie, stwierdziła Johanna, ale Marja nigdy nie lubiła zbędnych słów, takich, które nie niosą ze sobą żadnej treści.

- Dużo czasu upłynęło - odparł Ravi zawstydzony, ale przysunął głowę i pozwolił tej na poły obcej starszej kobiecie pogładzić się po policzku.

Marja odwróciła się gwałtownie i cofnęła o kilka kroków do miejsca, w którym ją zastali.

Ravi ruszył za nią pierwszy, spokojnym krokiem. Ciężki, prastary mur cmentarza dobrze chronił przed niepowołanym spojrzeniem.

Mogła zarosła kwiatami i krzewami. Największy z nich był ów krzew róży, niemal wszystkie płatki kwiatów opadły już, zaścielając ziemię żółtym dywanem.

Burza je strąciła, a za sprawą deszczu stały się przezrocyste i blade.

- Jakie to dziwne - powiedziała Marja do siebie. - Przez tyle lat odmawiałam sobie i Karlowi więcej dzieci, a teraz siedzę tutaj w takiej żałobie.

- Będzie ci to wybaczone - szepnęła Johanna.

- Być może - odparła Marja, podnosząc do oczu dłoń w koronkowej rękawiczce. Zaraz jednak znów się do nich uśmiechnęła. - Twój ojciec był mężczyzną, przy którym kobiety uczyły się twardości, i w tym jesteś do niego podobny, Ravi.

W jej ustach zabrzmiało to jak pochwała, Ravi prychnął więc jedynie zażenowany.

- On teraz zostanie z nami, Marjo - oświadczyła Johanna. - Ale musisz nam pomóc, ludzie nie będą mieć dla nas łaski.

Marja wzruszyła ramionami.

- A cóż oni właściwie mogą nam zrobić?

Ravi ukląkł przy niej i lekko pogładził ręką ziemię. Gdzieś tutaj, wśród wielu nieszczęśników, zabójców, samobójców, nie ochrzczonych, spoczął pochowany również jego ojciec.

- Tak, co oni właściwie mogą zrobić? - powtórzył pustym głosem.

Kiedy już zaczęła się zsuwać, znalezienie oparcia dla stóp okazało się niemożliwe. Z początku jeszcze próbowała, ręce wywijaly w powietrzu, poszukując czegoś, czego mogłaby się złapać, ale wilgotna gliniasta ziemia wymieszana z na wpół zgniłymi liśćmi i trawą nie dawała jej żadnych szans.

Do diabła, nie będę krzyczeć, pomyślała Helena i jeszcze mocniej zacisnęła usta.

Na Vildegård poruszenie okazało się mniejsze, niż się tego obawiała Johanna. Bendik siedział przy długim stole wraz z Amelią, studiując notatki z licytacji w księgach lensmana. Wszystko należało podpisać, wszędzie przystawić pieczęć. Jasne było, że Magnus Storlandet ubił najlepszy interes w życiu. Wartość jego zagrody niemal się podwoiła, choć wielu praw i aktywów należących do Karlsgård nie brano pod uwagę w rozliczeniu.

Amelia żuła kawałek słonej kiełbasy i popijała wodą. U jej nóg Benjamin próbował wyżebrać dla siebie odrobinę smakołyku, lecz dostawał jedynie kawałeczki chleba.

Johanna zatrzymała się w drzwiach, usiłując się zorientować, w jakim nastroju są rodzice. Tak wiele utracili, lecz w obliczu powrotu Marji i Karla odnosiło się niemal wrażenie, że wszystko wręcz powinno zostać postawione na głowie. Miejsce wzdłuż całej jednej ściany zajęły kufry i skrzynie należące do Amelii, a na podwórzu Bendik pobudował prowizoryczną szopę, służącą jako schronienie dla pozbawionych tak nagle stajni koni.

Oboje rodzice mieli spokojne twarze, czoła bez zmarszczek.

Amelia poderwała się na widok Johanny.

- Dobrze spałaś? Mądrze postąpiłaś, że chciałaś trochę odpocząć. Chcesz coś zjeść? Śniadanie na pewno już wkrótce będzie gotowe, ale ja podkrađłam odrobinę z zapasów...

- Nie, dziękuję. Muszę z wami o czymś pomówić. O czymś bardzo ważnym. Obawiam się, że dla was nie koniec niespodzianek.

Bendik i Amelia popatrzyli na siebie. Córka nie wyglądała na zmartwioną ani na wystraszoną, a mimo to cała się trzęsła.

- To... ja... chodzi o Raviego.

Bendik pochylił się, spojrzął na nią uważnie.

- On... on wcale nie umarł. Spotkałam go... Amelia już biegła do niej.

- Ależ, moja kochana, biedna, jesteś już kompletnie wycieńczona. Bendiku, spójrz, jak ona strasznie pobladła!

Johanna położyła dłoń na ramieniu matki.

- Nie bój się, mammo, nie oszalałam. Nie zwidują mi się też duchy, jeśli o tym myślisz.

Ravi jest tutaj, cały i zdrowy, żywy. I tu zostanie, mammo.

W jej słowach dźwięczał upór, nie pozwalający rodzicom na nic więcej, jak tylko krótkie skinienie głową.

Bendik z trzaskiem zamknął księgi. Oczy mu się zwięziły, na czole pojawiła mu się drżąca zmarszczka.

- Czego chce ten człowiek?

Johanna cofnęła się w stronę drzwi, które uchyliły się jakby na dany sygnał. Stał w nich Ravi.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Johanny podniósł głowę i wytrzymał spojrzenie Bendika.

- Szczęść Boże, gospodarze - powiedział jasnym, wyraźnym głosem.

Amelia rozdziawiła usta i zaraz osunęła się na ławę, zapominając o uprzejmości. Ale malec bawiący się na podłodze również dostrzegł już mężczyznę w podartym ubraniu.

- Ta - ta!

I nie zadając sobie trudu, żeby wstać, na czworakach przeczołgał się po podłodze, z zachwytem krzycząc coś do Ravięgo.

Johanna podniosła go i podała ojcu, dziecko piszcząc z uciechy, wymachując kawałeczkiem chleba przez cały czas trzymanym w spoczonej ręczce.

- Am.

Cmoknął głośno i wcisnął chleb Raviemu w usta.

Johanna wyzywająco patrzyła na wstrząśniętych rodziców.

Ramiona Amelii opadły wreszcie, uśmiechnęła się wymuszenie, kręcąc głową. Bendik zamyślony gładził ją po plecach, ale nie spuszczał oczu z małej rodziny.

- A więc witaj w domu - rzekł cicho.

Johanna skubnęła Ravięgo w ramię i pociągnęła go za sobą do stołu, Benjamin zaczął wić się w jego objęciach, chciał iść do Amelii, żeby dostać jeszcze więcej chleba.

- Siadaj, człowieku. Wiele masz nam do wyjaśnienia - powiedział Bendik.

- Obawiam się, że tak - odparł Ravi z nieśmiałym uśmiechem.

Ale Johanna siadła między nimi i ucałowała ich obu po kolei.

Nigdy nie widziałam, żeby była tak szczęśliwa, pomyślała Amelia.  
Lecz, o dziwo, serce jej się od tego ścisnęło.

## ROZDZIAŁ IV

Nieduży chłopczyk biegł ile sił w nogach. Znali już tę jasną czuprynę, mały był synem kramarza, który związał się z wdową Vettre z Fembjørkhaugen. Mieszkali z dala od ludzi w połowie zbocza, a pod nimi ciągnęło się jedynie głębokie koryto rzeki. Mało mieli słońca w zagrodzie, a podobno we dworze, któremu podlegali, panowały złe porządki.

Teraz jednak na policzkach chłopca wykwitły rumieńce, jakby był księżym dzieckiem. Ciężko sapiąc, wołał, że przynosi wieści dla pana Bendika.

- Sprowadźcie też panią, bo potrzebna jest pomoc! Tu chodzi o życie!

Amelia przeglądała właśnie z matką jeden z jej licznych kufrów podróжных. W tym akurat mieścił się okazały zbiór naczynek i butelek, jakich Amelia nigdy dotychczas nie widziała na oczy. Kilka wykonano z najdelikatniejszej porcelany, na której czarnymi, pełnymi zawijasów literami wypisano oznaczenie zawartości. Marja wyciągnęła też stosy cienkich książek, niektóre w języku zupełnie nieznanym Amelii, w dodatku widniały w nich przedziwne litery, z jakimi nigdy dotąd się nie spotkała.

- To po rosyjsku - Marja krótko nauczyła córkę. Właśnie w chwili, gdy Amelia zastanawiała się, czy starczy jej odwagi, by wypytać Marję o szczegóły podróży, krzyk chłopca przyciągnął kobiety do okna.

Amelia pierwsza wybiegła z domu, w jednej chwili blada jak płótno.

Benjamin!

Ale chłopiec jękał coś o jakiejś kobiecie, wciąż nie mógł uspokoić oddechu, z całych sił zmuszał się, żeby stać spokojnie.

- To wasza służąca, pani! Spadła z Vesleskaret!

- Vesleskaret, ależ...

- Proszę iść ze mną, prędko, mówią, że ona umiera! Teraz włączyła się Marja, złapała chłopca za chude ramiona i lekko nim potrząsnęła.

- Uspokój się, mały! Mów składnie! Musimy się dowiedzieć paru rzeczy. Czy ona krwawi? A jeśli tak, to skąd? Jest przytomna? Ma jakąś ranę na głowie? Czy coś złamała?

- Ja... nie... wiem...

Marja puściła dziecko, pokręciła głową z rezygnacją.

- Wobec tego weźmiemy ze sobą większość rzeczy, Amelio. Wyciągnij łupki i mocne płótno. A ty, chłopcze, biegnij do parobków na Nedrevollen i powiedz, że potrzebuję jak najprędzej dwóch koni. Ty chyba jeździsz konno, Amelio?

Amelia lekko skinęła głową, lecz nie zdołała powstrzymać nagłego dreszczu, jaki przebiegł jej po plecach.

Marja wyciągnęła jakieś maści i buteleczki, wsunęła je do kieszeni fartucha, lecz zaraz stwierdziła, że nie jest to chyba najlepszy pomysł. Wbiegła do domu po starą skórzaną torbę z dwoma grubymi rzemieniami, którymi się ją opasywało. Zapomniała poprosić chłopca o przekazanie, by przygotowali dla niej także juki.

Gdy Marja wyszła przed dom, Amelia stała odrętwiała w tym samym miejscu, lecz najwyraźniej zdążyła już przynieść wszystko, czego potrzebowała.

- Helena - szepnęła. - Na miłość boską, Helena! Ona chyba nie zamierzała skończyć ze sobą?

- Nie byłaby pierwsza w takiej sytuacji, w jakiej się znalazła - odparła Marja cierpko.

- Musisz jej pomóc, mamó...

Marja zatrzymała się, popatrzyła w jasne oczy Amelii. Przez moment córka znów stała się maleńką dziewczynką, błagającą ją, by wróciła życie innemu Benjaminowi.

- Melio... zrobię co w mojej mocy, dobrze wiesz. Ale nie jestem Bogiem.

Amelia uśmiechnęła się lekko, skinęła głową.

- Zostaniesz na Vildegård - postanowiła nagle Marja. - To może być dla ciebie zbyt trudne. W dodatku jesteś potrzebna tutaj, wszystko musi już być przygotowane, kiedy ją przywieziemy.

Amelia poczuła się odrzucona, odepchnięta na bok, choć jednocześnie musiała przyznać, że wyprawa konno w górę Dalsdalen, a potem po stromym zboczu pod Vesleskaret wcale jej nie pociągała. To coś zupełnie innego aniżeli przejażdżka bryczką czy też nawet w siodle, ale prostymi, wygodnymi drogami.

- Pewnie masz rację. W dodatku możliwe, że Johanna wróci do domu. To będzie dla niej wielki cios, dla Raviego również.

Marja popatrzyła na Amelię.

- Johanna nie jest niczemu winna, bez względu na to, co się stało. Pamiętaj, żeby jej o tym powiedzieć.

- Oczywiście.

Od strony zagrody dla koni pojawił się parobek, dwie biegnące za nim klacze parskwały raźnie. Obie osiodłano damskimi siodłami, mocno ściągnięto też uzdę.

Marja zakląła tak siarczyście, że Amelia przestraszona drgnęła, i choć słowa, które padły, były niezrozumiałe, to mimo wszystko wbiły się jej w uszy niczym ciernie.



- Spiesz mi się, nie pojmujecie tego, durnie? Sądzicie, że można się prędko przemieszczać na takim idiotycznym siodle?

Dosiadła jednak konia, cmoknęła. Moment później chmura kurzu przesłoniła widok, bo kobieta na koniu popędziła już drogą.

- To ci dopiero baba! - mruknął do siebie parobek, ale najpierw upewnił się, że Amelia nie może go już usłyszeć.

- Dawno nie jadłam takich słodkich owoców - powiedziała Johanna z uniesieniem.

Leżała wyciągnięta na plecach w trawie porastającej zbocze. Roztaczał się stąd widok na połowę fiordu, a jednocześnie czuli się tu pewni; wiedzieli, że nie zobaczy ich żaden człowiek.

Dzień mógł być cieplejszy, lecz od zachodu nadciągał chłodny powiew. Pod osłoną gładów i iglastych drzew Ravi i Johanna znaleźli jednak dla siebie spokojne miejsce.

Wzdłuż starego rozsypującego się płotu rosły poziomki. Las dawno już odebrał sobie niewielkie splechotki pola, które kiedyś z wielkim trudem tu uprzątnięto. Kawałek poniżej natknęli się na szczątki dwóch starych chat, Ravi wyminął je z wielką ostrożnością. Johanna dobrze wiedziała, że takie resztki ludzkiego życia zawsze budziły w nim dziwne obrazy.

Ale teraz Ravi się uśmiechał, sprawiał wrażenie wesołego, jakby doznał ulgi.

Johanna wiedziała, że nie powinna go o nic pytać, w dodatku przecież jego oczy i tak mówiły wszystko. Przeżywał wielkie rozterki, decyzja, jaką podjął, nie była wcale łatwa.

Biedna Helena, pomyślała Johanna.

Powiedziała to również na głos, lecz wtedy Ravi, o dziwo, odwrócił głowę i nic na to nie odparł.

- Nikt nie może cię winić - szepnęła Johanna cicho, wsuwając mu dłonie na kark.

- Może i tak, ale najbardziej ze wszystkiego pragnąłbym nie musieć wybierać.

Johanna zeszywniała, lekko poirytowana.

- Widziałeś sam, dokąd cię to prowadzi. Uśmiechnął się nieśmiało.

- Tak, wybacz mi.

- Wybaczę ci wszystko, bylebyś tylko tu został - oświadczyła Johanna, próbując odegnąć lekki smutek, który nagle przemieszał się ze słodyczą poziomek.

To Ravi nabierał poziomek i nanizal je na długie źdźbło trawy, teraz nie została już ani jedna. Johanna wsunęła źdźbło między zęby, ssała zieloną sprężystą łydżkę, w którą jak gdyby przeniknęła odrobina słodczy owoców.

Ravi przesunął się kawałek w przód, położył na brzuchu z rękami pod brodą. Patrzył na nią. Johanna wyczuła jego głęboki wzrok i niemal się zawstydzila tego badawczego, jawnego przypatrywania.

- Wiesz, Johanno, jesteś teraz piękniejsza niż wówczas, gdy się spotkaliśmy. Wtedy byłaś tylko chudą dziewczyneczką.

Johanna machnęła w jego stronę trawką.

- Nie żartuj sobie, bezczelny z ciebie typ! Sądziś, że na ciebie miło było patrzeć? Byłeś taki chudy i kościsty, a przy tym czarny jak kruk.

- Ale teraz wyglądasz ślicznie. Jesteś piękniejsza od wszystkich. Ludzie będą gadać, że troll zakarował księżniczkę.

Johanna roześmiała się dźwięcznie.

- O, tak, na pewno tak powiedzą! Ale oni boją się trolla. Ja zresztą też.

Ravi zaczął stroić miny, warknął i wywinął usta w paskudnym grymasie. Wyciągnął rękę, żeby złapać Johannę, ale ona ze śmiechem krzyknęła i w ostatniej chwili zdołała się wykręcić. Poturlała się po trawie, lecz on natychmiast ją dopadł, razem już przetoczyli się pod starą sosnę i tam na żarty mocowali się ze sobą do chwili, gdy Ravi zyskał nad Johanną wyraźną przewagę i mocno ją przytrzymał.

- Ravi... jesteś silny...

Troll zachichotał i po raz ostatni wykrzywił się do niej. W serdecznym śmiechu Johanny dał się teraz wychwycić ton lekkiego przerażenia. On naprawdę potrafi być brzydki, w dodatku tu, pod drzewem, jego oczy błyszczą tak tajemniczo, strasznie, pomyślała.

Poczuła ukłucie lęku wśród tego śmiechu i Ravi widząc to dostrzegł, bo nagle puścił ją i odsunął się kawałeczek. Johanna, ciężko dysząc, przytrzymała go.

Napięte mięśnie rozluźniły się, oblicze trolla wygładziło. Włosy Johanny spłynęły na ramiona, a gdy pochyliła się nad Ravim, żeby go pocałować, opadły jej na twarz niczym zasłona.

- Zobacz, poziomki - szepnęła łagodnie, czując, jak serce w piersi nie przerywa swej dzikiej zabawy.

- Hanno moja - mruknął Ravi i łapczywie przylgnął do jej warg.

Jakie to dziwne, że pocałunki potrafią być tak różne, pomyślała Johanna z czułością.

Ravi wciągnął mocno powietrze w płuca, wtulił twarz w jej nagą skórę, widoczną spod odsłoniętej bluzki.

Johannę ścisnęło w piersi, zrozumiała, że wszystko się odmieniło.

Teraz było im wolno.

Tak, prawo było po ich stronie.

Podczas tych ostatnich sekretnych spotkań Ravi nie należał do niej w pełni. Choć Johanna nie do końca zdawała sobie z tego sprawę, to jednak wyczuwała chłód własnych pieszczot.

Może dlatego, że on niekiedy tak odsłaniał przed nią swoją niepewność?

Musiał cierpieć, lecz miał doświadczenie w ukrywaniu niedobrych myśli, nigdy się przed nią nie zdradził.

W serce ukłuł ją kolec zazdrości, zaraz jednak napotkała spojrzenie Ravięgo i ujrzała wszystko, co się w nim kryło.

On na pewno kochał także Helenę. Johanna jednak nie wierzyła, by kiedykolwiek w taki sposób patrzył jej w oczy.

Westchnęła i przełożyła nogę przez jego biodro, mocniej się w niego wtulając, nie na tyle mocno jednak, by uniemożliwić dalszą wędrówkę gorących warg po jej drżącej teraz z zimna skórze.

Koszula dała rozpiąć się bez trudu, a sznurowanie przytrzymujące w pasie spódnice rozplątało się już wcześniej podczas szalonej zabawy.

Dłonie Ravięgo przytrzymywały jej ramiona z łagodną stanowczością. Johanna jęknęła cicho, gdy potarł policzkiem o delikatną skórę wokół sutek. Lekki ból pocałunków sprawił, że zadrżała, lecz łaskotanie w ciele kazało biodrom instynktownie wysunąć się w jego stronę.

Potem on nagle odchylił głowę, łapiąc powietrze, uśmiechnął się do niej, gdy nie chciała go puścić. Zdjął kurtkę i rozłożył ją na ziemi, Johanna przesunęła się i ułożyła na plecach na kawałku materiału.

Dłonie Johanny niewiele musiały pomagać, gdy jej otwarta, krótka, sięgająca ledwie pasa koszula pozostała jedyną rzeczą strzegącą jej nagości. Ravi nie tracił czasu na jej pokonywanie, bo też i nie było to wcale konieczne. Johanna czuła jego słodkawy, znajomy zapach, a gdy otworzyła usta i pozwoliła, by język połaskotał go w pierś, uśmiechnęła się do siebie i przymknęła oczy. Jakiż on ma żywy smak!

Jak bardzo za nim tęskniła!

A Ravi nie uciekał przed nią, pozwalał, by smakowała wszystkiego, czego tylko zapragnęła.

Nie śmiał się ruszyć, wstrzymał oddech, aż w piersiach go ścisnęło, i próbował ucześcić się tego nieprzyjemnego uczucia, by od jej pieszczot nie zawirowało mu w głowie.

- Chodź - powiedziała wreszcie Johanna, tuląc się całym ciałem do jego boku.

Znów przysunęła gorące wargi do jego ust, a Ravi wciąż miał wrażenie, że tkwi na nich smak poziomek, choć przyprawiony teraz ostrzejszą, bardziej podniecającą przyprawą.

Pożądaniem.

Westchnął. Johanna, nie odrywając się od jego ust, uśmiechnęła się.

Ravi czuł nacisk jej łydki na tył własnego uda, wkrótce jednak to wrażenie zniknęło wraz ze wszystkimi innymi w miękkim mroku czerwonego aksamitu.

Johanna ciężko chwyciła powietrze, dłonie na jego karku zacisnęły się jeszcze mocniej, on także otoczył ją ramionami i miał wrażenie, że nie może znaleźć się dostatecznie blisko.

Rozmarzonymi ruchami Johanna pokierowała obojgiem, Ravi pochylił się teraz nad nią, czuła jego ciężki oddech. Wykręciła głowę, chciała go jeszcze raz pocałować, twarze mieli na wpół ukryte pod ciemnymi włosami, które zapłątywały się w ręce, zwilżane gorącym oddechem dwojga ust.

Johanna widziała radość na jego twarzy - radość, która była odbiciem jej własnego szczęścia.

Chciała, żeby sam poszedł do szałas. On na pewno to zrozumiał, choć nieraz proponowała, że będzie mu towarzyszyć.

Ravi się nie obawiał, że przyczyni bólu Helenie, nie w tej chwili. Bez względu na to, jak wielkie będzie jej cierpienie, jego cierpienie może się z nim równać.

To będzie coś w rodzaju pokuty.

Tej kobiecie, która kiedyś uratowała mu życie, winien jest wyjaśnienie.

Było też coś, co chciał jej dać na pociechę.

Wiedział, że dla Heleny może to zrobić. Nie wiedział za bardzo, w jaki sposób, czuł jednak, że to możliwe.

Helena ma w sobie taką siłę i jest taka odporna, dobrze z nią robić interesy.

Już ona poradzi sobie ze snami, gdyby ją nawiedzały.

Ravi pożałował swoich ciemnych myśli, żałował, że dokonanie wyboru wydawało mu się kiedyś niemożliwe.

Przecież mimo wszystko okazało się to takie proste.

Johanna jest jego kobietą, tak jak było zawsze.

Zawsze.

Nawet jeszcze zanim się spotkaliśmy, myślał Ravi, biegnąc niespiesznie znajomą ścieżką.

Ona na pewno już niedługo dotrze do domu, na Vildegård, a on być może wybierze się tam jeszcze tego wieczoru. Helena pójdzie razem z nim. Johanna już znalazła dla niej miejsce. Karczmarz z Døsen nie zaliczał się do ludzi, którzy bali się, że ludzkie gadanie doprowadzi do czegoś więcej aniżeli częstsze wizyty w szynku. Helena na pewno dobrze się tam urządzi na te kilka miesięcy, będzie miała lekką pracę i oddzielną izdebkę na stryszku tylko dla siebie.

A gdy tylko dziecko przyjdzie na świat, odzyska wolność.

Do tego czasu na pewno wiele się nauczy, pomyślał Ravi.

Przynajmniej tyle, by znajdować wodę, a może i czegoś więcej, tak by ludziom odbierało mowę, by traktowali ją z większym szacunkiem.

Helena zawsze zazdrościła mu owej niezwykłej mocy, nieraz bawiły ją jego sztuczki.

Nic go nie kosztuje zabranie jej do przedsiönka tajemnic.

Szałas wyglądał na zupełnie opuszczony. Wydawał się nawet bardziej krzywy, zdaniem Ravięgo, jeszcze bardziej porośnięty mchem.

Jak gdyby przebywał z dala od niego przez pół życia, a nie zaledwie przez kilka godzin.

Zawołał ją po imieniu, sam słyszał, że jego głos zabrzmiał niepewnie, jakby się łamał.

- Heleno, gdzie jesteś? Gunnelius, człowieku, leżysz tu i gnijesz?

Zanim jeszcze otworzył drzwi, wiedział, że w środku nikogo nie ma.

Czyżby mimo wszystko poszła na Vildegård?

Następna myśl była niczym uderzenie prosto w żołądek.

Czy go porzuciła?

Czy zrozumiała?

Raviemu zakręciło się w głowie, ale nie przestawał wołać. Popędził na tyły szalasu, chociaż doskonale wiedział, że nikt się tam nie ukrywa, Przebiegł przez niedużą polanę do strumienia, w którym zwykle się myli.

Na kamieniu leżało zrobione z kory maleńkie pudełeczko na mydło i spodnia halka. Helena najwidoczniej zapomniała, że przed deszczem rozwiesiła ją do wyschnięcia.

Ravi pochylił się, żeby zdjąć koszulę.

Wtedy halka uderzyła w niego, zszarzałe płótno trafiło go, jak gdyby iskrząc się przedziwnie, tuż przy nim pojawiła się pozbawiona życia twarz Heleny, z grubego płótna wyłonił się szary kontur.

Ravi puścił halkę, cofnął się, machając dłońmi przed oczami, a wizja zniknęła równie gwałtownie, jak się pojawiła.

Krew w żyłach zlodowaciała mu, skrzepla, paraliżując całe ciało i odbierając wszystkie resztki ciepła, które miał w sobie, gdy tu przyszedł.

Marja jechała jak mężczyzna. Nawet pomimo tego idiotycznego bocznego siodła udało jej się nakłonić konia do galopu. Grzbiet zwierzęcia już pokrył się pianą, popędziła je dalej w górę drogi, mijając zakręty, niewielkie chaty i szopy, ustawione na skrajach z trudem uprzątniętych pól. Przecięła rzekę. Kierowała koniem, domyślając się raczej niż wiedząc, którędy powinna jechać, chociaż chłopiec co nieco wyjaśnił: spora część drogi prowadziła w stronę starego kąpieliska.

Teraz jednak nie bardzo już wiedziała, czy powinna ruszyć ukosem po tym stromym zboczu, czy też łatwiej jej będzie dotrzeć na miejsce, jeśli pojedzie jeszcze kawałek do przodu, a potem zawróci tuż w pobliżu skały.

Zatrzymała się na moment, mocno ściągając cugle, i zaczęła nasłuchiwać.

Ale nie dochodziły żadne głosy.

Marja zawołała.

Odpowiedź rozległa się jasna i wyraźna.

Zeskoczyła z konia, przywiązała go. Uniosła spódnicę i związała ją między nogami, tworząc z niej coś w rodzaju szerokich pantalonów. Do czorta, jakże brakowało jej tu skórzanych nogawic, których używała w gorących krajach...

Kiedy schyliła się pod splątanymi zaroślami i niemal na czworakach przepęzła kawałek po kamieniach i wyszlifowanych do gładzi skałach, wyszedł jej na spotkanie mężczyzna w podartych portkach i zniszczonej żołnierskiej kurtce.

- Ona jest tutaj. Chodź prędko, wydaje nam się, że to już koniec.

- Aż tak trzeba się spieszyć? - wysapała Marja i oblizała krople krwi z ręki poranionej podczas wspinaczki.

- Myśleliśmy... Johanna, nie ma jej? - Nie.

- Ale... ty, pani...

- Rozumiem, że jesteś za młody, ale gdybyś spytał swego ojca, to myślę, że powiedziałby ci, że większość chorych była zadowolona z mojej opieki.

- Oczywiście, pani, przepraszam...

Marję wprawiało w irytację całe to jąkanie się i stękanie. Niechętnie już przyjmowała tę niepewność, jaka zawsze ją spotykała, szczególnie ze strony młodych mężczyzn.

Helena leżała, jak gdyby nikt nie śmiał jej ruszyć, w dziwnej pozycji, zgięta w pół, z jedną nogą pod sobą, a drugą wyprostowaną. Brodę miała przyciśniętą do piersi i Marja, widząc to, zakląła.

- Oddycha?

- Nie... tak... nie bardzo wiemy.

Marja delikatnie obmacała kark dziewczyny. Krew nie poplamiła niezwykłych włosów. Dotykem wyczuła równe kręgi szyi i gdy zdecydowała się wyprostować głowę Heleny, zorientowała się, że ranna oddycha.

- Dzięki Bogu - mruknęła Marja, posyłając zirytowane spojrzenie dwóm młodym mężczyznom, którzy stali przy niej tak samo nieruchomi jak leżąca na ziemi, nie wykazująca żadnych oznak życia kobieta.

Marja z wielką ostrożnością wyprostowała skulone ciało i rozluźniła ubranie Heleny. Brzuch wydawał się w dotyku wilgotny i twardy. Marja, wstrzymując oddech, przyłożyła do niego dłoń w oczekiwaniu na skurcz lub jakiś inny znak. Nic jednak się nie stało.

- Nie stójcie tak, zróbcie nosze, do diabła!

- Już je przygotowaliśmy - powiedział nieśmiało jeden z mężczyzn. - Brak nam tylko prześcieradła... Może weźmiemy twój czaprak?

- Przynieście go - rozkazała Marja, a potem otworzyła swoją torbę i wyjęła z niej niewielką flaszkę. Był w niej skoncentrowany wyciąg z czarnego bzu, kory lipowej i słodkiego rozmarynu, ale do wódki dodano również soku z potężnej łądygi achola i ziarenek pieprzu. Lekarstwa te podawano kobietom, by zatrzymać poród, działały jednocześnie rozluźniająco na zranione ciało. W tym przypadku mogło się przydać ich podwójne działanie.

Helena jęknęła cicho, gdy mężczyźni wzięli ją na ręce i przełożyli na nosze.

- Ostrożnie! I mówię wam, nie wolno wam się teraz potknąć!

Marja ujęła Helenę za nadgarstek, lecz niestety, nie udało jej się wychwycić słabego echa uderzeń serca dziewczyny.

Ona jest młoda i silna, pomyślała Marja. Złamała nogę i na pewno ma parę porządnych siniaków, jakoś to przetrzyma.

Zdawała sobie jednak sprawę, że rany mogą być znacznie bardziej dotkliwe, a z każdą upływającą minutą, w której nie udawało się nawiązać kontaktu z Heleną, rosła obawa, że ranna nie przeżyje wypadku.

Marja jeszcze raz dotknęła brzucha dziewczyny.

Miała wrażenie, że wyczuwa jakiś ruch, leciutkie, powolne drżenie.

No cóż, jeśli dziecko przetrwało, to musi się kryć za tym jakiś głębszy sens.

Gdy jednak po długiej mozolnej wędrówce w dół dotarli wreszcie do drogi, Marja spostrzegła, że brązowy czaprak z wolna zabarwia się krwią.

Oczy jej pociemniały.

Wpuściła Helenie do ust kilka przezroczystych jak szkło kropli obcego lekarstwa z dodatkiem dobrze wyrośniętego skrzypu.

- Ona krwawi! - zawołał jeden z mężczyzn, mocno się przy tym czerwieniąc.

Marja patrzyła na niego tak długo, aż jego twarz na powrót pokryła się bladością.

Bez słów popędziła ich, teraz ważniejszy od ostrożności był jak najszybszy powrót do domu. Gdy dojeżdżali już do Vildegård, Marja dosiadła konia i ruszyła przodem, by powiadomić wszystkich.

Coś jej podpowiadało, że Johanna już wróciła do domu.

- Czy ona umrze? Ach, dobry Boże, to nie może być prawda!

- Nic nie da się powiedzieć na pewno, Johanno. Sądzę jednak, że nie powinniśmy mieć zbyt wielkich nadziei.

Johanna osunęła się na stołek ustawiony na środku kuchni. Zajęta była przygotowaniami do pieczenia razem z Bjørg, niecka stała wypełniona pszenno - żytnim ciastem na podpłomyki, płaskie chlebki, a w garnku nad ogniem perkotała śmietana wymieszana z mąką, z której po dodaniu jajek miały smażyć się w smalcu złociste lekkie ciastka na ucztę.

Marja nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć albo zrobić.

- On ją zdradził, musiała się o tym dowiedzieć. Musiała nas zobaczyć!

- Może i tak - odrzekła Marja. - A teraz podnieś się i chodź do niej ze mną. Och, gdyby tylko nowa chata była już gotowa, mielibyśmy się jak ruszać. Tutaj jest ciasno jak w szcurzej norze!

Johannie nie przypadły do gustu twarde słowa Marji, ale nie powiedziała na głos, że to właśnie należące do babki kufry i skrzynie, tobołki z odzieżą i meble wypełniły Vildegård niemal do granic wytrzymałości.

Marja odsunęła jakieś rzeczy i uprzątnęła jedną ze stojących najbardziej w głębi pryczy dla chorych. Wniesiono Helenę.

Johanna natychmiast ujęła podrapaną rękę, potrząsnęła nią leciutko.

Twarz Heleny wydawała się taka maleńka i taka młoda. Może dlatego, że ostro patrzące oczy miała teraz zamknięte, a włosy nieporządnie rozwichrzone jak siedmiolatka.

- Heleno, Heleno, nie umieraj...

Marja na widok dwóch młodych kobiet obok siebie poczuła ból ściskający ją za serce. Bjørg przyniosła wodę i prostą koszulę.

- Ja ją obmyję - cicho powiedziała Johanna. Ale Marja odsunęła ją twardą ręką.

- Johanno, nie chcę z twojej strony żadnej pokuty.



I nie zostawiając miejsca na najdrobniejszy nawet sprzeciw, wyprosiła Johannę za drzwi.

- Przeprowadź Ravięgo! On mógłby nam pomóc! Johanna z początku patrzyła na nią, jakby niczego nie rozumiała, aż wreszcie dotarło do niej, o co chodzi Marji.

- My dwie jesteśmy tylko jak dzieci, które się bawią. To zadanie dla Ravięgo.

- W jaki sposób... Skąd...

- Po prostu wiem - uśmiechnęła się Marja tajemniczo. Johanna kiwnęła głową, odwróciła się i wybiegła, lecz gwałtownie zatrzymała się na podwórzu i złapała za uzdę konia, który zapewne spodziewał się już, że oto uwolnią go od siodła, do którego nie był przyzwyczajony, i pozwolą w spokoju wrócić na ogrodzone pastwisko.

Pokonała zaledwie pierwszy niewielki zakręt i już tam go spotkała.

- Ravi, ach, Ravi, stało się coś strasznego! Helena spadła, widocznie pobłądziła... w ciemności, nocą. Musiała...

Niemal zeskoczyła z konia prosto w jego ramiona, ale usta nie przestawały wypowiadać słów, oczy zaś nie mogły odnaleźć jego spojrzenia.

- Hanno moja... wiem o wszystkim.

- Wiesz? Widziałeś? To znaczy, kiedy widziałeś? Wyrwała mu się, gdy zwlekał z odpowiedzią.

- Nie wiedziałeś o tym z góry, Ravi! Nie wiedziałeś? Ravi zrozumiał, że jego odpowiedź będzie miała decydujące znaczenie.

- Nie wiedziałem - odparł w końcu. - W każdym razie nie lepiej od innych ludzi. Teraz wiemy już o tym oboje, Johanno, ale to mój ciężar, nie twój...

- Niczyj - prędko powiedziała Johanna. - Ona jeszcze nie umarła. Możesz jej pomóc, prawda? Masz to ciepło w dłoniach, mocniejsze niż jakikolwiek inny człowiek.

- Być może - przyznał zmęczonym głosem.

- Musisz!

Wykrzyknęła to niemal, pociągnęła konia za sobą. W końcu prawie już biegli. Ravi, spłoszony i wystraszony, kilka kroków za powiewającą spódnicą Johanny.

Wtedy nagle rozległ się dzwon wzywający na posiłek na Karlsgård, Johanna drgnęła i potknęła się. W oczach zakręciły jej się łzy, a Ravi uświadomił sobie, że Johanna nie zniesie teraz więcej smutków.

## ROZDZIAŁ V

Marja stała z wyrazem napięcia w oczach i lekkim uśmiechem na ustach. Wolnym ruchem zaciskała i prostowała palce, jak gdyby aż swędziały ją, żeby się wmieszać.

Twarze innych wyrażały coś wręcz przeciwnego. Bendik, nieruchomy i blady, stał tuż przy Amelii i niemal jakby się jej trzymał, Amelia zaś uczepliła się bala tworzącego nogi łóżka. Kostki powyżej jej srebrnych pierścionków pobiełały.

Johanna ledwie przycupnęła na brzeжку pryczy, przy której stał Ravi pochylony nad Heleną.

W całym domu zapadła nieprzyjemna cisza. Nawet na podwórzu, po którym chodziły puszczone wolno świnię, panował kompletny spokój. Parobcy również schronili się za cienkimi drewnianymi ściankami.

Amelia zatroszczyła się, by rozpalono ogień na wielkim kominku między izbami. Z dobrze wysuszonego drewna strzelały iskry.

Johanna nie spuszczała oczu z Ravięgo, śledząc każdy jego nawet najdrobniejszy ruch.

Skóra Heleny miała barwę na wpół skwaśniałej śmietany. Gdy buchały płomienie z kominka, nabierała złocistości o niezwykłym niebieskawym połysku jak światło wpadające przez dwa malutkie okienka.

Ravi delikatnie odsunął żółtobiałe płótno koszuli. Johannę zakłuło w sercu, gdy dostrzegła, z jaką czułością to robił. Tak delikatnie, jak gdyby miał do czynienia z noworodkiem, przyłożył dłonie do skóry Heleny, do jej klatki piersiowej unoszącej się w ledwie zauważalnym oddechu. Piersi Heleny wciąż pozostawały zakryte, Johanna jednak nie mogła się powstrzymać od tego, by nie zatrzymać spojrzenia na miękkich wypukłościach rysujących się pod materiałem. Helena była piękna, nawet teraz, na poły umarła. Kontrast między jej skórą a ciemnorudymi włosami był zaiste zaskakujący i nawet liczne piegi, którymi obsypane były ręce i dekolty, wyglądały jak prześliczny wzór namalowany dla ozdoby. Zobaczyła, że Bendik przymyka oczy, gdy Ravi, omijając piersi Heleny, przesunął ręce w dół na brzuch. Helena wciąż jeszcze była szczupłą, zważywszy na czas. Kiedy leżała na plecach, brzuch rysował się tylko jak nieduża kula.

- Żyje - oznajmił Ravi.

- Dziecko?

Kiwnął głową, czoło pokryło mu się potem. Później gwałtownym ruchem przyciągnął rękę do siebie i przyłożył je do głowy Heleny. Johanna spostrzegła, że zacisnął oczy, aż zmieniły się w wąziutkie szparki, a twarz jakby nagle się postarzała.

- Żyje - szepnął. Nikt się nie odezwał.

Ravi jęknął, jak gdyby musiał dźwignąć wielki ciężar. Dłonie mu się trzęsły, poczerwieniały i stały się niemal bezwładne.

Oddychał w takim rytmie jak wtedy, gdy biegł.

Ravi się męczył.

Coś najwyraźniej powstrzymuje tkwiącą w nim moc, pomyślała Johanna.

Marja przeniosła ciężar ciała na drugą nogę, rozejrzała się dokoła, zanim zwilżyła wargi i odważyła się spytać:

- Czy to bardzo trudne? Co ty o tym myślisz, Ravi?

Nie odpowiedział jej, teraz całkiem już zamknął oczy, a w głębokich westchnieniach słysząc było coraz większy ból.

Maleńka izdebka Johanny nie nadawała się na pokój gościnny, a z Amelią i Bendikiem w pokoiku najbardziej w głębi, rzeczami Marji zaś w drugim, nie było tu już miejsca dla ani jednego człowieka. Johanna miała u siebie dziecko, a Karl Martin już następnego dnia po powrocie do domu postawił prymitywny szałas z iglastych gałęzi tuż przy wydzierzawionej obcym ludziom zagrodzie Oppdal. Kontrakt mijał dopiero za cztery lata, lecz Karl Martin już podjął negocjacje z mieszkającym tam chałupnikiem i zaproponował mu godziwą przyszłość w innym miejscu.

Rawiego tymczasem umieszczono w kuchni. Dość szeroka, ale krótka rozkładana ława nie była najlepszym miejscem do spania, lecz Ravi dziękował i przynajmniej z pozoru nie przejmował się ani trochę, że przypadło mu miejsce najmłodszej ze służących, najniżej w hierarchii. Wiele czasu upłynęło już, odkąd służące z Vildegård sypiały w kuchni, zawsze bowiem istniało ryzyko, że w odpoczynku niepotrzebnie przeszkodzą im złe sny albo jęki bólu dobiegające z sal chorych.

Wciąż paliło się na kominku, który ogrzewał jednocześnie izby oraz kuchnię. Natomiast piec do gotowania, z odlewana żelazną płytą i pięknie zdobionym frontem, stał przy zewnętrznej ścianie. Zbudowano go już w nowszych czasach.

Ravi sennie mrużył oczy. Marja natychmiast go dopadła, gdy tylko chwiejnym krokiem odszedł od posłania Heleny, lecz Johanna ocaliła go przed nią i zabrała na chwilę do siebie. Wiedziała, że potrzeba mu teraz spokoju, nigdy nie był tak bardzo wyczerpany jak po tych chwilach, gdy musiał użyć swej mocy, gdy walczył całym sobą i przeciwko sobie.

Przyrzekła mu jednak, że obudzi go niezadługo i wtedy - Johanna zapowiedziała mu to z uśmiechem na pobladłych wargach - musi liczyć się z tym, że zostanie przyparty do muru przez wystraszonego ojca i całą resztę przejętych członków rodziny.

Helena nie obudziła się podczas zabiegu, lecz nawet Johanna widziała, że oddycha teraz głębiej, a krwawienie ustało.

Wciąż nie było żadnego znaku, by upadek miał wywołać przedwczesny poród. Ravi zaś twierdził, że dziecko żyje, choć ani Marja, ani nawet Johanna nie były w stanie dosłuchać się żadnych potwierdzających to odgłosów.

Postanowiły mu ufać. Ravi odsunął Marję, gdy przyszła ze swoimi buteleczkami i chciała podać Helenie więcej lekarstwa na wzmocnienie, które jednocześnie zatamowało krwotok i zatrzymało skurcze porodowe.

- Nie trzeba tego - oświadczył cicho Ravi.

I Marja ustąpiła, choć nie powstrzymała się od zdradzającego urazę komentarza:

- Na pewno by nie zaszkodziło.

Johanna zadrżała z zimna, niemal poczuła spojrzenia, jakie wymienili między sobą ci dwoje. Na szczęście Marja zaśmiała się krótko, z uznaniem, i spakowała swoje rzeczy, zasypując przy tym Raviemu tuzinem pytań.

Właśnie wtedy Ravi umknął do jej izdebki. Leżał tam przez pewien czas, targany dreszczami, aż wreszcie ciało się uspokoiło, a płytki sen pozwolił mu choć przez chwilę wypocząć.

Teraz jednak siedzieli wokół prostego stołu, przed każdym stała miska gorącej zupy i leżały świeżo upieczone podpłomyki.

Wszyscy milczeli, czekając, aż ktoś wreszcie nazwie po imieniu to, co ich teraz czekało.

Ravi zapatrzył się w zupę, lecz podniósł głowę i spoglądał spokojnie, gdy Bendik wreszcie chrząknął i dolał piwa.

- Nie bardzo wiem, co mam powiedzieć... To niesłychane czasy, dziwne, że można w ogóle wierzyć, iż kiedyś wreszcie nadejdzie spokój...

- Ależ, tatusiu!

- Nie, nie, nie chciałem nikogo o nic obwiniać, ale tyle rzeczy się dzieje i przecież przeżyliśmy tak wiele dobrego. Marja wróciła do domu... i oczywiście Karl Martin, no i Ravi... okazało się, że jednak nie umarł.

- Nie jesteśmy już panami na Karlsgård - wtrąciła się Amelia i zaraz prędko dodała: - Ale zostało nam tyle, że damy sobie radę.

Bendik pokiwał głową.

- Tak, tak, wiele się wydarzyło. Aż trudno mi wszystko spamiętać. Wiem też, że w wielu sprawach nie pozwolono mi uczestniczyć, teraz jednak chciałbym się dowiedzieć paru rzeczy.

Kiwnął głową w stronę Raviego, który też wypił łyk piwa.

- Czy ty jesteś mężem mojej córki?

Ravi popatrzył na Johannę, która leciutko kiwnęła głową.

- Tak - odpowiedział. - Pytanie tylko, czy pastor zechce to uznać.

- A więc trzeba wyprawić nowe wesele?

- Ależ, tato, jesteśmy przecież...

- Myślę, że tak - odparł Ravi lekko.

- I wy się już zdecydowaliście? Bez względu na to, co się stanie?

Przelotne spojrzenie rzucone na drzwi do izby, w której leżała wciąż nieprzytomna Helena, potwierdziło, o czym myśli Bendik.

- Tak - oświadczyła Johanna wyraźnie. - Bez względu na wszystko. Zaopiekujemy się też jej dzieckiem, prawda?

Ravi przyświadczył skinieniem, lecz wzrok miał dziwnie daleki.

Bendik westchnął lekko i ułamał sobie nowy kawałek chleba.

- A więc musimy myśleć jeszcze o weselu? Całą jesień poświęcimy na budowę, jeśli będziemy mieć szczęście, nowy dom stanie jeszcze przed Bożym Narodzeniem. A twój dom, Marjo... sama będziesz musiała o niego zadbać. Powinniśmy mieć stajnię i stodołę. Owce, kiedy zejdu z gór, możemy umieścić w tej nędznej oborze w Bringe...

- Tato, całkiem się już chyba pogubiłeś. Czy nie chciałeś rozmawiać o nas?

Bendik uśmiechnął się do córki.

- Jesteś już za duża na różgi, Johanno, ale muszę przyznać, że w związku z całą tą sprawą mam ochotę spuścić porządne lanie przynajmniej jednemu z was. Kiedy wyjechałaś z Ravim... wydaje mi się, że nigdy równie mocno nie cierpiałem. W każdym razie od czasu, gdy przywędrowałem tutaj.

- Wiem o tym, tato. Wiem.

- Musisz nas teraz upewnić, że naprawdę wiesz, czego chcesz, Ravi. Że możemy ci zaufać i że może ufać ci również Johanna. Mówiłeś mi kiedyś, że nie poradzisz sobie z gospodarowaniem w zagrodzie.

Ravi lekko kiwnął głową, odłożył łyżkę.

- To ciągle jest prawdą, Bendiku. Wydaje mi się jednak, że tej zagrodzie nie potrzeba innego gospodarza, przynajmniej dopóki ty tu jesteś.

Bendik pochylił się do przodu.

- Nie chodzi tylko o Vildegård. Widzisz, jeszcze się nie poddaliśmy. Dopóki krew będzie krążyć w moich żyłach, będę walczyć przeciwko niesprawiedliwości, która odebrała Amelii i jej bratu ich dziedzictwo. Karlsgård należy do nas. Kiedyś przypadnie tobie, Ravi, jeśli poślubisz Johannę, a później twojemu synowi. Jak ci się to widzi?

Ravi popatrzył prosto w pełne uporczywości oczy Bendika i zarejestrował na twarzach innych echo tego, co powiedział ojciec Johanny. To doprawdy dziwne, jak niektórzy ludzie przywiązują się do spłachetków ziemi, jak istotne jest dla nich posiadać wciąż te same pola, a nie wszystko jedno który kawałek urodzajnej roli.

- Rozumiem - rzeki powoli. - Rozumiem, jak bardzo ważne jest to dla was, i tyle mogę obiecać. Moja krew już się zmieszała z waszą, będę żył tak, by nie przynieść więcej wstydu Johannie. Nikt we wsi nie zobaczy mnie, pijanego, szalejącego, ale... nie mogę całkiem zmienić skóry. Mogę jedynie poszukać sobie jamy wśród kamieni, gdy się to stanie...

Marja wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Bendik kiwnął głową, rozumiał, o co chodzi Raviemu.

- Mam więc twoją obietnicę. Johanno, a czy ty masz coś do powiedzenia staremu ojcu?

Johanna przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się.

- Jedyne, co mogłabym ci powiedzieć, to tyle, że powinieneś dobrze się troszczyć o dziesięcinę w tym roku, ojczu, bo namówienie pastora do tego ślubu może drogo kosztować.

Marja poderwała się.

- Już wiem! Nie musicie się przejmować pastorem, mam pewien pomysł, o wiele lepszy, znam kogoś, kto...

Amelia przerwała jej, machając ręką.

- Żadnych wystrojonych księży z Christianii, co to, to nie! Wiele jeździłaś po świecie, matko, ale tu, u nas w wiosce, ślubu udziela nam ten, kto mieszka wśród nas. I, na Boga, dotyczy to również Johanny! Cały świat musi na to patrzeć!

- Myślisz chyba „cała wioska” - mruknęła Marja pozieleniała ze złości.

- Tak - kiwnęła głową zadowolona Amelia. - Wszyscy. Oczy Johanny rozjaśniły się, gdy spoglądała na Ravięgo, który niezgrabnie usiłował odszukać jej rękę pod stołem.

- Będzie zgoda, przekonasz się.

Bendik przeciągnął palce przez krótką jasną brodę.

- Hm... naprawdę możemy w to wierzyć?

Niby w odpowiedzi z izby dobiegł cichy kaszel. Marja poderwała się natychmiast i wpadła do środka, ale Johanna siedziała nieruchomo i tak mocno ścisnęła Ravię za rękę, że on także nie mógł odejść od stołu. Nikt inny nie wstawał, siedzieli tylko i słuchali, jak Marja nalewa ze stągwi wody do picia. Kaszel Heleny ucichł wśród mlaskania i przełykania.

- Ona żyje - powiedział Bendik ze zdziwieniem, jak gdyby dopiero teraz odważył się uwierzyć w słowa Ravięgo.

Johanna skuliła się ze wstydu, że nie odczuwa żadnej radości.

Niczym we śnie poczuła, jak ręka Ravięgo wysuwa się z jej dłoni. Wymknął się z za stołu, usłyszała tylko jego oddalające się kroki.

Oczy jej zwilgotniały, ale wstrzymała oddech, z całych sił koncentrując się na ostatnim kawałeczku mięsa i kapuście.

- On jest nieprawdopodobny - cicho powiedziała Amelia.

Johanna zerknęła na matkę.

- Niemal się go boję.

- Ja także - szeptem przyznała Johanna.

- Do diabła, on jest niebezpieczny!

Karl Martin trzymał się z boku, tak w czasie posiłku, jak i wcześniej, gdy zgromadzili się wokół postania Heleny.

Ale teraz podniósł się gwałtownie i mocno pchnął swoje krzesło w tył.

- Uważaj na siebie, Johanno! Znam dobrze takich jak on, nic dobrego z tego nie przyjdzie. Powinnaś była zrozumieć to już dużo wcześniej!

Johanna szeroko otworzyła usta, od twardych słów wuja zapało jej dech w piersiach, lecz Amelia z gniewem popatrzyła w oczy brata bliźniaka, zastanawiając się, co tak bardzo go odmieniło.

Ten spokojny, trochę nieśmiały chłopiec... prawdziwy mistrz w niezwracaniu na siebie uwagi.

Oszukany i zwiedziony przez Nielsa Kvithovuda. Bóg wie, ile przeszedł, jakich cierpień zaznał daleko za granicą.

Gdzieś pod tą milczącą maską został pewnie ów chłopczyk, którego tyle razy w dzieciństwie gładziła po włosach i któremu śpiewała czułe piosenki, gdy matki nie było w domu.

Karl Martin demonstracyjnie wypluł jakieś twarde włókno z mięsa, na palenisku zasyczało.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Amelia popatrzyła na Marję, która odwróciła wzrok niemal z zawstydzeniem.

- Któregoś dnia musisz nam opowiedzieć - rzekła po prostu.

Marja drgnęła i zaczęła jedynie sprzątać ze stołu. Ruchy miała sztywne, choć prężne.

Johanna przez ścianę słyszała szept Heleny.

I odpowiadający jej łagodny, głęboki głos Ravięgo.

Narastał w niej niepokój, wiedziała, że chodzi tu o brudną zazdrość. Niepokój miał jednak w sobie coś jeszcze, przecucie, które z goryczą nauczyła się brać pod uwagę.

- Chodź, pójdziemy do tej izby - cicho powiedziała matka. - Wydaje mi się też, że słyszałam Benjamina...

Pierwszym słowem Heleny było „nie”.

- Nie, nie, nieeeeeeee!

Na pewno by krzyczała, ale głos nie chciał jej słuchać, nie mogła bowiem porządnie napełnić płuc powietrzem. Z zielonych oczu bił ból, Amelia prędko zrozumiała, że dziewczynie trudno oddychać.

- Znów połamałaś kilka żeber, a noga naprawdę nie wygląda ładnie - zwróciła się cicho Amelia do chorej po tym, jak pomogła jej się trochę napić.

- Wyzdrowiejesz - łagodnie rzekł Ravi. - Pomożemy ci.

- Nie - zacharczało w gardle Heleny. Odwróciła głowę do ściany, jakby chciała się odciąć od wszystkich.

- Twoje dziecko najwyraźniej da sobie radę - podjęła Amelia z taką samą życzliwością.

Teraz słyszeć się dało tylko parsknięcie.

- Trochę krwawiłaś... ale dziecko żyje. Ravi mówi... Teraz Helena zakłęła, bardzo wyraźnie, nie dało się tego nie zrozumieć.

Ravi cofnął się o krok, jak gdyby epitety, którymi go obrzucała, w istocie zrywały z niego przebranie.

- Dobrze, już dobrze, uspokój się. Zaoszczędź sobie gniewu na czas, kiedy poczujesz się lepiej. Teraz najbardziej potrzeba ci spokoju, musisz leżeć bez ruchu i robić to, co ci powiemy. Nie wolno ci jeszcze bardziej zaszkodzić sobie i dziecku, Heleno, to wielki grzech.

Przemowa Amelii nie miała żadnego widocznego wpływu na Helenę, dziewczyna rzucała się na łóżku, jak gdyby nic nie robiła sobie z bólu, który musiał ją przeszywać przy każdym gwałtownym ruchu.



Ravi znów ośmielił się wysunąć w przód. Pochylił się tylko nad Heleną i popatrzył jej w oczy.

Dziewczyna opadła na poduszki, jak gdyby ogarnął ją nieprzytomny spokój. Johannie serce mało nie wyskoczyło z piersi, bała się wręcz, że tamci zaraz usłyszą jego bicie.

Ravi pogłodził Helenę po głowie, potem zaś odwrócił się, wyminął wszystkich, przemknął pod niskimi półkami na tylnej ścianie i wrócił do kuchni. Nikt nie odważył się pójść za nim ani też odezwać się do Johanny, która stała jak odrętwiała, pozwalając łzom bezszelestnie płynąć po policzkach.

On żałuje, pomyślała.

Ta wstrętna myśl nabierała mocy i coraz ciaśniej otaczała jej serce, naciskając tak, że nie wiedziała już, jak może zaczerpnąć oddechu.

On bardziej kocha Helenę, szkoda mu jej... i teraz żałuje.

- Nie myślisz chyba, że męzny z ciebie chłop, co?

Marja, odesławszy gdzieś Bendika, wzięła się pod boki. Ravi skulił się na swojej ławie, próbując dać jej do zrozumienia, że chciałby się przespać. Była już późna noc, lecz po pełnych deszczu dniach niepogody niebo wydawało się niezwykle jasne i błękitne. Wystarczyło światło bijące z kuchennych drzwi, które zostawiono otwarte, by mogli się wyraźnie widzieć.

- Nigdy nim nie byłem - mruknął Ravi, naciągając na siebie okrycie.

- Nie chcesz wody do mycia? Mnóstwo tu ciepłej.

- Jutro - odparł krótko i zwyczajnie się od niej odwrócił.

Słyszał stukanie obcasów Marji po podłodze, brzęczała czymś przy małej szafce. Szkło zadzwoniło o szkło. Potem kroki zbliżyły się do stołu. Ach, nie, odsunęła stołek i usiadła. Ravi próbował oddychać spokojnie i równo, dość cicho, jak gdyby już kroczył drogą prowadzącą do krainy snu. Zdawał sobie jednak sprawę, że został odkryty, i nie potrafił zapanować nad drżeniem.

- Siadaj, człowieku, chcę porozmawiać ze swoim... kim ty dla mnie będziesz? Wnukiem z powinowactwa?

Roześmiała się, słychać też było bulgotanie w karafce.

Ravi poczuł nagle, jak straszliwie jest spragniony.

Potwór szarpiący mu trzewia dałby się uciszyć w ten sposób. To się może źle skończyć, rozległ się głos w jego głowie. Ale Marja nie pozwoli mu wypić za dużo. Na pewno miała maleńkie flaszeczki z drogą gorzałką i na pewno nie zaproponuje mu nic więcej ponad jeden kieliszek na sen.

Usiadł powoli.

- Zdrowie, Ravi, za nasze zdrowie!

Kiwnął głową i delikatnie ujął w rękę piękny kieliszek na długiej, cieniutkiej nóżce. Nie był pewien, czy starczy mu śmiałości, by go trzymać, kruchy kryształ mógłby pęknąć albo po prostu się rozpuścić.

Marja jednak zachęcająco skinęła głową i już przyciskała swój kieliszek do czerwonych warg.

- Dziękuję - rzekł ochryple. - Na zdrowie, Marjo!

- Nazywaj mnie matką - powiedziała lekko. - Tak zwraca się do mnie Bendik, kiedy jest w dobrym humorze. Łatwiej mi wtedy zapomnieć, że Johanna jest moją wnuczką, a nie córką. Nie chcę być stara, rozumiesz?

Przy tych ostatnich słowach wychyliła się przez stół w jego stronę. Zapanował między nimi nastrój intymności, pograżając resztę pomieszczenia w mroku.

Ravi uznał, że nigdy jeszcze nie miał w ustach tak smacznej wódki. Gardło już dopominało się o więcej.

Ale Marja bawiła się swoim do połowy opróżnionym kieliszkiem, nawet na niego nie patrząc.

- Wiesz, że stałam się dla ciebie prawie matką?

- Wiem. Ojciec związał się z tobą, ale matką nigdy nie zostałam.

Podniosła oczy.

- Jak to? Mało brakowało, muszę ci powiedzieć.

- Matką nigdy się nie stałam - powtórzył Ravi cicho.

Twarz Marji wyrażała zmieszanie i lęk. Ravi wykorzystał to i poprosił o jeszcze jeden kieliszek. Nalała mu zamyśloną.

- Wiesz dużo o tym, czego my inni nie widzimy. Co ci wiadomo o moim dziecku?

Ravi pokręcił głową.

- Nic, ale wiem, że nigdy nie mogłabyś zostać matką. Usta Marji zwęziły się, stwardniały.

Wstała i przyniosła nieduży woreczek.

Potem utkwiała ciemnoniebieskie spojrzenie w Ravim.

- A więc nie jestem matką. Nie będziesz obracał noża w ranie?

Pokręcił głową.

Marja wyjęła okładaną srebrem fajkę i wyćwiczonym ruchem napełniła ją tytoniem. Dym docierający do nozdrzy Ravięgo był słodki i ciężki zarazem.

- Johanna tak bardzo cię kocha. I tak się boi, Ale to szczęście, że wróciłaś teraz do domu.

Marja prychnęła.

- O tobie można chyba powiedzieć dokładnie to samo, chociaż nie wiem. O ile dobrze rozumiałam, to Amelia i Bendik przeklinają dzień, gdy pojawiłeś się w wiosce.

- A czy nie wszyscy tak robią? Marja uśmiechnęła się.

- Nie, dla mnie było to czymś w rodzaju szczęścia. Twój ojciec... Ja... To było coś, czego nigdy nie zapomnę. Chociaż trudno powiedzieć, abyśmy mieli z sobą normalny... romans.

- Czy myślisz, że pewnego dnia on odzyska spokój? Marja zadrżała.

- Co masz na myśli? Jaki spokój?

Ravi wolno pokręcił głową, zamrugał oczami podrażnionymi delikatnym dymem.

- Spokój, porządny grób.

Marja wydmuchała chmurę dymu pod sufit, uśmiechnęła się niepewnie.

- Nie przypuszczałam, że przejmujesz się takimi rzeczami jak poświęcana ziemia. Ze wszystkich ludzi właśnie ty!

- Owszem, przejmuję się, i to bardzo. Na moment zapadła cisza.

Potem Marja powiedziała:

- Wkrótce się tym zajmę, już niedługo.

Jak miło odpocząć w tej ciszy, pomyślał Ravi. Gdyby tylko po raz ostatni zgodziła się wyjąć butelkę, byle tylko nie zaczęła grzebać mu w sercu. Nawet jej oczy patrzyły tak przenikliwie, czuł się taki mały pod jej spojrzeniem, jak gdyby widziała natychmiast cały jego brud, jak gdyby znała każdą przemykającą mu przez głowę myśl, a zwłaszcza te mniej szlachetne. Ogarnęła go ochota, by przed nią uciec, coś jednak dalej go tu trzymało. Wiedział, pomimo wszystkich tych nieprzyjemnych wrażeń, że Marja jest osobą, z którą przebywanie może dać radość.

- Teraz już wiem - oświadczyła Marja gwałtownie. - Będę cię nazywać bratem, chociaż jesteś mężem mojej wnuczki. Ale będziesz mi bratem, dobrze? Nigdy nie miałam brata.

Ravi tylko w roztargnieniu pokiwał głową.

- Za to mam siostry - rzuciła Marja w powietrze. - Wiele, wiele sióstr, Bogu niech będą za nie dzięki.

Ravi podniósł wzrok. Ona zachowywała się naprawdę dziwnie, w połowie drugiego kieliszka wódki nie powinna się tak zamyślać. Przyszło mu jednak do głowy, że być może człowiek choruje od tego tytoniu.

Marja uśmiechnęła się już pełnym uśmiechem i teraz szeroko otworzyła oczy.

- Pomówmy o Johannie - powiedziała, a Ravi znów się skulił.

- Masz zamiar tym razem z nią zostać? Dobrze widziałam, co się dzieje. Zaznajesz udreki na myśl o tej nieszczęsnej Helenie. Zdradziłeś ją. Powiedz mi, co ona takiego uczyniła, że odczuwasz wobec niej taki wielki dług?

Ravi drgnął. Rzeczywiście Marja powiedziała prawdę.

- Ona ocaliła mi życie - wyjaśnił grubym ze wzruszenia głosem. - Gdy Johanna wyjechała... spotkałem Helenę, która okazała się prawdziwym cudem. Ona... mnie potrzebowała.

- A więc być może to ty ocaliłeś ją?

Ravi popatrzył ze zdziwieniem na Marję, uniósł w górę brwi.

- Tak, może i tak. Ona... zaznała wiele zła. Samego zła.

- Ale nie z tobą.

- Ze mną również.

Marja odłożyła fajkę, głowę miała teraz całkiem jasną, była trzeźwa. Wyraz tajemniczości i rozmarzenia w jej oczach zniknął jak letnie chmury rozwiane o zachodzie bryzą znad fiordu.

- Musiałeś jej coś dać, coś ważnego, bo ona cię kocha - oświadczyła Marja z uporem.

Ravi sam sięgnął po butelkę, nalał sobie i wypił. Marja zaraz potem ją zabrała i schowała do szafki.

- Dokonałem wyboru - powiedział Ravi niewyraźnie.

- Owszem, wybrałeś, ale tych wyborów może być więcej.

- Chcesz, żebym zostawił w spokoju twoją wnuczkę - stwierdził Ravi nagle z agresją w głosie.

Marja uśmiechnęła się.

- Nie, prawdę mówiąc, wcale nie. Polubiłam cię. Gdybym była o czterdzieści lat młodsza... - uśmiechnęła się do niego półgębkiem, puściła oko.

Ravi z uśmiechem pokręcił głową. Wprost trudno uwierzyć.

Ręka Marji przesunęła się ponad stołem i mocno ujęła jego dłoń.

- Masz prawo być sobą, wiesz? Nawet jeśli zranisz przy tym mnóstwo ludzi. Musisz żyć i być sobą, to ważniejsze.

Ravi popatrzył w jej szeroko otwarte oczy i wiedział już, że Marja tak naprawdę przemawia w swej własnej obronie. Kiwnął jednak głową, czując, że jej słowa dotarły i do niego.

Marja jeszcze nie skończyła.

- Masz w sobie tę niezwykłą moc, wyczuwam ją, jak gdybyś był wędrującą po niebie burzą. Wprost iskrzy się od ciebie, Ravi, i jesteś niebezpieczny.

- To dlatego nazywasz mnie bratem.

- Tak - uśmiechnęła się. - Ale ja jestem tylko małą siostrą, niepozorną, ledwie będącą w stanie utrzymać się na własnych nogach. Ravi... chcę, żebyś mnie nauczył, tak jak zrobiła to Kari, bo ja też mam w sobie tę moc, choć dostrzegam ją zaledwie w przebłyskach. Musisz nauczyć mnie więcej, Ravi.

Skinął głową z bladym uśmiechem na ustach.

- Uważasz więc, że to potrafię? Marja z zapalem potaknęła.

Ravi nakrył jej dłonie swoimi. Wódka krążyła w jego żyłach, rozgrzewając je i odejmując ostrość wszystkim troskom.

Marja westchnęła głośno i przymknęła oczy. Poczwała, że się chwieje, i mocniej stanęła na podłodze.

Ravi ścisnął jej szczupłe nadgarstki, a w głowie zapłonęło mu słońce ponad błękitnym morzem.

## ROZDZIAŁ VI

Björg czuwała przy Helenie w jej pierwszą noc na Vildegård. Chora spała niespokojnie, dokuczał jej ból, lecz nie zważała na to, pragnąc jedynie wstać i uciec jak najdalej od tego miejsca.

Wśród dziwnych snów i fali cierpienia musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

On wrócił do Johanny. Właściwie chyba wiedziała o tym przez cały czas: Ravi nie należał do niej. Ach, tak, był z nią zaledwie przez kilka krótkich chwil, ale jakże daleki.

Przebudzone marzenia umarły. Dostała nauczkę, zupełnie nową nauczkę.

Gdy wstawał świt, Helena uświadomiła sobie, że odczuwa jakąś dziwną wdzięczność, która groziła, że rozbroi jej gniew.

Kiedy jednak Johanna przemknęła przez izbę, żeby rozpałić ogień na palenisku, owo miłe uczucie zniknęło i Helena, dręczona zieloną nienawiścią, mocno zacisnęła oczy.

Johanna zerknęła na nią, Helena poczuła na sobie jej pełen żalu wzrok.

Ha, zdąży jej zaleźć za skórę, zanim zostawi ją w spokoju.

- Śpisz? - Słowa zakradły się szeptem w pustej izbie.

Helena z początku nie chciała odpowiadać, wreszcie jednak spomiędzy napiętych warg wydobyło się gniewne „tak”.

Johanna niemal nadpłynęła do niej w białej nocnej koszuli, na pewno marzła, poranki zawsze bywały wilgotne i chłodne.

- Lepiej się miewasz, na szczęście.

- Na szczęście? Ty wolałabyś chyba widzieć mnie martwą?

- Nie!

- Ależ tak! Ja bym chciała, żebyś ty umarła, nie musisz więc udawać takiej szlachetnej.

- Nie chciałabym, żebyś umarła, ale raczej byś stąd odeszła - powiedziała Johanna ze smutkiem. - Jesteś człowiekiem, którego nie da się zrozumieć, Heleno.

- Chyba tak jak wszystkich - prychnęła chora.

Johanna nie śmiała podchodzić do samego łóżka, stała w miejscu, obracając w rękach miech, którego używała, by obudzić żar, jaki przetrwał noc.

- Heleno - rzekła z wysiłkiem. - Muszę się czegoś dowiedzieć. Czy odpowiesz mi szczerze na jedno pytanie?

Lekkie skinienie głową, ledwie dostrzegalne. Może dlatego, że każdy ruch sprawiał jej ból?

- Czy rzuciłaś się w przepaść po to, żeby umrzeć?

- A cóż to za durne pytanie? - warknęła Helena, ale głos jej się przy tym załamał.

- Mało brakowało, a spadłoby na ciebie przekleństwo, Heleno. Na ciebie i na twoje niewinne dziecko.

- Jakie przekleństwo? - spytała Helena cicho, lecz z gniewem.

Johanna westchnęła.

- Nie jesteś tak obojętna, za jaką chciałybyś uchodzić.

- Tobie, do diabła, nic do tego! Johanna wzruszyła ramionami.

- Nie lubię cię, Heleno. Być może obudziłabyś moją sympatię, gdybyś ośmieliła się okazać nieco więcej pokory. Niemal się ciebie boję.

- Idź do piekła ze swoimi zmartwieniami, Johanno! Nade mną nie musisz już więcej załamywać białych rączek. Wygrałaś, czy to ci nie wystarczy? Czy musisz przez cały czas mieszać mnie z błotem?

Johanna wyszła z izby. Takie wzburzenie nie było dobre dla Heleny. Wyglądało na to, że nie rzuciła się ze skały umyślnie, to na pewno wypadek, niezrozumiały wypadek.

Z tym, zdaniem Johanny, łatwiej się było pogodzić.

Marja pławiła się w nieskrywanej ciekawości ludzi. Stojąc na dziedzińcu kościoła w całej swej okazałości i bogactwie, napawała się każdym przebłyskiem lękliwej zazdrości. Szlachetne kamienie w naszyjniku rzucały iskry, a słońce późnego lata krzesło zielone i czerwone błyskawice także z jej palców.

Karla Martina nie interesowało takie przedstawienie, pozwolił się jednak zaciągnąć do kościoła w tę pierwszą po powrocie do domu niedzielę, w którą odprawiano nabożeństwo. Amelia i Bendik uśmiechali się zyczliwie do przyjaciół i znajomych, nawet do tych, którzy podczas walki o dwór trzymali stronę Storlandet. Magnus nadjechał w należącej do Karlsgård starej kariołce i choć Amelia na ten widok poczuła ukłucie w sercu, zdołała jednak odwrócić się z podniesioną głową i wyraźnym uśmiechem na ustach.

Jeszcze wszystkim pokażą. Wcale nie zostali pognębieni. A na dodatek w wiosce aż gotowało się od plotek o niezmiernych bogactwach, jakie Marja Oppdal przywiozła do domu.

Ludzie chłonęli wszelkie nowiny i snuli domysły, ani jedna osoba nie ośmieliła się postąpić inaczej, niż ucisnąć rękę Marji Oppdal. Co poniektórzy zaś nawet jej się pokłonili.

A pastor w kazaniu prawił o tym, jak to wszechmogący Bóg postanowił włączyć się i pobłogosławić ród z Karlsgård za to, że gdy nadeszła czarna godzina, okazali chęć zadośćuczynienia za swoje grzechy.

Johanna czuła się wyziębiona od środka i wystraszona. Całe to zamieszanie wokół babki działało w pewnym sensie jak umieszczony na dachu kawałek drutu w czasie burzy. Mimo to jednak nienawidziła przeciągłych spojrzeń, lepiących się do jej pleców, i drapieżnych spekulacji mieszkańców wioski.

Chciała stąd odejść, wrócić do domu.

Tego dnia przed południem rozgniewała się tak mocno, że aż się popłakała, Ravi bowiem odmówił towarzyszenia im do kościoła. Zwymyślała go, a on jak zwykle się usunął. Niewielką pociechę Johanna znajdowała jedynie w fakcie, że zamierzał wybrać się w góry, nie zaś zostać z Heleną.

O ileż bardziej wolałaby iść z nim! Powędrować drogą do letniej zagrody, gdzie dójki na pewno dobrze by ich przyjęły. Może do nich nie dotarło nawet, co się dzieje w wiosce, może mogliby tam sobie usiąść i nareszcie być sobą.

Ravi nie chciał się z nikim witać, a Bendik, pokiwawszy głową, stwierdził:

- Możemy poczekać, aż wszystko się uspokoi. Nie ma pośpiechu, równie dobrze Marja może najpierw zyskać sobie ponownie szacunek w wiosce.

Johanna wiedziała, o czym myśli ojciec. Nie było wcale pewne, że asesor przymknie oko na to, jaki obrót przyjęły teraz sprawy; na to, że człowiek, którego obwiniano o śmierć Erlenda, mimo wszystko żyje. Na to, że cały wyrok został wydany na podstawie wielkiego błędu.

Jeśli będą mieć szczęście, to ludzie zadowolą się dramatyczną historią Marji i jej syna.

Tak właśnie uważał Bendik. Johanna się z nim zgadzała, ale o niczym tak nie marzyła, jak o tym, by móc wreszcie zacząć żyć normalnie, pracować na Vildegård w spokoju, w otoczeniu rodziny.

Zmusiła się do kolejnego uśmiechu, lecz wykręciła się od uścisku tłustej Abelone z Sande. Na szczęście ciżba ludzka z wolna zaczęła rozchodzić się z placu pod kościołem, parafianie ruszali gdzieś na pogawędkę albo na miarkę piwa przy placu handlowym.

Marja stała przy furtce pochłonięta ożywioną rozmową z pastorem. Johanna, zauważywszy powłóczyście spojrzenie, jakie pastor słał kobiecie w barwnym stroju, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.



O, tak, Marja zapewni sobie miejsce królowej. Nie upłynie zbyt wiele czasu, a znów będzie miała swoje własne krzesło w kościele, zaś podstarzali wdowcy i starzy kawalerowie z wioski prędko sobie uświadomią, kto jest obiektem ich marzeń.

Johanna westchnęła, popatrzyła w niebo. Słońce stało na nim jasne i łagodne w połowie swej zwykłej dziennej drogi. Do wieczora jeszcze daleko. Johanna napięła mięśnie, wyprostowała głowę i zacisnęła zęby. Na pewno zdoła utrzymać się w ryzach. Benjamin też stanowił niezłą tarczę, za którą można się ukryć, zaczął bowiem popłakiwać, mogła więc, nie będąc podejrzewana o uciekanie przed ludźmi, oddalić się od gromady, żeby ułożyć małego do snu.

Znalazła porośnięty trawą wzgórek pod wielkimi dębami i rozpostarła na ziemi kocyk, którym owinięte było dziecko. Benjamin niecierpliwił się już i marudził. Johanna zabrała z sobą szmatkę z odrobiną cukru i dzięki takiemu smoczkowi malec zachowywał się spokojnie w kościele. Wkrótce jednak cukier się skończył i chłopczyk zajął się srebrną broszą na piersi matki. Protestował gwałtownie, kiedy nie chciała mu na to pozwolić, mógł się wszak ukłuć. Próbowwała go ukołysać, posyłała mu surowe spojrzenia, szeptała coś do ucha, wszystko to jednak odsuwało płacz dziecka jedynie na parę minut, a teraz chłopczyk potrzebował tylko odejść od ludzi i odpocząć w ciszy.

Pod drzewem prędko się uspokoił.

Johanna zanuciła mu cichutko, czując, jak spokój dziecka powoli rozlewa się i po niej przytulnym ciepłem.

Delikatnie pogładziła chude nóżki, wyczuła lekkie opuchnięcie kolan. Benjamin miał siniaki w kilku miejscach, niektóre, te starsze, już żółkły, inne były świeższe i wyglądały jak wielkie sinoczerwone róże.

Zanim znikną, mógł upłynąć miesiąc albo dwa, podczas gdy u innych dzieci goiły się w ciągu tygodnia.

Dlaczego Ravi nie mógł uczynić nic dla tego biedaka?

Westchnęła, nie miała sił, by więcej myśleć. Ona także czuła się śpiąca, ostatnie noce były takie trudne.

W czasie gdy gospodarze stroili się i przeczesywali włosy, szykując się do wyjazdu do kościoła i przetrzymania gradu przenikliwych spojrzeń, Ravi wymknął się z domu. Na podwórzu kot bawił się kawałkiem płótna, zdmuchniętym przez wiatr ze sznurka, a przy domu ognia stała balia, w której parobcy kapali się poprzedniego wieczoru.

Brat Amelii zatrzymał się na szeroko rozstawionych nogach i uporczywie wpatrywał się w Ravięgo.

- Nie wybierasz się do kościoła? - spytał wreszcie.

- Nie - odparł Ravi. - Przejdę się raczej w góry.

- Dlaczego chowasz się przed wioskowymi ludźmi? Nie pokazałeś się jeszcze żadnej żywej duszy. Sądzisz, że możesz tak żyć w ukryciu, jak niewidzialny czort, aż do śmierci?

- Nie. Ale Karl Martin, jak widzę, też nie wybiera się do kościoła?

- Pewnie wreszcie pójde - burknął mężczyzna zniecierpliwiony. - Najpierw jednak chciałbym zamienić z tobą parę słów. Mam ci bowiem coś do zaoferowania.

Ravi zamierzał przyjąć propozycję pożyczenia konia, ale teraz dłonie puściły uprzęż, z którą się mocował. Odwrócił się w stronę Karla Martina, ramiona mu opadły.

- Nie jestem z tych, co to wszystko owijają w bawełnę. Za dużo już w życiu widziałem. Jesteś chyba na tyle mężczyzną, żeby znieść parę słów prawdy prosto z mostu: Chcę, żebyś się stąd wyniósł.

Ravi czekał. O dziwo, Karl Martin nie sprawiał wrażenia usposobionego do niego wrogo, choć słowa, które padły, były jasne i wyraźne.

- Chcę, żebyś się stąd wyniósł, z wielu powodów. Przede wszystkim, jak rozumiem, unieszczęśliwiłeś Johannę już od pierwszej chwili. Z twojego powodu utraciłem swój spadek, połowa Karlsgård należała się mnie, chyba o tym wiesz? A teraz wszystko przepadło, to twoja wina. Ale znacznie gorsze jest to, że Johanna cierpi, zaś moja siostra... Ona cierpi jeszcze bardziej. Nie zazna spokoju, Ravi, dopóki będziesz dręczył Johannę.

- Tobie nic do tego. Dla Johanny jesteś obcym człowiekiem, wszystko jedno, że jej wujem.

- Może i tak. Ale ty nie masz do tego żadnego prawa, Ravi. Niesiesz ze sobą zło. Ja to czuję, żyłem bowiem wśród doktorów, czarowników, medyków leczących za pomocą bicia w bębenek i wszelkich szatańskich wymysłów dostatecznie długo, by umieć poznać diabła po ogonie. Myślałem, że wreszcie się z tego wyrwaliśmy, że Marja w końcu się uspokoi, tymczasem pojawiłeś się ty. Ravi zmieszany pokręcił głową.

- Kocham Johannę i obiecałem jej, że zostanie.

- Ale już wiele razy zdążyłeś tego pożałować - odparował Karl Martin z chytrą miną. - Nie śpisz po nocach, bo wiesz, że paskudnie oszukałeś Helenę, że ona potrzebuje cię bardziej niż Johanna. I że jesteś odpowiedzialny za to, że Helena pójdzie do piekła. Ona będzie skończona, Ravi, jeśli ty się nią nie zajmiesz. Człowieku, powinieneś po raz pierwszy w życiu wziąć na swe barki jakąś odpowiedzialność!

Ravi unikał spojrzenia Karla Martina, który zaczął teraz mówić ciszej, łagodniej.

- Ty nie pasujesz do tego miejsca, nie jesteś zwykłej krwi. Trzymaj się tej rudej czarownicy, ona jest twoja na zawsze i dobrze o tym wiesz. I waszego dzieciaka też zabierzcie raczej ze sobą. Johanna nie może wam tego zabronić i myślę, że wcale nie chce.

Ravi nie miał ochoty go dłużej słuchać, ale stopy jakby wrosły mu w ziemię.

- Odejdźcie stąd - powtórzył z naciskiem Karl Martin. - Odejdźcie w czas, póki jeszcze jest nadzieja dla was wszystkich. Odejdźcie, zanim Helena odbierze sobie życie, odejdźcie jak najszybciej, póki Johanna jeszcze jest w stanie o tobie zapomnieć.

- Dokąd mamy odejść? - spytał Ravi udręczony, rozkładając ręce.

Karl Martin przysunął się bliżej.

- Idźcie, gdzie wam się żywnie podoba, świat należy do was. Nie masz ochoty zobaczyć trochę świata, Ravi? Wiele na nim strasznych rzeczy, ale też i wiele piękna. Wreszcie można trafić w miejsce, gdzie odczuwa się... spokój. Miejsce, w którym dusza może się zakotwiczyć, rozumiesz? Ravi wolno pokiwał głową.

- Poszukaj takiego miejsca i zabierz ze sobą Helenę. Możesz popłynąć jednym z moich statków i o nic nie musisz się martwić, mam przyjaciół w wielu portach.

Ravi zdezorientowany wziął się za głowę.

- Nie... nie mogę...

- Oczywiście, że możesz, to wręcz twój obowiązek, zanim rozerwiesz na strzępy jeszcze więcej kobiet. W Marję znów wstąpiła gorączka, spędziła już u ciebie niejedną noc.

Ravi podniósł głowę. W ustach Karla Martina ostatnie słowa zabrzmiały bardzo nieprzyzwoicie, a gdy napotkał oczy tego człowieka, spostrzegł, że widniejący w nich wyraz pogardy i strachu był dokładnie taki sam, jak gdyby Ravię i Marję połączyła nieopanowana cielesna żądza.

- Marja chce ci skraść twoje czarne sztuczki - szepnął Karl Martin. - To śmiertelnie niebezpieczne, wierz mi!

Ravi kiwnął głową.

Potem jednak powolnym ruchem odwrócił się w stronę Karla Martina i oświadczył:

- Nie odejdę stąd. Nie możesz mnie o to prosić. Karl Martin mocno wciągnął powietrze w płuca i wsunął ręce do kieszeni. Odpowiedział spokojnym głosem:

- Może się zdarzyć, że tego pożałujesz, Ravi, a wtedy pamiętaj, że nie jestem twoim wrogiem. Ale nie mów mi, że sam nie miałeś takich myśli.

Ravi nie odpowiedział. Niezdarnym ruchem ujął wyciągniętą do niego rękę Karla Martina i mruknął coś, starając się, by zabrzmiało to jak najuprzejmiej. Potem odwrócił się i odszedł ścieżką wijącą się za szopami.

Nie wiedział, dokąd zmierza.

Instynktownie jednak wybrał nie uczęszczaną przez ludzi drogę i nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, powędrował wysoko zboczem w stronę gór.

Ludzie nie chcieli puścić Marji, zasypali ją deszczem zaproszeń, powołując się na dawną przyjaźń. Marja rozmawiała chwilę to z tym, to z tamtym, lecz przy nikim nie zatrzymywała się dłużej, niż wymagała tego wymiana uprzejmości.

W końcu nawet ona wyglądała na zmęczoną. Benjamin usnął już dawno, a Amelia także chciała już wrócić na Vildegård. Wreszcie zobaczyli Marję idącą ze śmiechem, przy wtórze spódnicy szeleszczącej przy każdym kroku, w stronę bryczki.

Bendik lekko pokręcił głową.

- Ona jest doprawdy niezwykła! Wraca do domu wtedy, gdy akurat spada na nas największy wstyd, a mimo to ludzie traktują ją jak królową!

- Tak to jest, kiedy ma się kieszenie pełne złota - zauważyła cierpko Amelia. - Ale matka nigdy nie była nikomu obojętna, albo ją nienawidzono, albo kochano.

- Witajcie - powiedziała Marja. - Wyglądacie mi na zmęczonych i pewnie jesteście głodni. Boże dopomóż, chyba całkiem zapomniałam, że czas płynie. Powinniście dawno pojechać przodem, tu tyłu ludzi chciało się ze mną przywitać.

- Nic się nie stało, Marjo, ale teraz już jedźmy, zanim to, co się gotuje w garnkach w domu, wyschnie na wiór.

Marja musiała pozdrowić i kiwnąć głową na pożegnanie jeszcze jednej parze, wreszcie jednak wsiadła do bryczki i wyciągnęła ręce po Benjamina.

- Jakiż wspaniały dzień! - rzuciła szczęśliwa, wystawiając twarz do słońca. - Doprawdy, to mimo wszystko rzeczywiście najpiękniejsze miejsce na świecie! Jak dobrze być z powrotem w domu!

Amelia lekko ściągnęła brwi. Zachwyty matki nie działał zaraźliwie. Ileż ona ma szczęścia, że znajduje w sobie odwagę, by w swoich kolorowych piórkach wejść prosto w środek stada wron!

- Najwidoczniej już uważają cię za królową - uśmiechnęła się Johanna.

Marja wybuchnęła śmiechem.

- Ci nieszczęśnicy nigdy nie widzieli prawdziwej królowej. Gdyby tak było, cisnęliby mnie na kupę gnoju.

Bendik także nie mógł utrzymać powagi. Amelia przysunęła się do niego, pozwalając, by od obejmującej ją w pasie ręki męża popłynął w nią spokój.

- Nie martwmy się dzisiaj o nic - powiedziała nagle Marja. - Nie zniosę już dłużej tego ponurego nastroju na Vildegård. Pojedźmy raczej na Karlsgård, zobaczymy, jak tam wygląda. Tak, możemy nawet zabrać jedzenie w koszyku i...

- Nie, nie sądzę, żeby to było mądre z naszej strony. Magnus Storlendet...

- Niech diabli porwą Magnusa Storlendet! Ten szczur jeszcze kiedyś pożałuje! Nam nie odbiera się zagród bezkarnie!

- Może i tak - odparł Bendik, w jednej chwili spochmurniały.

Amelię przeniknął dreszcz.

- Mamo - powiedziała cicho. - O jedną rzecz chciałabym cię prosić...

- Tak, moja kochana?

- Nie rób hałasu w sprawie Karlsgård. To, co się nam należy, odzyskamy. Sprawiedliwość w końcu zwycięży.

Może mimo wszystko nie zasługiwaliśmy na taki spadek?

Odebrano go nam i, przekonasz się, jest w tym jakiś sens.

Marja pociągnęła nosem i zmusiła się do uśmiechu.

- Zawsze byłeś zanadto bojaźliwa, Amelio. Musisz się wreszcie nauczyć, że świat nie jest sprawiedliwy i że trzeba walczyć o to, co się ma. A także o to, co się chce mieć.

Amelia nie odpowiedziała. Słowa matki nie były jej wcale obce, lecz wyczuła w nich taki dystans, jak gdyby Marja, mówiąc o walce, miała na myśli zupełnie co innego aniżeli to, co Amelia postrzegła jako codzienne zmagania z życiem.

- Na pewno sobie poradzimy, wspólnymi siłami.

- Tak, mamo, razem.

Na szczęście Bendik był przy niej, jak zwykle ciepły, niosący poczucie bezpieczeństwa, lekko pachnący brzoźowym sokiem, którego dodała do jego mydła.

- Patrzcie, przyjechali do nas jacyś goście! - wykrzyknęła Marja, gdy pokonali zakręt poniżej Vildegård.

Przy ścianie stajni stał pojedynczy powóz, ale do płotu przywiązano także cztery wierzchowce.

- To jacyś obcy... Nie znam tych zwierząt - stwierdził Bendik.

Marja nie miała czasu czekać, aż ktoś pomoże jej wysiąść, ona i Karl Martin czym prędzej zeskoczyli na ziemię każde po swojej stronie bryczki i podczas kiedy syn zniknął, nie witając się z przybyłymi, na twarzy matki ukazał się najbardziej promienny ze wszystkich jej uśmiechów.

Na podwórzu siedział potężny jasnowłosy mężczyzna i palił fajkę. Z nim czekało jeszcze kilku, wszyscy w żołnierskich mundurach, w wyczyszczonych do połysku długich butach i skórzanych opończach.

- Dzień dobry, pokój temu domowi - odezwał się obcy. - Jestem Ola Gurvin. Słyszę, że zaszły tu wielkie rzeczy. Tak, tak, wielkie rzeczy.

- Dzień dobry - odpowiedział mu Bendik ostrożnie, wymieniając spojrzenia z żoną.

Amelia wolno kiwnęła głową, potwierdzając, że domysły Bendika po usłyszeniu nazwiska gościa są słuszne.

- Dawno już się nie widzieliśmy, ciotko - zwrócił się do Marji mężczyzna.

A Marja zmrużyła oczy, usta jej zadrżały.

- Doprawdy, to ty, Ola... mały Ola...

Pokiwał głową, a mężczyźni z jego kompanii uśmiechnęli się i zamruczeli coś pod nosem.

- Nie mogliśmy tu nie zajechać, dotarły do nas plotki, że wróciłeś do domu, a ponieważ zmierzamy do Gudbrandsdalen, postanowiliśmy tu zajrzeć. Ollie i ja pomyśleliśmy, że dość już chyba wody upłynęło w rzece.

- Ollie...?

- Moja żona. Twoja siostra nie żyje, Marjo, od wielu lat. Uznaliśmy, że nie ma powodu, żeby was powiadamiać, ona pod koniec mówiła o tobie, ale nie chciała, żebyś przyjeżdżała. Twierdziła, że wy dwie nigdy nie byłyście całkiem tej samej krwi, ale że się pojednałyście. Nie było więc powodu, żeby ciebie sprowadzać.

Marja otuliła się chustą, którą nosiła narzuconą na piękną jedwabną suknię. Nagle przeniknął ją chłód.

- Sunniva... mało się znałyśmy. Ola Gurvin wolno pokiwał głową.

- Pewnie tak, pewnie tak.

Marja zamyśliła się, zapadła w niezwykle jak na nią milczenie. To Bendik wreszcie odchrząknął i powiedział:

- Zjedzcie z nami i zostańcie do jutra. Nie możemy co prawda zaproponować puchowych posłań, ale...

- Dziękujemy - odparł Ola i zarzucił sakwę na plecy. - Musimy jechać dalej, jeszcze dziś wieczór spodziewają się nas w Fortun.

Marja roztargnionym ruchem kiwnęła głową, a potem nagle jakby odzyskała swą dawną tożsamość i uśmiechnęła się serdecznie do siostrzeńca, oświadczając, że następnym

razem musi przywieźć ze sobą żonę, a najlepiej całą rodzinę. Kiedy staną tu nowe domy, nie zabraknie miejsca.

- Nam dużo miejsca nie potrzeba - odparł Ola ze smutkiem. - Jesteśmy tylko Ollie, ja i nasza córeczka. Moi bracia pomarli, wszyscy. A my sami mamy tylko tę dziewczuszkę. Daliśmy jej na imię... Petra.

Czekał, jakby chciał sprawdzić, czy to imię odbije się w Marji jakimś echem, ale ona tylko się uśmiechnęła i potrząsnęła jego ręką na pożegnanie, nie pamiętając o bliźniaczym bracie swej zapomnianej siostry.

- No cóż, życzymy w każdym razie dobrej podróży.

I pozdrówże Ollie.

Ola kiwnął głową i wskoczył na konia. Bendik stał jeszcze przez chwilę i odprowadzał gościa wzrokiem. Marja weszła do środka.

- Dziwna jest ta twoja matka, pod wieloma względami. Tyle straciła... Sądziś, że sama się na to zdecydowała?

- Nie - odparła Amelia po namyśle. - Chyba raczej nie, ale ona zawsze żyła tak prędko, stale miała tyle rzeczy do zrobienia. Pewnie po prostu nie na wszystko starczyło jej czasu.

- Hm - chrząknął Bendik. Amelia mocno uścisnęła go za rękę.

Wysoko na wzgórzu słońce świeciło jeszcze jaśniej, małe kłębki mgły, zwiastujące dobrą pogodę, zawisły nad szczytami niczym łyżki śmietany nad zielonym krajobrazem. Czuł, jak ponury humor ustępuje, a w nogach pojawia się cudowne zmęczenie wywołane marszem przez rozgrzane promieniami słońca moczary i skały.

Nie miał wyznaczonego celu, żadnego wyraźnie obranego kierunku, pozwolił jednak, by myśli wyprzedzały nogi, i kroczył dopiero za nimi.

Minął gromadki zabudowań w letnich zagrodach, lecz ani razu nie zbliżył się do nich na dostateczną odległość, by móc dostrzec twarze ludzi kręcących się po podwórzu czy też drzemiących przy stadzie odpasionych krów.

Z każdym krokiem życie wydawało się Raviemu łatwiejsze.

Spomiędzy jego warg wydobył się nieznamy dźwięk, zagwizdał wesołą piosenkę, a gdzieś z daleka odpowiedział mu jakiś ptak.

Przysiadł pod niedużym skalnym nawisem, z rozkoszą wyciągnął się na ziemi. W węzełku niósł trochę jedzenia, a przejrzystej chłodnej wody miał pod dostatkiem w potoku, który z wesołym pluskiem spadał z góry.

Dlaczego ludzie osiedlają się na samym dole?

Dlaczego ziemię, w którą tak pragną wrosnąć, znajdują na samym dnie doliny, najchętniej u stóp gór?

Ravi wiedział, czuł to niczym dawną pieśń przenikającą aż do szpiku kości, że jego domem są góry. Tym domem, który opuścił.

Zdrzemnął się w ciepłych promieniach słońca i obudził się dopiero wówczas, gdy horyzont jał się barwić na czerwono.

Wtedy nagle zaatakowało go zimno. Wprawdzie skała oddawała mu jeszcze resztki nagromadzonego przez dzień słonecznego ciepła, ale wiedział, że zmarznie, jeśli zaraz nie wyruszy w stronę wioski. Dotarcie do domu zajmie mu trzy, może nawet cztery godziny szybkiego marszu.

Zdecydował jednak, że nie musi się spieszyć. Tam na dole czekają wszystkie troski, wszystkie niedobre myśli, cała ta lepka pajęczyna, w którą się zaplątał.

Oczy Heleny...

Łzy Johanny.

Góry przysunęły się bliżej, jakby chciały go bronić, i Ravi ze zdumieniem stwierdził, jak bardzo łatwo jest oddalić od siebie wszystkie zmartwienia.



## ROZDZIAŁ VII

Zakradły się do niego, wymijając koszmary i sny na jawie, przeniknęły do jego serca niczym chłodny letni wiatr. Myśli o tym, że on jest jej nieszczęściem, a przekleństwo, jakie niesie ze sobą, otacza gęstym mrokiem wszystkich, z którymi się związał.

O, tak, przyszły na paluszkach, wszystkie te dawne głosy, echo jego własnych myśli i słów ojca.

*Jesteś ptakiem zwiastującym nieszczęście, mrocznym cieniem snującym się ponad wodami i zatruwającym powietrze tym wszystkim, którzy pragną się do ciebie zbliżyć.*

Niewiele szczęścia przyniósł Johannie. Rzeczywiście, tak jak ojciec wielokrotnie wróżył, Ravi nigdy nie będzie mógł żyć jak zwyczajny człowiek.

*Poznaj diabła po ogniu, chłopcze.*

*Zawsze będą widzieć, że jesteś inny. Ha! Możesz się z tym ukrywać, upijać do nieprzytomności, możesz odciąć sobie ręce i wyłupić te przeklęte oczy... lecz nigdy nie będziesz taki jak inni ludzie!*

Ravi wtulił się w skałę i czekał tylko, aż to się skończy. Wiedział, że myśli wreszcie ustąpią, że w końcu odejdą z jego głowy, wycofają się i dadzą mu trochę spokoju. Wiedział jednak również, że to potrwa i że gdy głosy wreszcie ucichną, będzie leżał roztrzęsiony jak pęczek zwiędłych wodorostów.

Nie bał się burzy myśli, nie bał się już dłużej okrutnych wizji, to byli starzy znajomi, przez całe życie przekraczał wraz z nimi granicę, drżał tylko lekko, gdy wyczuwał, że nadchodzą, przygryzał wargi i widział, jak bieleją mu kostki dłoni.

Przekonał się jednak, że one dadzą się zwalczyć jedynie na dwa sposoby.

Albo trzeba zagłuszyć je wódką...

Albo też pozwolić się im zalać, zachowując, na ile to możliwe, obojętność.

Stare rany bolały i pulsowały przez cały czas, kiedy to trwało, później zaś ogarniała go ponura melancholia. Aż wreszcie znów mógł skierować oczy na błękitne niebo i być może cieszyć się przez krótką chwilę wolnością, zanim po raz kolejny w ciemnych zakamarkach jego duszy nie zacznie podnosić się szum.

Piekielne demony, pomyślał z goryczą. Jakie to dziwne stać tak jakby z boku siebie samego i obserwować toczącą się we własnym wnętrzu walkę. Ale to była jedyna możliwość, jak gdyby dusza wychodziła na suchy kamień wśród płynącej dzikim prądem rzeki, zalewającej go wodą i walącej z nóg swoim nurtem.

Wiedział, że gdyby miał teraz coś do picia, zdołałby sobie z tym poradzić. Bolało go za oczami, piekł w nich jakiś smutek, chciał płakać, lecz na to było już chyba za późno.

Helena wydawała się zdrowsza, w każdym razie leżąc zerkając spode łba zmrużonymi oczyma o barwie ostrej zieleni. Lisiego spojrzenia nie przesłaniało już bielmo choroby i Johanna przeczuwała, że wkrótce coś się wydarzy. Nie podobały jej się ledwie dostrzegalne kurcze, targające ciałem Heleny, niedobre ostrzeżenia, że nie jest w stanie odzyskać spokoju.

Dziecko żyło, Marja miała co do tego pewność.

Z każdym dniem jednak skurcze występowały coraz częściej, a dziecko stawało się jakby trudniej wyczuwalne. Skóra Heleny wciąż miała świeżą różową barwę, lecz chora w jakiś dziwny sposób napuchła, kształty jej się zaokrągliły.

Marji wcale to nie zaniepokoiło.

- Zupełnie zwyczajne - stwierdziła. - Helena nie przywykła do takiego ciągłego leżenia, nic więc dziwnego, że jej ciału się to nie podoba. Podaj jej wywar z kasztanów i jałowca, wymieszany z odrobiną soli.

Johanna pozwalała babce opiekować się Heleną i cieszyła się, że dzięki temu ją samą to omija, ale jednocześnie dokuczala jej napięta atmosfera w domu i wiedziała, że nic nie ułoży się całkiem dobrze, dopóki Helena nie zniknie z tego miejsca.

Raviego ledwie widywała.

Przepadał gdzieś na całe dni, prawdopodobnie siedział w górach albo w jakiejś leśnej kryjówce. Raz nie wrócił na noc, a ona wtedy mało nie wypłakała sobie oczu. Zanim jednak wstał świt i Ravi pojawił się w domu, gniew i rezygnacja zmieniły się w bolesną tęsknotę. Johanna się bała. Bała się, że Ravi znów zniknie, że coś, jakieś, diabły, z którymi musiał się zmagać, rozszarpia go na strzępy. One jej nie lubiły, chciały go jej odebrać.

Podczas swych najmroczniejszych chwil Johanna potrafiła narysować ich obraz pod powiekami, tkwiły tam, wykrzywając paskudne oblicza, i śmiały się, śmiały bez końca.

Ale on wracał.

Późnym wieczorem, kiedy żniwiarze już się rozeszli do domów.

Kiedy milkły wszystkie zwierzęta z wyjątkiem nocnych sów i jakiegoś lisa, którego poszczekiwanie niosło się po okolicy.

Johanna nabrała zwyczaju czekania na Raviego, nasłuchiwania cichych kroków. Niekiedy udawało mu się ją zwieść, stawał nagle w uchylonych drzwiach, choć ona jeszcze się go nie spodziewała. Nie ruszała się wtedy z miejsca, czekając, aż przekroczy próg.

Ravi wchodził do środka i tulił się do niej.

W takich chwilach ogromnie pragnęła, by się uśmiechnął, by szepnął do ucha prośbę o wybaczenie, a potem spytał, jak minął jej dzień.

Ale Ravi czepiał się jej jak tonący albo też przycisnąwszy ręce do twarzy, odmawiał nawiązania jakiegokolwiek kontaktu.

Helena.

Duch Heleny przepełniał całe Vildegård. Leżała w salce dla chorych, niby spała, a zarazem pilnowała dni i nocy Johanny.

I z każdym dniem chora coraz bardziej puchła i miękła. Ale nie była w tym brzydka, nadmuchana jak inne ciężarne, które Johanna musiała leczyć na tę dolegliwość.

Nie, Helena zrobiła się tylko przez to łagodniejsza, skóra jej się wygładziła, miała teraz w sobie więcej dziecięcej niewinności niż kiedykolwiek.

Johannie ledwie starczało siły na to, by wyminąć jej postanie rankiem, kiedy szła do domu ognia, żeby obmyć ciało chłodną wodą.

Wkrótce nadejdzie wrzesień.

Johanna nie wiedziała, jak zdoła przetrzymać aż do świąt Bożego Narodzenia. Jednocześnie wstydziła się myśli, która przez cały czas krążyła jej po głowie, czekając, aż ona sama będzie na tyle zmęczona, by ją do siebie dopuścić.

Gdyby tylko Helena mogła stąd odejść, zniknąć na zawsze.

Pewnego wieczora w końcu sierpnia Johanna nie wytrzymała i zrozpaczona ostrymi paznokciami podrapała Ravięgo. Zdusiła płacz, wtulając się w jego twarz, przyłgnęła do niego, pozwalając zalewać się rozpacz, chociaż wiedziała, że on nie zdoła uwolnić jej od tego ciężaru.

- Ona musi stąd odejść! Nie wytrzymam już ani jednego dnia dłużej! Ach, Ravi, chyba nie dam rady. Pomóż mi, pomóż...

Ravi mruknął coś tylko, lecz jego ramiona były silne, dobre, trzymał ją w milczeniu, Johanna słyszała i czuła na uchu jego krótki, zdyszany oddech.

- Pomóż mi, błagam, tak strasznie się wstydzę... Wtedy on drgnął, odsunął ją od siebie, popatrzyła w jego oczy i poczuła coś na kształt radości. On był przy niej.

- Moja biedna Johanno, cóż ja tobie zrobiłem?

- Nie, nie, nic, to wszystko jest już zapomniane, nie traktuj tego tak, Ravi. Po prostu szkoda mi Heleny, która cię utraciła.

- Nigdy mnie nie miała, sama tak mówi.

- Tak, ona na pewno wiedziała o tym najlepiej. Ją trudniej oszukać niż mnie, to pewne. Ravi, czuję, jakby mnie coś prześladowało, te jej oczy... one... towarzyszą mi przez cały czas. Ach, Ravi, czy ja muszę z nią rozmawiać? Czy muszę starać się ją... zrozumieć?

Ravi pokręcił głową.

- Nie wiem, Hanno moja, nie wiem... Nie wiem, czy to się na coś zda.

- Ale ty chyba mógłbyś z nią pomówić?

- A co chcesz, żebym jej powiedział?

Johanna umilkła. Kołysała wolno głową, wciśniętą między policzek a ramię Ravięgo, lekko się o nie ocierając.

- Nie... nie wiem. Wydaje mi się... prawdę mówiąc, wydaje mi się, że życzyłabym sobie z jej strony jakiegoś znaku przebaczenia. Ravi tylko westchnął.

- Niekiedy bywasz głupia, Johanno. Wprost zaskakująco głupia. Wydaje ci się, że to wszystko twoja wina - powiedział po prostu.

Johanna podniosła głowę, policzki jej płonęły.

- Głupia? Nie, nie jestem głupia. Ale to prawda, czuję, że to moja wina. W pewnym sensie... ją oszukałam, odebrałam jej dziecko.

Ostatnie słowa wypowiedziała tak, jakby tłumiła krzyk. Głos jej się załamał i teraz odwróciła się od Ravięgo.

- Johanno... to także moje dziecko.

Johanna stała w maleńkiej alkwie i patrzyła, jak letnia niebieska noc nadpełza przez małe okienko pod sufitem. W tym świetle jej twarz przybrała dziwną niebieskobiałą barwę, a brązowe włosy wydawały się przezroczyste.

- To moje dziecko - powtórzył Ravi z uporem. - Nie zapominaj o tym, Johanno. I przecież to ty powiedziałaś, że nie pozwolisz mu iść na zatracenie razem z Heleną.

- Wiele o tym myślałam - powiedziała udręczona. - Czy nie jestem zbyt zarozumiała, skoro uważam, że to ja mogę o tym decydować? Bóg obdarzył ją dzieckiem... Kimże ja jestem, skoro wydaje mi się, że mogę je odebrać Helenie? Oceniam ją z góry, nie dając nawet szansy pokazania, co potrafi.

Ravi westchnął i usiadł na łóżku. Nie mógł tak leżeć, gdy Johanna krążyła w koło tuż obok.

- To ty masz rację, Johanno. Wszyscy ci ją przyznają, powiedzą nawet, że zaniedbujesz swój chrześcijański obowiązek... - Przełknął ślinę, jak gdyby słowo utkwilo mu w gardle. - ...że nie wywiązujesz się ze swego chrześcijańskiego obowiązku, jeśli nie pomożesz jej i dziecku.

Johanna zatrzymała się, gryzła teraz rękę. Przyglądała się Raviemu w półmroku, on jednak nie mógł nic wyczytać z jej zasłoniętej włosami twarzy.

- Musisz się zająć tym dzieckiem.

Drgnęła gwałtownie, jak gdyby spadł na nią cios. Teraz otwarcie już płakała.

- Ravi, ja ją zabijam, nie rozumiesz? Ona... ona zrobiła to celowo, jestem tego pewna. I tylko dlatego, że ty... że my ją zdradziliśmy!

- Cicho, uspokój się.

- Niech ona sobie to słyszy, to nie ma żadnego znaczenia. Niech usłyszy, jak bardzo cierpię, jak mało słodczy jest w smaku tego zwycięstwa. W każdym razie niech sobie tam leży i niech się śmieje ze mnie, niech to przynajmniej ma za pociechę!

Ravi odsunął pled na bok, stanął przy niej. Niósł ze sobą przytulne ciepło łóżka, Johanna pozwoliła, by jego rozgrzana skóra dała trochę spokoju jej wychłodzonemu nocnym przeciągiem ciała.

- Johanno, chodź się położyć, ja nie mam na to siły, ja... Johanna łkała, lecz nie zamierzała już chyba krzyczeć, taką przynajmniej Ravi miał nadzieję. Niezręcznie zaczął ją gładzić, z początku niepewnie, jak gdyby bał się, że odepchnie jego pieszczoty albo sama się odsunie.

Ale ona chłonęła je w siebie i rozchyłała się pod dotykiem jego dłoni niczym kwiat spragniony rosy.

- Ach, Ravi, jestem zrozpaczona. Nie wiem już, jak mam sobie z tym radzić.

- Nie wolno ci tak uważać... Nie myśl, że to twoja wina. Mówisz o Bogu, lecz jednocześnie wydaje ci się, że to Johanna z Vildegård kieruje krokami innych.

Prychnęła.

Ale w tym, co mówił, tkwiło ziarenko prawdy.

- Dziękuję - szepnęła Johanna i lekko go pocałowała. - Pomogłeś mi dziś wieczorem, Ravi, właściwie nie oczekiwałam już, że potrafisz. Sam masz tyle trosk... Sądziłam, że myślisz o tym samym, a wtedy trudno ci będzie jakoś mnie pocieszyć.

Pokiwał głową w jej włosy, ale nic nie powiedział.

Widać ich myśli wędrowały podobnym torem.

O, tak, dawne zwidy wciąż się w nim pojawiały niczym muł ze zmaconego dna rzeki.

Wśród nich był teraz głos Heleny, świdrujący w uszach, zniekształcony, lecz jednak bez wątplenia należący do niej.

- Ty tchórze! - piszczła. - Ty nędzny diable, ożywiłeś mnie na krótki czas tylko po to, żeby zaraz znów mnie zabić! Uważasz, że niedostatecznie dużo wycierpiałam? Musiałeś

jeszcze posypywać ranę solą, prawda? Jesteś cuchnącym potworem, potomkiem wszystkich brudnych łotrów, zmorą, piekielną udreką!

Ravi zatrząsł się zdjęty nagłym chłodem, lecz Johanna wyczuła to jedynie jako leciutkie drzenie, kiedy przyłgnęła do niego jeszcze mocniej, a w jej pocałunkach pojawiło się nowe gorąco.

Czuła, jak napięcie nieco się rozluźnia, ciało pozwalało się pocieszać. Ravi również wychwytał owo oczarowanie, towarzyszące takiej bliskości, i chłonał pożądanie Johanny, jak gdyby podawała mu cudowne lekarstwo leczące zrozpaczone serca.

Słyszała ich i nie słyszała. Domyślała się, że musi być coś dobrego w filiżance z gorzkim napojem, który co wieczór podawała jej Marja. Coś, co spowijało myśli wełną i łagodziło skurcze w brzuchu, ból nogi i ostre klucie pojawiające się przy oddechu.

Piła napój bez sprzeciwów i dziękowała tej obcej kobiecie, która była babką Johanny.

Nie zaprzyjaźniły się, o, nie, przeciwnie, Helena wyczuwała irytację starszej kobiety. Nie była tu mile widziana, powinna raczej umrzeć. Niejedna osoba pod tym dachem wołałaby znieść ją do wioski w sukience z desek.

Przypuszczali, że rzuciła się ze skały z własnej woli. Wstyd wprost bił od nich, zarówno ten, który ona im przyniosła, jak i ich własny.

Tak, widziała bowiem, że się wstydzą, i to dawało jej coś na kształt kłopotliwej władzy nad nimi.

Czuli zapewne, że źle się nią opiekowali. Łagodny wstyd Amelii był najgorszy, ona wszak okazała jej tyle dobroci. Ją też najłatwiej pognać, tak przynajmniej wydawało się Helenie.

Johanna była taka daleka, niczego innego zresztą nie należało się spodziewać. Jasne się stało, że nie ośmieliła się triumfować, brakło jej siły i odwagi, niezbędnych, by wyrzucić Helenę za drzwi.

Głupia Johanna.

Czy ona nie pojmuje, że Ravi postrada rozum, jeśli to dłużej potrwa?

Helena leżała na swoim pościeliu, nie śpiąc po nocach i czując jego rozpacz niczym fizyczny ciężar na piersi.

Nawet jej się to podobało. Był wtedy przy niej.

Amelia i Marja stały, przyglądając się, jak pierwsze ciężkie bale układane są na miejscu w narożnikach nowego domu. Marję drogo kosztowało przywiezienie ich z Kaupanger, a także wynagrodzenie ośmiu drwali za wykonane przez nich zadanie. W końcu jednak miała to, czego sobie zażyczyła. Przede wszystkim dlatego, że mogła błyskać

duńskimi pieniędzmi, ale też i dlatego, że swoim uśmiechem potrafiła wyjednać zgodę u mężczyzn.

Białowłosa mistrz najłatwiej dał się przekonać. Uśmiechnęła się do niego, zastanawiając się, czy nie jest przypadkiem spokrewniony z jej starym znajomym, Nielsem Kvithovudem. Ale mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu, splunął i powiedział, że nie, tak nie jest. Miał w sobie jednak dość dobrej krwi i uważał, że mógł mieć coś wspólnego z dawnym bohaterem. Marja, nie przestając się uśmiechać, wymruczała jakąś delikatną aluzję i cieśla chodził za nią jak pies, brakowało jedynie łańcucha.

Budynek wznoszono na solidnych fundamentach z ociosanego kamienia. Marji najbardziej zależało na zdobyciu wypalanych kostek, na których, jak wiedziała, budowano domy w mieście, lecz tu nie było cegielni w promieniu wielu mil, musiał więc wystarczyć granit z kamieniołomów przy Fossheim. Drewno natomiast, które kupowała, było najlepszego gatunku, dobrze wysuszone i twarde niczym kamień.

Dom miał mieć długość blisko czterdziestu kroków i wznosić się w górę na półtora piętra. Na każdym boku dobudowano skrzydło jak w duńskich dworach, ale niezwykle konstrukcje w rogach były, jak wyznała, jej własnym pomysłem, miały zostać ozdobione rzeźbionymi figurami i elementami przywodzącymi na myśl dawne kościoły. Mistrz marszczył nos na taki projekt, lecz jednocześnie wsłuchiwał się w brzęk dobiegający z kieszeni Marji.

- To potężna budowla - powiedziała Amelia cicho.

- Oczywiście, będzie tu dosyć miejsca. Nie lubię, żeby ludzie przez cały czas się koło mnie tłoczyli. Potrzebuję swobody!

- Tak, samotna zapewne też nie będziesz teraz, kiedy wróciłaś do domu...

Marja poruszyła językiem w ustach i cmoknęła.

- Tak, to prawda, ale ten dom ma być na tyle wielki, żebym mogła po nim chodzić i nie natknąć się na żadnego człowieka nawet przez całą noc, jeśli zechcę. To będzie cudowne.

- Rzeczywiście, teraz nam ciasno. Bardzo mi przykro, mamó, ale...

- Nie usprawiedliwiał się, Amelio, i tak robisz dla mnie więcej, niż do ciebie należy. Mogłabym przecież zatrzymać się w Døsen albo u kogoś innego, zamiast wracać do domu i kazać wam się ścisnąć jak śledzie w beczce.

Amelia roześmiała się.

- Nie żartuj, mamó, mamy na Vildegård dużo więcej miejsca niż inni ludzie.

- Ale nie tęsknisz za wszystkimi tymi pokojami, za obszerną kuchnią, za twoją alkową na Karlsgård?

Amelia wstrzymała oddech, śledząc wzrokiem spoconych mężczyzn. Kolumna z masywnego drewna musiała ważyć kilkaset marek, ześlizgiwała się, a liny, ciągnięte przez napięte do granic możliwości ramiona mężczyzn, trzeszczały złowieszczo.

- Owszem - szepnęła wreszcie. - Ale... ja chyba także i tam nie czułam się nigdy całkiem u siebie.

- Wiem, jak to jest - rzekła Marja wolno, badawczo przyglądając się twarzy córki.

Co kryło się w niebieskich, patrzących nieruchomo oczach Amelii? Jakie dręczyły ją tęsknoty, o których nigdy nie chciała mówić?

Marja westchnęła.

Jakże męczące są próby zrozumienia córek!

Ogień chwycił polano w objęcia i zaraz już pod garnkiem płomienie podśpiewywały swoją własną piosenkę. Woda właśnie zaczynała się gotować i lekko szumiąc, dostrajała się do melodii.

Bjørg wzięła żelazny pręt zakończony haczykiem i przesunęła garnek na bok, wsypała do wody mąkę i mocno zamieszała pęczkiem związanych gałązek jałowca. Miała z tego powstać gęsta masa, do której wrzuci kawałki pieczonego mięsiwa. Teraz można już było zebrać także świeże główki kapusty, przynajmniej na spróbowanie. Przyprawiła potrawę szałwią i korzeniami o ostrym smaku pieprzu.

Zamierzała też przyrządzić potrawę z rzepy w sosie z mleka i masła, a do tego podać solonego wiosennego śledzia, tak tłustego, że aż błyszczał, kiedy wisiał pod dachem spichrza. Amelia dała jej znać, że tego dnia cała rodzina zasiądzie do wieczerzy w paradnej izbie, żeby uczcić pokrycie dachem nowego domu.

Bjørg nakryła dla siedmiu osób. Ingebjørg wciąż była w letniej zagrodzie, a zatrudnieni cieśle prosili, by przysłać im piwo i jedzenie do czeladnej. Źle się czują wśród wielkich państwa, pomyślała Bjørg z uśmiechem. Szkoda, że nie wiedzą, iż gospodarze są z takiej samej krwi i kości, jak i oni. Sporo się nauczyła o tym przez ten czas, kiedy pozostawała na służbie u Amelii.

Żadne z nich nic nie powiedziało, nie wspomniało nawet o pustym miejscu. Bjørg przez moment wyglądała na zmieszaną, lecz Bendik rozwiązał cały problem, poklepując ręką wolne krzesło i mówiąc, że mały łobuziak na pewno już zasnął. Ostatnio był raczej słaby.

Jedynie cienka ściana dzieliła stół od sąsiedniej izby. Helena miała w niej teraz do towarzystwa staruszka z zaropiałą nogą i młodą dziewczynę, która rozorała sobie bok, kiedy, zbyt rozbawiona, nieostrożnie skoczyła na stóg siana, gdzie, jak się okazało, tkwiło zagubione ostrze kosy.



Johanna zapatrzyła się w puste miejsce. A więc Bjørg uważała Helenę za członka rodziny? Ale przecież Helena od czasu wypadku nie siedziała z nimi przy stole, zresztą Bjørg znała zapewne wszystkie tajemnice. Dlaczego więc tak zrobiła? Czyżby służąca wyraziła tym swoje nieme oskarżenie? Chciała przypomnieć, że Helena nie jest zwyczajną słabującą osobą, która leży w sąsiedniej izbie tylko tymczasowo?

Johanna podniosła się wolno.

Wymknęła się, kiedy wnoszono jedzenie, napełniano kubki i układano na kolanach małe płócienne serwetki.

Helena była już w stanie siedzieć przez krótki czas, gdy jednak Johanna weszła do izby chorych, zobaczyła, że rude włosy leżą rozsypane na poduszce, a przykrycie podnosi się i opada w równym rytmie.

Zapewne spała.

Johanna zatrzymała się, chciała zawrócić do rodziny. Wtedy jednak Helena poruszyła się lekko, sapnęła głośniej, być może wyczuwając obecność Johanny, a może dlatego, że coś ją zabolalo.

- Czy... czy niczego nie potrzebujesz? Helena powoli odwróciła się w jej stronę. Zielone oczy były na szczęście w pełni otwarte, nie mrużyła ich groźnie, co tak strasznie denerwowało Johannę.

- Nie, a czegoż miałabym potrzebować? Leżę tu sobie.

- Boli cię? - spytała Johanna, zachęcona brakiem wrogości ze strony dziewczyny.

- Ha! To prawdziwie piekielny ból.

Johanna uśmiechnęła się leciutko. W tej chwili Helena nie wydawała się niebezpieczna. Napłynęło współczucie i zdusiło strach. Pochyliła się nad chorą, nakryła rękę dziewczyny dłonią.

- Życzę ci wszystkiego dobrego, Heleno, doskonale o tym wiesz.

Helena nie odpowiedziała, wpatrywała się jedynie w oczy Johanny i blado się uśmiechała.

- Ja się nie skarżę, Johanno. Ale nie chcę umierać! Johanna uściśnęła miękką piąstkę.

- Nie, nie umrzesz, obiecuję ci to. Teraz Helena śmiała się szeroko.

- Cha, cha, nigdy nie sprzykrzy ci się zabawa w Pana Boga!

Owinęła słowa w niegroźny chichot, Johannie wygodniej było to tak potraktować.

- Jeśli to w mojej mocy, to będziesz tak samo sprawna już za kilka... tygodni.

Helena przyciągnęła rękę do siebie, potarła ją roztargnionym ruchem.

- Masz na myśli: w styczniu? Johanna skinęła głową.

- Tak mniej więcej. Dość trudno to stwierdzić, skoro sama nie jesteś pewna. Ale gdybyś pozwoliła mi się zbadać, mogłabym pewnie powiedzieć coś dokładniej.

Helena ściągnęła z siebie okrycie i wypięła nieco brzuch. Jedną nogę wciąż miała usztywnioną między dwoma owiniętymi szmatami pieńkami młodych brzoź.

Johanna delikatnie położyła dłonie na koszuli Heleny. Brzuch był w dotyku miękki i ciepły, nacisnęła nieco mocniej, palcami wyszukiwała twardości na środku, a jednocześnie drugą ręką lekko ugniatała brzuch. Dziecko ułożone było prawidłowo i wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie. Może wydawało się jedynie nieco mniejsze, niż należało się tego spodziewać na cztery miesiące przed rozwiązaniem, ale też i Helena była raczej drobną kobietą.

- Nie wiem... chyba wszystko jest w porządku - mruknęła Johanna.

Helena popatrzyła w sufit, potem zacisnęła wargi. Johannie serce zaczęło uderzać mocniej, pod jej palcami mięśnie brzucha Heleny napięły się, skóra naprężyła.

- Czy to się często zdarza? - szeptem spytała dziewczynę.

- Nie... nie tak często. Tylko kiedy prę... albo się obracam. A kiedy siadam, to...

- Musisz leżeć - oświadczyła Johanna zdecydowanie. Metaliczny smak w ustach zrobił się ostry, dziwny.

- Nie jesteś zdrowa, wiesz przecież? - dodała. - Dla dziecka najlepiej będzie, jeśli będziesz leżała tyle, ile tylko zdołasz.

Helena znów się okryła.

- Owszem, dla dziecka, ale nie dla mnie - powiedziała twardo. - Oszaleję od tego leżenia. Wszystkie te odgłosy... wszystko.

Johanna westchnęła.

- To zrozumiałe. Ale jesteś teraz odpowiedzialna za dziecko.

- Za twoje dziecko - cicho uzupełniła Helena. - I tylko dlatego się na to godzę. Chcesz mieć zdrowe dziecko, Johanno, i doprawdy, wyznaczyłaś za nie dobrą cenę. Właściwie ten dzieciak powinien się urodzić w jedwabnym ubraniu i ze złotem w tyłku.

Johanna odsunęła się na bok.

- Czekają na mnie - powiedziała cicho.

Ucisk w piersiach znów powrócił, krótka chwila kobiecej zażyłości, poczucia, że są siostrami, już minęła, rozwiła się.

Helena znów odwróciła się do ściany z rękami mocno zaciśniętymi na piersi. Ciało jej kilka razy zadrgało, najwyraźniej dokuczał jej ból.

Johanna wypuściła powietrze z płuc w przeciągłym, drżącym westchnieniu.

- Śpij więc dobrze, Heleno. Jeśli chcesz, mogę przynieść ci coś do jedzenia.

- Nie, żadnego jedzenia, ale chętnie wypiłabym kieliszek. Johanna skinęła głową.

- Dobrze, przyniosę, przyda ci się coś na wzmocnienie. Poproszę Marję, żeby poszukała czegoś w swoich buteleczkach. Powinna mieć coś, co pomaga na takie skurcze.

Helena uśmiechnęła się bez radości.

- Przynieś też jakieś lekarstwo na marzenia, łaskawa pani.

Johanna z ulgą zamknęła drzwi za sobą.

Bendik zawołał do niej od stołu, czy coś się dzieje.

- Nic takiego, ojczy, musiałam wyjść za potrzebą. Ojciec roześmiał się.

- Zawsze byłaś taka sama, moja mała. Kiedy w dzieciństwie chcieliśmy nauczyć cię odpowiedniego zachowania przy stole, i tak podrywałaś się wiele razy i gdzieś biegłaś... - Szturchnął Ravięgo w bok. - Musisz spróbować zrobić z tym porządek, Ravi. Kiedy już będziesz gospodarzem w tej zagrodzie...

Marja z hałasem odstawiła kubek.

- Co ty mówisz, Bendiku? Ty jesteś tu gospodarzem, teraz i zawsze. Nie zamierzasz chyba nigdzie wyjeżdżać?

Bendik zerknął na Amelię, popatrzył na wszystkie twarze zwrócone nagle w jego stronę.

Potem wbił wzrok w talerz, ale zaraz podniósł głowę i obrzuciwszy żonę jeszcze jednym czułym spojrzeniem, odpowiedział:

- Prawdę mówiąc, tak. Amelia i ja... mamy pewne plany. Oczywiście z niczym się nie spieszy, ale...

Johanna wiedziała, w czym rzecz, zanim jeszcze ojciec skończył mówić. Zdawała sobie z tego sprawę już od dawna, odkryła bowiem, o czym śni na jawie matka. Amelia zapewne bała się, że Johanna znów poczuje się opuszczona. Poprzednim razem ciężko znieśli rozstanie, obwiniali się o to, że nie zostali na gospodarstwie i nie sprawdzili, jak układa się małżeństwo córki.

- My się znów przeniesiemy - oświadczył Bendik.

- Na Meisterplassen?

Amelia ostrożnie skinęła głową, lecz jej oczy z lękiem wpatrywały się w Johannę.

A Johanna, czując ramię Ravięgo przy swoim, uśmiechnęła się ciepło.

- To dobrze, mam, tęskniłaś za Meisterplassen już od chwili, gdy je opuściłaś.

Marja wolno pokiwała głową, łamiąc cieniutki podpłomyk na drobne okruszki na talerzu.

- Nie wydaje ci się, że będziesz się tam czuła bardzo samotna?

Teraz twarz Amelii rozjaśniła się w uśmiechu kierowanym do matki.

Niemal żartobliwie odparła:

- Ależ nie, mamę, mam najlepsze towarzystwo na świecie. Nie zamierzamy też wcale wypędzać rodziny Husebø z zagrody, oni bardzo chętnie tam zostaną, będą nam pomagać.

Marja z powątpiewaniem pokiwała głową.

- Ale mieszkać tak na odludziu? Włóczą się tam dziwne typy, trudno sobie z nimi poradzić, przecież o tym wiesz. Na policzkach Amelii wykwitły żywe rumieńce.

- Wiem o tym więcej niż ty, mamę. Przecież mieszkałam tam niemal tak samo długo jak i ty, i powiem ci, że jeśli nie żyłaś w zgodzie z mieszkańcami Sogndal, to przede wszystkim twoja wina.

Marja prychnęła i zajęła się na powrót jedzeniem. Ale Bendik, skoro sprawa już ujrzała światło dzienne, nie zamierzał popuścić.

- Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie... tyle że jakoś nic się nie układało. My... my nigdy tak naprawdę nie sprowadziliśmy się tu z powrotem. W myślach nie. Należymy do tamtego miejsca, było nam tam dobrze. Tak bardzo cieszyliśmy się na spędzenie lata na Meisterplassen, ale nie zrozum nas źle, Johanno, ty jesteś dla nas o wiele ważniejsza.

- Teraz już wszystko będzie dobrze - zapewniła Johanna.

- O, tak - uśmiechnęła się Amelia, przede wszystkim do Ravięgo. - Teraz wszystko się przecież odmieniło. Ravi wrócił, nie jesteśmy już odpowiedzialni za Karlsgård.

- Brzmi to tak, jakbyś miała wielkie powody do wdzięczności wobec Storlendet - zauważyła Marja cierpko, żując w zamyśleniu kawałek mięsa. W spojrzeniach, jakie posyłała córce, widać było gniew.

- Nie wolno ci tak myśleć - zaprotestował Bendik surowo.

Marja przestała żuć.

- Wyjedziemy na Meisterplassen na wiosnę. Może też wybierzemy się tam niedługo, żeby powiadomić o naszych planach. Zobaczymy, czy będziemy musieli zbudować nową chatę dla Husebø, czy też oni mogą jakoś przerobić starą stodołę.

Marja burknęła coś i z hałasem rzuciła nóż na stół.

- Doprawdy, trudno się na was wyrozumieć! Teraz, gdy nareszcie zebraliśmy się już wszyscy, to wy... A wiecie, już myślałam, że spędzę swoje stare lata spokojnie i bezpiecznie pod opieką córki.

- Zaczynasz się starzeć, mamę - powiedziała cicho Amelia. Podniosła kubek i wypijała, żartobliwie mrugając do Marji. - Ale nie jesteś jeszcze na tyle stara, żebym dała się złapać na

to, co mówisz. Będiesz żyła sto lat, nie wątpię. A ten dom, w którym zamierzasz spędzić dożywocie... Podejrzewam, że planujesz umieścić w nim zupełnie inne rzeczy niż fotel bujany i pośłanie do drzemki.

Marja roześmiała się wesoło, lecz Amelia zauważyła, że plany córki poirytowały ją. Marji nie mogło pomieścić się w głowie, że ktokolwiek mógłby pragnąć mieszkać i żyć w tamtej zagrodzie, w której ona spędziła pierwsze lata swego życia i w której przyszła na świat również Johanna.

- Wypijmy za ziemię przodków - zaproponował Bendik - bo tak naprawdę tam właśnie jest miejsce, do którego należymy.

- Nie ja - zaprotestowała Marja. - Ale cóż, i tak wypijmy...

Johanna podniosła kubek, żeby przepić do matki, starając się pomieścić w uśmiechu całe ciepło, jakie w sobie nosiła. Amelia nie miewała się najlepiej, i to od dawna, troski nie dawały jej spokoju. Bardzo ciężko przeżyła straszne kłopoty córki, a lęk o zdrowie i życie Benjamina dotknął ją chyba jeszcze ciężiej niż samą Johannę.

- Na pewno będziemy niepokoić was na tyle często, że nie zdążycie za nami zatęsknić - zapewniła Johanna.

- Na to właśnie liczymy - odparł Bendik ciepło. - I powiem ci, Ravi, że jeśli zdarzy się, że kobiety będą już strasznie cię dusić, to starczy, że wskoczysz do łodzi i uciekniesz do nas. Znam wiele świetnych miejsc, gdzie można łowić z brzegu i naprawdę schować się przed ludźmi.

- Dziękuję - odparł Ravi po prostu.

Bendik był jednym z bardzo niewielu mężczyzn, jakich w życiu spotkał, którzy nie dali mu się przestraszyć ani też sami mu nie grozili. Odczuwał coś na kształt braterstwa z tym delikatnym, milczącym mężczyzną.

Johanna znów wstała od stołu. Nie zapomniała obietnicy danej Helenie, lecz nie chciała mówić o tym Marji. Nalała natomiast odrobinę francuskiej wódki z karafki stojącej na stoliku pod oknem i wyszła.

Amelia popatrzyła za córką.

- Dobrze będzie, kiedy to już się skończy - mruknęła. Ravi bacznie jej się przyglądał.

- Może mimo wszystko powinniśmy umieścić ją w jakimś innym miejscu? - powiedziała Marja.

- Johanna tego nie zechce - odezwał się nagle Ravi.

Pozostali tylko pokiwali głowami, lecz wesołość poprzedniej rozmowy gdzieś uleciała. Amelia zaczęła rozprawiać o planach, jakie mieli wobec Meisterplassen. Tam już

uprawiano więcej pola, a chatę kolejny raz rozbudowano. Meisterplassen stało się teraz naprawdę ładną, choć niewielką zagrodą, powinno jednak przynieść dość zysku, by zarówno ich dwoje, jak i liczna rodzina Husebø zdołała się utrzymać.

Na pewno z czasem stać ich będzie na coś więcej. Amelia nie porzuciła swoich dawnych myśli o zorganizowaniu szpitalika w Sogndal, miejsca, do którego ludzie, a zwłaszcza kobiety, będą mogli przychodzić po pomoc i poradę.

Z przejścia na twarzy aż wykwitły jej rumieńce, a Marja z ponurą miną jej potakiwała. Stanowczo zbyt dużo było ciemnoty i wręcz szkodliwego działania w opiece nad położnicami. Jakże wiele z nich umierało dlatego, że akuszerki wlewały w nie tak zwane lekarstwa i zmuszały do najwymyślniejszych wygibasów, mających niby to pomóc w urodzeniu dziecka.

- Musisz dać znać, jeśli będziesz potrzebowała czegoś więcej - powiedziała Marja w końcu.

W jej głosie zabrzmiał zupełnie inny ton, jak gdyby plany Amelii nagle wpasowały się w świat Marji.

- O, tak, doprawdy, zatroszczę się o kawałek ziemi dla ciebie. Mogę porozmawiać z tym chłopcem z Gurvin! Że też nie wspomniałaś o tym wcześniej, Amelio! Mogłyśmy poruszyć tę sprawę, kiedy tu był.

Amelię rozśmieszył zapach matki. Kiedy Marja już raz się zdecydowała czy też zmieniła zdanie, nie znała umiaru, zaczynało jej się spieszyć tak, że można by przypuszczać, iż na plecach wyrastają jej skrzydła.

- Mamy na to całą jesień i jeszcze zimę - zauważył Bendik zadowolony. - Jeśli tylko starczy nam zdrowia i wszystko dobrze się ułoży, wyjedziemy na wiosnę.

Przelotne spojrzenie na drzwi, którymi wyszła Johanna, jasno powiedziało, co miał na myśli.

Jeśli Helena wyzdrowieje.

Jeśli dziecko przeżyje i Johanna nie straci zapachu do życia.

Amelia westchnęła.

- Boję się, że ta zima będzie się nam dłużyć. Akurat w tym momencie weszła Johanna z pustym kieliszkiem, usłyszała słowa matki.

- Niczego się nie bój, mamó, dość tu będzie roboty i na pewno czeka nas wiele zmartwień. Helena nie miewa się najlepiej.

Ravi podniósł się i wymknął zza stołu, Johanna z trudem przełknęła ślinę, ale odsunęła się na bok, żeby go przepuścić.

- On się tym zajmie - spokojnie oświadczyła Marja i oblizała palce jak mały dzieciak, zanim poczęstowała się kolejnym lepkiem od miodu ciastkiem.

Jaka ona zimna, pomyślał Ravi. Chociaż nie jej skóra, która jest miękka i przytulnie ogrzana od ciepła łóżka.

Miał wrażenie, że się w nią zapada, przenika przez powłokę o barwie śmietany, przez jasne piegi i znamiona, które znał tak dobrze.

Z wolna zapadał się w jej głąb i czuł, jak chłód otacza go swoją obcością.

Zadrżał lekko i spróbował oddać jej chociaż cząstkę tego ognia, który zawsze spływał mu z palców, gdy przestawał wstrzymywać swoją moc tak jak teraz.

Ona zapewne to wyczuła, stęknęła bowiem pod jego dotykiem, kręcąc się. Policzki jej pobladły, ale na szyi i klatce piersiowej skóra już czerwieniała.

Nie śmiał nic jej powiedzieć.

Nie śmiał nawet na nią spojrzeć, kiedy stał pochylony nad jej odmienionym ciałem i głąskał zdecydowanymi ruchami nabrzmiałe piersi, brzuch i biodra.

Wzrok Johanny wpalał mu się w plecy.

Od tego wszystkiego Raviemu zakręciło się w głowie.

Jesteś mój, mówiła twarz Heleny, wykrzywiona i obca, lecz mimo wszystko szczerą.

Usłyszał jej jęk, lecz nie zdołał powstrzymać tego strumienia lodu i ognia, który ich ze sobą łączył. Był bliski krzyku, coś bowiem w tym bezradnym ciele posiadało moc niemal równie wielką jak jego własna i lepiło się do niego tak, że musiał zebrać wszystkie siły, by oderwać od niej rękę.

Cieężko dysząc, sięgnął dłonią do czoła.

- Czy to było trudne? - spytała cicho stojąca za jego plecami Johanna.

Ravi odwrócił się do niej i odsunął rękę od twarzy.

- Tak - odparł ochryple.

Zobaczył, że Johanna z trudem przetyka ślinę, a oczy jej wilgotnieją.

Helena nawet przez moment nie spuściła z nich wzroku, leżała nieruchomo, lekko łkając. Johannę uderzyło to, że dziewczyna wygląda, jakby Ravi właśnie ją zaspokoił, jak gdyby ukochał ją do nieprzytomności i oddał wszystko, co miał do zaoferowania.

Ravi chwiejnym krokiem przeszedł do drzwi, musiał oprzeć się o futrynę, zanim zniknął. Johanna stała z rękami bezwładnie opuszczonymi wzdłuż boków, patrząc, jak Helena z wolna odzyskuje oddech i spokój.

- To niewiarygodne, prawda? Chyba dobrze, że my obie nie pojmujemy tego, co się dzieje, nie uważasz, Johanno?

- Tak - zaśmiała się głucho. - Może i tak. Ale on nie jest zły.

Helena zadowolona pociągnęła nosem.

- Zły? A kto tak powiedział? Ja się nie boję demonów Ravięgo.

Johanna nie miała siły na odpowiedź, bała się też coś mówić. Spokojnie jednak podeszła do łóżka Heleny i mocniej otuliła dziewczynę przykryciem.

- Leż spokojnie i nie rozkopuj się. Wiem, że gorąco, jakie płynie z rąk Ravięgo, potrafi być naprawdę straszne, lecz ono prędko mija.



## ROZDZIAŁ VIII

Z cienia wyłonił się jakiś człowiek. Ravi natychmiast odgadł jego obecność, lecz mimo wszystko zdumiał się, gdy ujrzał, kto to taki. Nie rozmawiał z Gunneliusem już od kilku tygodni. Staruszek nie krył gniewu i niezadowolenia, gdy Ravi powiedział mu, że wciąż nie czuje się w pełni dojrzały, by spotkać się z wioską, i na razie będzie się trzymał Vildegård i pobliskiego lasu. Skończyły się ich wspólne długie wieczory przy blasku łojowej świecy. Ravi nie śmiał też zaprosić Gunneliusa na Vildegård, staruszek był dziwakiem i Ravi miał niemal pewność, że Johannie nie spodobałoby się takie towarzystwo. I Helena... No cóż, Gunnelius na pewno uznałby za stosowne wspomnieć o tym czy owym. Nie raz z natrętnym hałasem pochrapywał na swoim posłaniu, podczas gdy Ravi i Helena szeptem prowadzili rozmowy pod tym samym dachem.

Bez wątpienia zorientował się także, że oni nie tylko ze sobą rozmawiają.

Teraz jednak stał tam przy węgle i najwyraźniej czekał na Ravięgo.

- Mam ci coś do powiedzenia - oświadczył chrapliwie. - Musisz mi pomóc, znowu mnie ścigają, znów ta moja baba! Rozpuściła po wsi plotki. Do diabła, ona się nie podda, dopóki ja nie zgniję w więzieniu.

Ravi patrzył na niego zdezorientowany. Był zmęczony i oszołomiony po trudach, z jakimi musiał się zmagać przy łozu boleści Heleny.

- Nie teraz - wymamrotał, ale Gunnelius zaczął szarpać go za koszulę i pociągnął za sobą przez podwórze.

- Chodź prędko, musisz iść razem ze mną do szałasu i pokazać mi te swoje sztuczki, żeby oni zrozumieli, że na nic takiego się nie zgodzę. Musisz ich przegonić, Ravi. Ty jedyny to potrafisz!

Białka oczu Gunneliusa błyskały chłodno w bladym świetle księżyca.

Ravi ustąpił i pozwolił się poprowadzić wzdłuż wąskiej ścieżynki, którą Johanna chadzała przez tak wiele nocy.

- Trzeba się spieszyć - wysapał Gunnelius.

- Daj spokój, człowieku, o czym ty bredzisz? - burknął Ravi słabym głosem.

Gunnelius przystanął i znów zaczął nim potrząsać. W jego wielkich dłoniach kryła się siła, z jaką Ravi nigdy nie mógłby się zmierzyć.

- Musisz znów sprawić, żeby woda się zagotowała, tak jak mi to pokazywałeś! Musisz ich zdusić, ugotować we wrzątku te przeklęte świnie! Powiązałem ich dla ciebie, sam się przekonasz!

Ravi opierał się, usiłował powstrzymać potężnego mężczyznę, ale Gunnelius nie chciał puścić jego kołnierza. Cały czas mamrotał, że go ścigają, ale on jeszcze im pokaże. Ugotują się we własnym sosie! To już ostatni raz ta kłępa próbuje go pognębić.

Ravi potykał się, nie mógł zapanować nad pozbawionymi sił członkami, a pomieszczenie w jego głowie wcale się nie zmniejszyło od niezrozumiałych pogroźek Gunneliusa.

Czuł jedynie mocne, jakby głuche pulsowanie w skroniach, jasne ostrzeżenie, że czeka go niebezpieczeństwo.

Potykając się, szedł dalej w mroku wieczoru, wciąż czując na kołnierzu i na ramieniu mocną dłoń Gunneliusa. Staruszek przyspieszył, teraz niemal już ciągnął Ravięgo za sobą przez kamienie i wywrócone pnie. Ale w głowie Ravięgo zaczęło się burzyć.

- Czeka! Zatrzymaj się, słyszysz? Wcale nie chcę iść z tobą, mam inne rzeczy do roboty!

Jego stopy zaszurały po żwirze, Gunnelius z początku nie chciał go puścić, lecz Ravi w końcu, używając całych swoich sił, zdołał uwolnić rękę. Kołnierzyk pękł.

- Daj spokój, człowieku! Czyś ty już całkiem oszalał? Nie pójdę z tobą, mówiłem ci przecież!

Twarz Gunneliusa zmieniła się. Zamiast gniewu pojawił się na niej pochlebny uśmiech.

- Ależ, Ravi, mam przecież dzban gorzałki, jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie tak? Przecież nigdy nawet nie tknąłem twoich kobiet, dobrze wiesz.

Ravi zacisnął zęby i otrzepał ubranie.

- Wracam do domu, a ty powinieneś się przespać. Jestem pewien, że jak wrócisz do szafasu, to wszyscy ci, którzy cię ścigają, gdzieś przepadną.

- Nie!

Ravi zaskoczony zobaczył, jak potężnemu mężczyźnie płyną z oczu łzy.

- Nie, nie rozumiesz, że oni nigdy nie znikną? To moje babsko, Ravi, nigdy nie zostawi mnie w spokoju.

- No to idź z tym do lensmana, ale nie do mnie. Gunnelius stał z łopatami dłoni spuszczoneymi wzdłuż boków, całą twarz zalaną miał łzami. Spływały wzdłuż bruzd na policzkach, skapywały w rozwichrzone kępki brody i na szerokie wargi, popękane od wódki.

Ale Ravi nie miał siły. Wszystko w nim wprost krzykiem sprzeciwiało się przeciwko pójściu wraz z tym człowiekiem jeszcze raz do szałasu. Obrócił się wolnym ruchem i już wkrótce zniknął bez pożegnania w cieniach między drzewami. Bez trudu odnalazł powrotną drogę na Vildegård, rozpaczliwe szlochanie Gunneliusa jakby do niego nie docierało, a po kilku krokach w ogóle go już nie słyszał.

Co czeka go w domu?

Te słowa w jego ustach miały taki mdły smak. W domu, w domu, w domu... Ravi usiłował napełnić płuca czystym powietrzem i myśleć pozytywnie, wyprostował plecy i odrobinę podniósł ramiona.

Na pewno wszystko będzie dobrze. Wszystko się ułoży, tak jak oni mówią. Helena urodzi dziecko, a Johanna już się cieszy, że będzie mogła się nim zająć. Johanna wcale nie czuje do Heleny nienawiści, to przecież widać bardzo wyraźnie.

Wiedział jednak, jak bardzo ona cierpi i jaki ból odczuwa, widząc, że on niemal codziennie przykładła dłoń do ciała Heleny, pozwalając jej posmakować bodaj tej odrobiny ciepła, jaką w sobie miał. Czynił to, by ją wzmocnić, by uratować jej życie i być może choć przez moment pozwolić zaznać cudu. Helena tego potrzebowała i Johanna wcale nie chciała jej tego pozbawiać. Dlaczego więc tego wieczoru tak bardzo się bał wrócić do Johanny?

W dole przy placu budowy mężczyźni wciąż hałasowali. W dzbanach z gorzałką nie widać jeszcze było dna, a wysoko ponad kalenicą tańczył wieniec z pożółkłych brzozowych liści i długich czerwonych wstążek.

Wyglądało na to, że lato jeszcze się nie poddało. Noc była ciepła, łagodna, przesycona zapachem świeżo ściętego drewna.

Rozsiedli się wokół wielkiej, szerokiej deski, która miała leżeć na podłodze nowego budynku, lecz na razie służyła jako stół. Odpiłowane klocki z najgrubszych bali doskonale nadawały się na stołki, a jeśli ktoś miał ochotę się wyciągnąć, to obok leżał też wielki stos trocin i wiórów.

Zabawa przyciągnęła ludzi z okolicznych zagród, przybyli gromadą liczniejszą od tych, za których sprawą świętowano. Ktoś przyniósł ze sobą drumlę, inny wyprawił się łodzią po muzykanta, który akurat zatrzymał się w Solvorn. Wrócili dopiero długo po północy, lecz cieśle nie stracili nic z zapachu.

Był sobotni wieczór, dzień narodzin Panny Maryi, i wszystkie znaki wskazywały na piękną jesień. Budynek pokryto dachem, chociaż wciąż jeszcze można było patrzeć na przestrzał przez to, co miało być w przyszłości ścianami. Wznosił się ku ciemnognatowemu niebu jak niezwykła płatanina belek i desek, skąpany w bladym świetle księżyca.

Ravi wystraszył się głosów, wesołych krzyków, szaleństwa, jakie często ogarniało gromadę mężczyzn, kiedy płynęło piwo. Zmieniali się wówczas w wielogłowego i wielorękiego trolla, połączonego jedną tylko myślą.

Przekradł się pod ścianą do drzwi prowadzących wprost do kuchni. Nigdzie nie widać było żywej duszy. Bjørg zapewne już dawno zabarykadowała się na stryszku spichrza, a wszyscy pozostali chyba już spali.

Na chwilę przysiadł przy kuchennym stole. Na palenisku lekko się żarzyło.

Czy miał iść od razu do Johanny? To by znaczyło, że musiałby przemknąć się obok łóżka Marji przez izbę, którą zapełniła ustawionymi pod wszystkimi ścianami kuframi i workami, wyminąć długi stół, wielką półkę z pojemniczkami i słoiczkami, za zasłonę, za którą kryły się drzwi do maleńkiej izdebki Johanny.

Nasłuchiwał.

Dochodziły do niego głosy. Nie mógł się zorientować, kto rozmawia, wiedział jedynie, że to kobiety. Czyżby Johanna nie spała i siedziała razem z matką? A może to Marja uznała, że jest zbyt wcześnie, by kłaść się spać?

Ravi westchnął i rozejrzał się za czerpakiem. Mógł się przynajmniej ochłodzić paroma łykami czystej źródlanej wody, a może też zanieść dzbanek do nich.

Nie zdobył się jednak na to, siedział dalej, nie ruszał się z miejsca.

Jutro znów nabożeństwo. Nikt nic nie mówił, lecz Johanna na pewno uważa, że najwyższy już czas, by pokazał się wiosce. Czas, by ludzie dowiedzieli się, że on wcale nie umarł, tak jak wszyscy sądzili, gdy Storlendet dostał swoje odszkodowanie.

W wiosce podniesie się wrzawa.

Kłujące spojrzenia, ostre języki i, co gorsza, ludzie, którzy będą go unikać, wprost rozpląwać się na jego oczach, pobladli ze strachu albo poczerwieniali z napięcia.

Widział to kiedyś, na jarmarku, na którym był razem z ojcem. Wielki kudłaty niedźwiedź z grubym kółkiem w nosie tańczył dla ludzi, którzy śmiali się i pokrzykiwali. Właściciel nauczył zwierzę tańczyć, zmuszając je do chodzenia po żelaznej płycie, którą wcześniej trzymał w ogniu. A gdy niedźwiedź usiłował z niej zeskoczyć, człowiek ciągnął za kółko, aż z nozdrzy ciekła krew.

Mężczyźni się śmiali.

Nawet wtedy, gdy niedźwiedź leżał potem w cieniu i cały się trząśł, otoczyli go i uderzając się po udach, wygłaszali urągliwe komentarze. Niektórzy bali się podejść bardzo blisko, strach przed dzikim zwierzęciem był silny, mimo że właściwie było ono bezbronne.

Ravi poczuł wtedy, jak ogarnia go wielki smutek, cierpiał razem z niedźwiedziem. Gdyby nie groźby ojca i jego własne tchórzostwo, wyciągnąłby nóż i przeciął sznur, na którym trzymano misia, a potem odjechał daleko, daleko na jego grzbiecie.

Wolnym ruchem otworzył pokrywę łąwy. Jego pościel wciąż tam leżała. Jedyne w pierwsze dni sypiał tutaj, prawdopodobnie poczucie wstydu Amelii w tym wypadku zwyciężyło. Teraz pragnął niemal, by pozwolono mu tu zostać i spać w izbie dostatecznie dużej, by zdołała pomieścić jego myśli.

- To prawda, mamo, zazdroścę jej. Jest taka słaba, że być może tego nie przetrzyma, być może skończy się to śmiercią i dla niej, i dla dziecka, ale gotowa byłabym się z nią zamienić, tu i teraz.

- Amelio... ja... są przecież na to rady, są lekarstwa i inne sposoby!

Amelia w zielonej sukni westchnęła. Migotanie niemal całkiem wypalonych już świec pieściło jej twarz, wygładzając wszystkie drobniutkie zmarszczki. Marji wydawało się, że córka znów ma piętnaście lat, i nie mogła się powstrzymać, by nie pogładzić jej po jasnych włosach.

- Mamo, wiem, że jest już za późno, jestem stara... Mam czterdzieści lat!

- Przecież już wcześniej zdarzało się, że czterdziestolatki rodziły dzieci.

Amelia wbiła wzrok w matkę.

- Tak, wiem o tym, na przykład Gjertrud. Widziałaś sama, jak to się skończyło.

Marja westchnęła.

- Nie myśl sobie, że zapomniałam o Gjertrud, ona była przecież dla mnie jak matka. To jednak jej pierwsze dziecko, Amelio, i Anton też nie był młody.

Amelia zaśmiała się cicho, śmiechem pełnym gorczy.

- Składasz winę na ojca? Marjo, mnie nie przekonasz, że to ma jakieś znaczenie. Mężczyźni przecież płodzą dzieci, dopóki nie spoczną w grobie. Potrafią zniszczyć dwie albo i cztery żony!

Marja przygryzła dolną wargę i uśmiechnęła się lekko.

- Jestem pewna, że to nie jest obojętne. Wyobraź sobie, co się dzieje, kiedy wiosną rzucisz na pole złe ziarno? Nie pomoże przecież to, że ziemia jest dobrze nawieziona, nie ma znaczenia, czy to nowina właśnie wypalona czy też stare wyjałowione pole. Jeśli natomiast masz świeże życiodajne nasienie... ono zdoła wyrosnąć niemal w każdym miejscu.

- Dziękuję ci za zaufanie - roześmiała się Amelia. - Powinnaś kiedyś ogłosić to ze stopni kościoła, w wiosce wszak pełno starców, którzy mają w domu gromadę drobiazgu.

Marja burknęła coś pod nosem i naląła jeszcze trochę wina.

- Ci durni starcy... poklepują swoje wnuki po pupach, a ślinią się na widok każdego jagnięcia, jakie stanie im na drodze. Sprośne przechwałki są dla nich sprawą życia i śmierci. Rozprawiają jak siedemnastolatki, wiele razy miałam ochotę zerwać z nich portki, żeby ludzie na własne oczy mogli zobaczyć obiekt tych przechwałek. Stare, pomarszczone skórki od kiełbasy! Chyba wtedy stuliliby pyski.

Amelia próbowała udawać wstrząśniętą, takich słów nie słyszało się codziennie na jej pokojach. Nie zdołała jednak się powstrzymać i wreszcie parsknęła śmiechem tak, że aż z ust prysnęły jej kropelki wina.

- Mamo, ty jesteś... niewiarygodna!

- Sama doszłam już do takiego wieku, że mogę sobie pozwolić na to, żeby drwić ze starych - oświadczyła Marja z uśmiechem na ustach.

- Ty się chyba nigdy nie zestarzejesz - stwierdziła Amelia z namysłem.

Marja wolno odwróciła się w jej stronę.

- Za to ty jesteś stara już od wielu lat, Amelio. Jeśli naprawdę tak bardzo pragnęłaś dziecka przez cały ten czas...

- Tak, to prawda.

- To dlaczego wcześniej się z tym do mnie nie zwróciłaś?

- Myślałam, że wszystko jakoś samo się ułoży, że to jedynie kwestia czasu. Zdarza się przecież, że upływa cztery albo pięć lat, albo nawet osiem czy dziesięć, i byłam przecież taka młoda, kiedy urodziłam Johannę. Czas jakby przeciekł mi przez palce, a teraz już od wielu lat jest za późno.

Marja przestała chichotać. Przysunęła się do przodu, odstawiła kieliszek z winem. Potem odchyliła się na krześle, aż stanęło na tylnych nogach, z trudem pozostając w równowadze.

- Ile czasu upłynęło, odkąd skończyła się twoja miesięczna przypadłość?

Amelia pokręciła głową.

- Stale ją mam. Wciąż bardzo regularnie.

- Hm... Wobec tego coś tu przeszkadza. Ty... nie jadłaś przypadkiem tasznika czy czegoś w tym rodzaju? To znaczy wcześniej, kiedy byłaś młoda.

Amelia wyglądała na naprawdę wstrząśniętą.

- Nie, nigdy!

- Tak sobie właśnie myślałam. Tak wygląda bowiem druga strona tego błogosławieństwa. Przez kilka lat nie przybywa więcej gąb do wykarmienia, ale kończy się na tym, że kobieta staje się zupełnie jałowa albo nie jest w stanie donosić dziecka.

- Nikt chyba nie waży się na coś podobnego! - powiedziała Amelia zakłopotana i lekko przestraszona.

Za takie rzeczy groziła kara śmierci. Czynienie kobiety niepodatną na dary Boże było po prostu grzechem większym od wszystkich innych. Tak samo ciężkim, jak odbieranie życia dziecku, którego nie było się w stanie wykarmić. Ba, większym nawet, gdyż zdarzało się, że kobiety oskarżone o zabójstwo uchodziły z życiem.

- Ty... wypróbowałaś zapewne większość znanych rad?

Amelia kiwnęła głową.

- Przynajmniej te, w które choć trochę wierzę. I jeszcze kilka...

Marja w roztargnieniu pokiwała głową.

- Znam pewnie parę innych. Jeździłam daleko po świecie, po drodze wiele się nasłuchiłam. Prawdę jednak mówiąc, nie wiem, czy któraś z nich warta jest wysiłków. Wszystko to wydaje mi się ustalone z góry.

- Ja też tak myślę - wyznała cicho Amelia. - Ale nie przestaję się modlić...

- Z tego także ci nic nie przyjdzie - rzuciła Marja w powietrze.

Kobięcy śmiech docierał do Raviego niczym odległy szum. Mieszał się z krzykami mężczyzn uczujących przy budowie. Nie podobały mu się te odgłosy. Kto tam siedzi i tak mu wesoło? Zirykowało go, że nie potrafi odróżnić śmiechu Johanny od matki, ani nawet od Marji. Czyżby one naprawdę były tak do siebie podobne?

Marja, niemal czarnowłosa. Jej surowość łagodziło jedynie kilka drobnych zmarszczek koło oczu i srebrne pasma we włosach. Brązowe włosy Johanny teraz, po słonecznym lecie, swą barwą zbliżały się do włosów Amelii. Kobiety były niemal równego wzrostu, choć Johanna, mocniej zbudowana, miała bardziej wydatny biust i szersze biodra.

Są tej samej krwi.

Ta sama krew, ogniwa jednego łańcucha.

Ravi zapragnął pójść teraz do Benjamina, wziąć go na ręce, odszukać w twarzy synka rysy Reina. Gdy chłopiec przyszedł na świat, odczuł tak wyraźnie, że jest dla niego odmianą. Że to on stanowić będzie jego kotwicę w życiu. Czyżby początek łańcucha?

Ravi nie wiedział.

Wiedział jedynie, że nawet jeśli wszystko się zmieni, to on już i tak zbyt długo był samotną wyspą.

- Nie, twoje modlitwy na pewno nie zaszkodzą, Amelio, ale wiem o jednej tylko rzeczy, która ma potężniejszą moc.

- Potężniejszą od Boga? Posuwasz się za daleko, mamó. Nie chcę brać w tym udziału!

- Nie, nie, wcale nie to miałam na myśli, nie potężniejszą od Boga. Możesz to raczej nazwać głosicielem prośb, to coś, co potrafi uczynić twoje pragnienia... głośniejszymi.

Amelia odprężyła się, w jej oczach pojawił się wyraz niedowierzania, lecz jednocześnie ręce jej drżały z niecierpliwości.

- Łańcuszek - mruknęła Marja na próbę.

- Łańcuszek? - powtórzyła Amelia niemal z lękiem. - Nie myśl sobie, że i ja o nim nie pamiętałam. Ale tak się boję. Tyle zła... Wierzę niemal, że wisiołek jest przeklęty.

- Nie, nie jest przeklęty, ale działa. O, tak, naprawdę działa.

- Tyle osób zmarło... to zbyt niebezpieczne, Marjo.

- Nosiałam swoją część łańcucha przez całą młodość, przez cały czas aż do chwili, gdy karczmarz mi go odebrał. No, może niedosłownie... Odzyskałam obie części, jest mój, jest nasz, Amelio. Dopóki tylko my go używamy, my i nasze córki, nie ma w nim żadnego zła. Matka go dostała, dostała z błogosławieństwem, rozumiesz? Amelia kiwnęła głową, niemal wstrzymała oddech. Doskonale wiedziała, do czego doprowadził łańcuszek, gdy znalazł się w rękach nieszczęsnej szalonej żony karczmarza. Zabijała, lecz to i tak w niczym jej nie pomogło.

- Nosiałam ten łańcuszek, kiedy związałam się z Reinem. Nie byłam już młoda, ale... zaszłam w ciążę. Dalej nie pomoże już żaden klejnot, Amelio, mnie w każdym razie w niczym więcej nie pomógł.

- Straciłaś dziecko. - Tak.

- Piłaś niebezpieczne wywary.

- Tak, przez wiele lat.

Amelia odwróciła głowę ze smutnym wyrazem twarzy. Nie chciała, by matka wyczytała z jej oczu oskarżenie, przynajmniej nie teraz, nie pora na to.

- Bardzo chciałabym pożyczyć sobie twój wisior, mamó, lecz jeśli poczuję, że on niesie ze sobą coś złego... nie możesz czynić mi wyrzutów.

- Nie, nigdy, to oczywiste.

- Przyniesiesz mi go? Teraz?

Krzesło Marji opadło w przód, stanęło znów na czterech nogach, spódnice zmiotły podłogę. Z zewnątrz dobiegały tony starej pieśni, przerywane przenikliwym, fałszywym tonem skrzypek.

- Jutro. Możesz go założyć, zanim pojedziemy do kościoła. Myślę, że wtedy będziesz czuła się lepiej, Amelio.

Córka uradowana skinęła głową. Marja mruknęła do niej.



- Jeśli zechcesz, możesz nawet poprosić pastora, by go pobłogosławił.

- Może i tak.

Marja wzruszyła ramionami.

- Jeśli naprawdę się boisz, że przypisane jest do niego zło. Ja wiem, że tak nie jest. Wiem, że ten stary klejnot w istocie posiada jakąś moc, lecz nie ma ona nic wspólnego z twoimi kościelnymi diabłami, Amelio.

- Oczywiście, nie.

Marja zadowolona skinęła głową, przeciągnęła się, kilka razy obróciła w koło. Amelia ziewnęła.

- Chyba wybiorę się na dół, do tych ludzi, zobaczę, co robią. Pewnie nawet takiej starej babie jak ja trafi się okazja, żeby chociaż raz zatańczyć - oświadczyła Marja ze złe skrywanym zadowoleniem z siebie.

Amelia z uśmiechem życzyła jej dobrej nocy.

Ha, mężczyźni zupełnie oszaleją, Marja zdawała się nie ulegać upływającemu czasowi. Może sprawiały to jej soczyste komentarze, może gładka skóra, a może raczej to, że nie zgodziła się, by natura odebrała jej całą kobiecość, gdy tylko przyszedł kres jej płodności.

Od Marji wprost biła owa niezwykłość, jaka odróżnia niektóre kobiety od wszystkich innych. I nie dotyczyło to jedynie jej lekkiego kroku, młodzieńczego wyglądu. Było coś w samym sposobie, w jaki się poruszała, z dumą, długim, niemal męskim krokiem. Sposób, w jaki obchodziła się z zakrzywioną fajką, również sprawiał, że ta czynność wzbudzała pożądanie. I sposób, w jaki kołysała biodrami, zupełnie inny niż niemądre dreptanie, jakie często ćwiczyły kobiety wyższego stanu.

Amelia z uśmiechem pokręciła głową, kiedy matka rozpuściła dwa z cienkich warkoczy, w które zbierała włosy.

Na Boga, ależ ludzie zaczną gadać! Nigdy nie będzie spokoju. Bez względu na to, gdzie je rzucą losy, to i tak córki z Bergaheim będą się wyróżniać.

Podeszła do okna i wyjrzała na błękitną noc. W oddali widziała wierzchołek góry, a nieco dalej Molden.

Zarys stromego urwiska był jakże znajomy. Od południowej strony przypominał kobiecy profil, ale zagród na szczycie ani innych śladów pozostawionych przez ludzi nie dawało się zobaczyć.

Amelia odetchnęła i poszła spać.

Ciało Bendika było ciepłe, jakby kołyszące do snu, przytuliła się do niego, pragnąc obudzić go gorącymi pieścizotami, ale na to było za wcześnie, nie śmiała. Może on znów by

się od niej odsunął, co ostatnio często się zdarzało, a jej za każdym razem serce zdawało się pękać. Wiedziała, dlaczego tak jest, wyczuwała jego urazę.

Bendik tak dobrze wiedział o jej najskrytszym marzeniu.

## ROZDZIAŁ IX

Nie była zła, przyjęła go miękko i życzliwie, Ravi z wdzięcznością przytulił się do niej. Nie wiedział, czy starczy mu śmiałości, żeby coś powiedzieć, bo ona być może spała, w każdym razie w ciemności słyszał tylko jej równy oddech.

Ach, byle tak nie cierpiała!

Byle uśmiechnęła się do niego w ciemności i zarzuciła mu drobne ręce na szyję, wtulając twarz w nagą skórę przy zagłębieniu szyi.

W takich chwilach napływało poczucie bezpieczeństwa. Czuł się wtedy dostatecznie silny, by ją chronić od wszelkiego zła, jakie tylko mogło ją dotknąć.

I Johanna właśnie tak zrobiła, a wówczas usłyszał jeszcze jakiś inny dźwięk, cichutkie piśnienie i posapywanie. To Benjamin spał razem z nią. Jego łóżeczko stało zwykle przy łóżku Amelii, ta izdebka była bowiem taka mała. Johanna twierdziła też, że Amelia lubi mieć wnuka koło siebie.

Dziś jednak zasnął u matki. Ravi delikatnie wsunął rękę pod plecy Johanny, mały leżał przy samej ścianie i zaczął się kręcić, gdy matka zmieniła pozycję. Unosił się zapach dziecka, słodki, trochę lepki.

Ravi uśmiechnął się.

Za rzadko widywał chłopczyka. Wiedział, że Johanna niepokoi się o synka, zresztą sam Ravi widział, że Benjaminowi towarzyszy niebieskawy cień, zauważył go już w pierwszej chwili. Promieniowanie o zwiększonej mocy, jakie często daje się dostrzec wokół ludzi noszących w sobie chorobę.

Na pewno dasz sobie radę, pomyślał Ravi ze smutkiem. Będziesz żył i stawał się coraz silniejszy, a nawet jeśli nie, to twoje przekleństwo wcale nie jest w niczym gorsze od mojego. Nie musisz przecież dźwigać kamieni ani kopać ziemi, żeby zapewnić sobie pożywienie. Jesteś synem zamożnej kobiety.

I nie posiadającego nic mężczyzny, odezwał się ostry szept w jego sercu.

Johanna oddychała ciepło przy jego wargach. Zmrużył oczy i pocałował ją.

- Ja nie śpię - szepnęła.

Sprawiło mu to ulgę, ale i wystraszyło.

- Masz to nosić przez cały czas, wydaje mi się, że tak właśnie będzie najlepiej.

Amelia lekko drżała, gdy Marja zawieszała jej łańcuch na szyi. O dziwo jednak, złocisty metal wydawał się mieć w sobie ciepło ludzkiego ciała. Marja wyciągnęła go z aksamitnego woreczka, w którym leżał, i znów połączyła obie jego części.

W małym dzwoneczku utworzyła się pusta przestrzeń, Marja umieściła tam kawałek jakiegoś korzenia, kłaczek wełny zwilżony pachnącą wodą różaną i jeszcze coś, co, zdaniem Amelii, przypominało zajęczy bobek.

- To tylko na żarty - oświadczyła Marja z uśmiechem. Amelia sięgnęła ręką do szyi. Łańcuch wydawał się dziwnie ciężki, lecz jednocześnie spokojnie leżał na skórze i nie był wcale nieprzyjemny w noszeniu. Pięknie wykute poszczególne jego części idealnie do siebie pasowały. Był jednak właściwie zbyt gruby na smukłą kobiecą szyję. Na jednym końcu wykonano jeszcze dodatkowy zaczep.

- Pomyśl tylko, że nosiła go moja matka - powiedziała Marja, a w jej głosie pojawiło się nagle nabożeństwo.

Amelia kiwnęła głową.

- Przyjemne są takie rzeczy odziedziczone po przodkach. Twoja matka nie miała nic... Przez długi czas nie wiedziała, skąd pochodzi, czyż nie tak?

- Pochodziła z Bergaheim, jej matka Liv wcześniej zmarła... W końcu powiedziałam mamie, kto był jej ojcem... Wtedy po śmierci Karla...

- Może lepiej, gdyby się tego nigdy nie dowiedziała - rzekła Amelia zamyślona.

- Tak, to była naprawdę straszna historia! Pomyśl tylko, jak można zrobić coś takiego małemu dziecku? Takim mężczyznom powinno się odcinać te ich ozdoby!

- Och, nie mów tak! - wykrzyknęła Amelia.

- Nie, nie, ty na pewno potrafisz znaleźć usprawiedliwienie nawet dla gwałcicieli dzieci.

- Wcale nie... ale też i to nie moja sprawa. Myślę raczej, jak musiała się czuć Liv. To przecież twoja babka!

- Wydaje mi się, że w końcu odzyskała równowagę - oświadczyła Marja zdecydowanie. - Wielu starych ludzi stąd jeszcze o niej pamięta. Mówią, że zawsze była taka spokojna i dobra, nikt nigdy nie usłyszał od niej złego słowa, a kiedy umarła... Przysięgam, myślę, że była szczęśliwa. Matka mówiła, że ona bardzo tęskniła.

Amelia puściła łańcuszek i zamyślona oparła się o parapet.

- Chciałabym wiedzieć coś więcej o tym wisioru. Mam wrażenie, jakby on... jakby szeptał do mnie. Jak gdyby zachował myśli Marii... jakąś jej część.

- Tak to już bywa z rzeczami, które były kochane przez wielu ludzi - mruknęła Marja i wyciągnęła rękę w stronę podstawki, na której leżała przygotowana fajka i tytoń.

Amelia nie całkiem przywykła do tego zwyczaju, uważała jednak, że od dymu unosi się w pokoju przyjemny zapach. W księgach sprowadzonych z Kopenhagi wyczytała, że taki dym działa odświeżająco i hamuje rozwój choroby. Podobno zdarzało się, że palono tytoń w pomieszczeniach chorych, żeby im ulżyć, szczególnie przy dolegliwościach, które legły na piersi, przy kaszlu albo kłopotach z oddychaniem.

Marja paliła dla własnej przyjemności.

- Ładnie ci w nim - powiedziała nagle. - Nie pokażesz się Bendikowi?

Amelia przeraziła się nie na żarty.

- Nie! On nie może się o niczym dowiedzieć! Jeszcze by pomyślał, że... oszalałam! Ja...

- Właściwie nie wierzysz w takie rzeczy? Amelia nie potrafiła ukryć lekkiego uśmiechu.

- No tak, właściwie nie, ale to bardzo dziwny przedmiot.

Marja pokręciła głową. Popatrzyła na córkę spod ciężkich powiek. Może jeszcze nie całkiem się przebudziła, bo sobotni wieczór i stawianie wiechy przeciągnęły się do świtu, a teraz niewiele czasu już zostało do chwili, gdy kościelne dzwony wybiją pierwszy ton.

Amelia zawiązała na szyi jedwabną chusteczkę, dokładnie zasłoniła nią wisiorek. Cała chustka mieniła się barwą turkus, błękitu i fioleto. Brzeg ciemnogrnatowej sukni ozdabiały białe muszelki z koronki, która kiedyś przystrajała jedną z sukni Marji.

- Czy powóz już wyprowadzony?

- Tak, sądzę, że tak. Nie możemy pozwolić, żeby chłopcy dłużej na nas czekali.

A na podwórzu okazało się, że wszyscy, którzy wybierali się do kościoła, już wsiedli. W domu z Benjaminem zostać miała Bjørg, ona też zajmie się przygotowaniem jedzenia. Ale Johanna stała w odświętnej sukni i mocno ścisnęła Ravię za rękę. On miał na sobie zwyczajne brązowe spodnie z grubego płótna i szarą koszulę z cienkiego lnu.

- Ona nie zaciągnie tego chłopaka do kościoła nawet wołami - mruknęła Marja.

Amelia nie odpowiedziała, ale kiedy wsiadły do bryczki, widziały, że Ravi nie rusza się z miejsca. Johanna spuściła głowę i skryła twarz pod daszkiem czepka.

Amelia poczuła się bardzo nieswojo. Dlaczego on wciąż się ukrywa przed ludźmi?

Córka na pewno to zauważyła. Ravi rozmawiał jedynie z domownikami, a gdy tylko przychodzili inni ludzie, zaraz gdzieś uciekał. Przepadał zresztą i tak niemal na całe dni, ciągnęło go w góry jak wygłodniałego renifera.

Ravi jest taki dziwny. Amelia znów westchnęła i usiadła odrobinę bliżej Bendika. Johanna mocno zaciskała dłonie na sporej fasce masła, którą tego dnia miał otrzymać w prezencie pastor.

- On musi kiedyś pojechać z nami, Johanno, musi wreszcie pokazać się ludziom. Z tym nie da się już dłużej zwlekać. Ludzie będą gadać.

- Nie słyszałem o nim we wsi ani słowa. To prawie przerażające - rzucił Bendik wyzywająco, ale Johanna nie odpowiedziała.

Czuła jednak podobnie. Czy Ravi rozmawiał z Bjørg i z parobkami? Prosił ich, żeby milczeli? A jeśli tak, to co im obiecał albo czym zagroził?

Mieszkał na Vildegård już od kilku tygodni, lecz oni wciąż jeszcze nie słyszeli ani słowa ze Storlendet. Można by się spodziewać teraz kolejnych awantur, skoro zmarły morderca mimo wszystko, jak się okazuje, zachował dobre zdrowie.

Karl Martin jechał wierzchem i tylko od czasu do czasu zaglądał do bryczki, patrząc na rodzinę. Marja kupiła kariolkę, leciutki zgrabny powóz na kołach tak wielkich i delikatnych, że dało się nim jeździć właściwie tylko drogą do kościoła.

- Musimy zachowywać spokój, może spory już się skończyły. Może ludzie ze Storlendet są już usatysfakcjonowani i nie zechcą więcej kusić losu.

Amelia kiwnęła głową, lecz tak naprawdę wcale jej to nie uspokoiło. Było coś strasznego w przebywaniu pod jednym dachem z takim gościem. Czułaby się znacznie lepiej, gdyby młodzi się pobrali, a jeśli miało do tego dojść, to Ravi tak czy inaczej musi stawić się przed pastorem. To konieczne, prędzej czy później.

Faska pełna masła stanowiła pewien krok naprzód, wędzona szynka wręczona poprzednim razem i dziesięć talarów na nowy komunijny kielich również powinny pomóc. O pastorze powiadano jednak, że nie jest on w stanie utrzymać przy sobie pieniędzy, przeciekały mu przez palce niczym ziarenka piasku przez sito.

No cóż, wobec Marji zachowywał się miło, zresztą wobec nich wszystkich. Amelia zerknęła z ukosa na Bendika. Podejrzewała, że mąż niejedną raz pożyczał duchownemu pieniądze. Nie byłoby w tym zresztą absolutnie nic dziwnego, wkrótce w parafii nie będzie już chyba gospodarza ani urzędnika, który nie miałby listu dłużniczego, podpisanego przez Pедера Juula.

To się może przydać, pomyślała Amelia, gdy rozdzwoniły się kościelne dzwony.

Johanna znów podniosła głowę, ale oczy miała wilgotne, jakby zapatrzone w siebie.

Amelii ścisnęło się serce, w takich chwilach gniew, który krył się gdzieś w zakamarkach jej duszy już od dnia, gdy stało się jasne, że Johanna uciekła z tym chłopakiem

włóczęgą, synem zmarłego Reina, narastał. Jakże dobrze mogło się ułożyć Johannie bez niego! Nawet jeśli małżeństwo z Erlendem okazało się tak straszne, to przecież mogło zostać rozwiązane w przyzwoity sposób. Gdyby tylko Johanna poprosiła swych rodziców o pomoc, zamiast...

Nie, takie myślenie na nic się nie zda.

Ale ta myśl nie dawała Amelii spokoju, kołatała w niej niczym nieduże rozgniewane młyńskie koło.

Wtedy wciąż mieliby Karlsgård, nie mieliby stale obawiać się tego dnia, kiedy ludzie ze Storlandet i reszta wsi zorientują się, iż rzekomo zmarły Ravi syn Reina, zabójca Erlenda, wciąż żyje.

I że w dodatku zamierza poślubić wdowę...

- Wiem, że jesteś rozsądnym człowiekiem. Wiem, że nie jesteś na tyle głupi, by nie dostrzec racji w tym, co mówię. Ty się ukrywasz, Ravi, oni rozmawiali o tym dzisiaj po drodze do domu. Amelia ogromnie się martwi, a Johanna płakała.

Słowa gęste jak smoła zawisły w powietrzu.

Ravi nie chciał tego słuchać, lecz Karl Martin nie pozostawiał mu wyboru. Przyniósł ze sobą nóż i kawałek drewna, a potem zgrabnie przysiadł na brzegu rzeki koło Ravięgo. Było już późne popołudnie i świąteczny spokój spowijał wioskę. Na zboczach ledwie dawało się dostrzec plamy brunatniejszej ziemi, poza tym lato było w pełni obecne w tę wrześnieową niedzielę. Wróżyło to pomyślnie dla zbiorów, a także dla budowy Marji.

- Potrafisz przyprawić ją o płacz, dobrze o tym wiesz. To dla ciebie prawdziwe nieszczęście, bo wierzę, że bardzo się o nią martwisz.

- Tak, to prawda.

Karl Martin odarł kilka kawałków kory z drewna, które ze sobą przyniósł. Ravi domyślał się, że z Karla Martina lepszy może być strateg, niż na to wyglądał. Praca w niedzielę żadną miarą nie jest dobrym zwyczajem, a już na pewno nie taka, do której trzeba używać noża.

Karl Martin wsunął kawałek suchej kory do ust i żując ją, wyćwiczonymi dłońmi odcinał jasne wióry z drewna.

- Jeśli naprawdę przejmujesz się jej losem... to dlaczego chowałeś się pod spódnicę Heleny?

Ravi drgnął wystraszony. Owszem, zakładał, że Karl Martin zna całą historię, wołał jednak żyć, udając, że o wszystkim wie jedynie Johanna.

- To... to coś zupełnie innego.

Nagle, nieco za mocne klepięcie po ramieniu. Karl Martin zaśmiał się ochryple.

- Wiem, jak to jest! Człowiekowi chodzi o trochę napięcia i zabawy, a tymczasem sytuacja sama się rozwija, no a potem człowiek przez resztę życia się zastanawia, co też takiego źle poszło.

Ravi popatrzył na Karla Martina ze zdziwieniem. W jego głosie wyczuł wiele goryczy. Zdumiało go to, choć przecież nic nie wiedział o tym wuju, oprócz tego, że wyjechał z Nadjaną do Rosji i nikt przez wiele lat nie miał od niego żadnych wiadomości. Wreszcie Marja zdecydowała się wyruszyć za nim i gdzieś w jakimś miejscu natrafiła na ślad syna.

- Czy ty nigdy nie pokochałeś żadnej dziewczyny? Karl Martin wypuścił nóż z ręki, odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. Miał mocne, lśniące białe zęby, ale oczy błyszczały mu goryczą i smutkiem.

- Pytasz, czy kochałem? Och, tak, i to jak! Ale też i dostałem nauczkę! Ravi, wierz mi, lepiej jest poszukać sobie kobiety, z którą można... z którą można żyć, nie ryzykując przy tym zbyt wiele. Być może opuszczenie Johanny sprawi ci ból, może się nawet zdarzyć, że będzie cię on dręczył przez całe życie, obiecuję ci jednak, Ravi, taki ból blaknie, a możliwe też, że całkiem zanika. Jeśli nie zdołasz się uwolnić, rozrywający ból będzie trwał wiecznie. Musisz tak uczynić, nawet jeśli uważasz, że to doprowadzi do piekła.

On mówi z własnego doświadczenia, pomyślał Ravi. To zapewne szczerść tych słów przydała im tak wielkiego ciężaru.

Ravi oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Kiedy rozsunął palce, widział jedynie płynącą wodę. W blasku promieni słońca rozmazywała się, zmieniała w białe dziwaczne pasma przed oczami.

- Być może masz rację, jesteś doświadczonym mężczyzną...

- Owszem, to prawda, a ty, jeśliś bystry, to wycofasz się stąd czym prędzej. Dobrze wiem, że wiele o tym myślałeś, wiem o tym, ponieważ się ukrywasz. Jeśli nie, to dlaczego umykasz do lasu, gdy tylko w zagrodzie pojawią się jacyś ludzie? I dlaczego nigdy nie chodzisz z Johanną do kościoła albo przynajmniej nie wyprawisz się do Døsen zobaczyć, co tam się dzieje?

Ravi nie odpowiedział.

Nie miał na to żadnej odpowiedzi.

Ale oczywiście Karl Martin mówił prawdę.

Ravi zaciśniętą pięścią uderzył w ziemię.

- Pozłość się, to ci pomoże - skomentował Karl Martin spokojnie i wytarł nóż w odświętne spodnie.



Ravi odwrócił się do niego, popatrzył w jasne oczy. Twarz Karla Martina pokrywały głębokie bruzdy, wydawał się o wiele starszy od swej siostry Amelii.

- Gdybym kiedyś zniknął... obiecasz mi, że będziesz strzegł Johanny?

Karlowi Martinowi trzęsły się ręce, lecz wytrzymał spojrzenie Ravięgo.

- Tak jakby była moją rodzoną córką.

Ravi przygnębiony kiwnął głową. Znow popatrzył na rzekę, przyglądał się lśniącej wodzie i zielonym brzegom.

- Chyba nie dam rady - powiedział tak cicho, że Karl Martin raczej nie wychwytił tych słów.

Za jego plecami zaszeleściła jedwabna koszula. Karl Martin podniósł się i odszedł.

Napięcie nie opuszczało jej przez cały dzień, było niczym drganie głęboko pod skorupą ziemi, lecz jednocześnie lekkie i przyjemne jak ciepła woda. Amelia niemal się wystraszyła, miała wrażenie, że takie odczucia są wręcz nieprzyzwoite. W każdym razie bardzo nieodpowiednie wtedy, gdy siedziała na pomalowanych na niebiesko ławkach w kościele, przeznaczonych dla tych z parafian, którzy godzili się zapłacić trochę więcej.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest kompletnie naga, i już na samą tę myśl oblewała się rumieńcem. Ciało jej się burzyło, siedziała roztrzęsiona i niespokojna, przez cały czas usiłując zmusić nogi, by znieruchomiały wreszcie pod warstwą spódnic, a dłonie leżały skromnie złożone na kolanach.

Docierały do niej zaledwie urywki z kazania pastora, tego dnia prawil o sianiu i o zbieraniu. Może ćwiczył przed wielką mszą październikową, kiedy cały ołtarz miały przesłonić kapuściane głowy, wieńce zboża, tusze zarżniętych zwierząt i ryby?

Bendik siedział po drugiej stronie, razem z Karlem Martinem i małym Benjaminem. Amelia czuła lekki zapach Marji, który swoją obcą słodyczą drażnił ją jeszcze bardziej.

Pod jedwabną chustką perlił się pot.

Echo stuletnich psalmów tkwiło w jej uszach, odzywało się szumem. Amelia miała świadomość, że jest grzeszna, że nie wolno jej siedzieć tu i odczuwać w taki właśnie sposób.

Ale nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch, to Bendik odwrócił się do niej i zobaczyła na jego twarzy delikatną, pełną obietnic odpowiedź.

Poczuła, jak to, co złe, z wolna w niej topnieje, otworzyła usta i przyłączyła się do śpiewu. Mimo woli zaczęła się uśmiechać. To może było nie całkiem w porządku, bo ten akurat psalm mówił o Sądzie Ostatecznym i o śmierci.

- Gdzie jest Ravi? - głośno spytała Marja. - I Karl Martin?

Nikt jakby nie spieszył się z odpowiedzią, ale Marja odłożyła fajkę i rozprostowała nogi.

- Może my też powinniśmy wyjść, wszyscy razem? Cudownie jest w taki dzień posiedzieć pod nagrzaną słońcem ścianą. A w dodatku muszę porozmawiać z majstrem, bo było coś, czego on nie mógł pojąć. Bendiku, słyszałeś może o oknach?

Nie czekała na odpowiedź, bo przecież już wczoraj dowiedziała się, że na przystań w Døsen nic nie przyplęnęło.

- Niecierpliwość... Oto cała Marja - uśmiechnęła się Bjørg.

- Zawsze taka była, tak twierdzi Ingebjørg.

- Tak, prawdziwa z niej tarka - uśmiechnęła się Amelia.

- Niektórzy porównaliby ją raczej do innego domowego sprzętu - powiedział Bendik z uśmiechem i zamachał rękami w powietrzu, jakby zwijał wełnę.

Amelia także się roześmiała, ale Johanna nie podnosiła wzroku znad stołu.

Bendik, widząc to, spowaźniał.

- Gdzie on się właściwie podziewa? Ledwie co nieco zjadł...

Johanna wzruszyła ramionami. Wydawała się taka mała i smutna, że Bendik nie mógł już dłużej panować nad sobą.

- No nie, trzeba tego chłopca przywołać do porządku. Musi się wreszcie zacząć zachowywać jak ludzie. Nie chcę więcej słyszeć o tym, że on... przez cały czas gdzieś się chowa. Że nie chce pokazać się w kościele...

- Pewnie się boi - cicho zauważyła Amelia. - I być może nie bez powodu. Będzie szum, dobrze wiesz, Bendiku. Magnus Storlandet wpadnie w prawdziwą wściekłość. Może Ravi obawia się... o swoje życie. Może boi się zemsty?

Johanna z trudem przełknęła ślinę. Wszyscy uważali Ravię za mordercę, wyglądało na to, że nawet jej rodzice są przekonani, że tak właśnie wygląda prawda. A przecież oni wiedzieli, przecież wydusiła to z siebie, opowiedziała matce dokładnie, co się stało. Wyznała, że to ona trzymała nóż i że to jej ręka wbiła go w ciało Erlenda. Ale matka zmrużyła wtedy oczy, jakby jej nie wierzyła, jak gdyby fizyczną niemożliwością było, by kobieta zabiła człowieka zaledwie w kilka minut po tym, jak wydała na świat dziecko.

Bendik chrząknął i odsunął na bok fajkę Marji.

- Musisz z nim porozmawiać, Johanno. Musimy stawić czoło wszystkiemu, co może się stać. Jutro wybiorę się do Pedera Juula, poproszę, żeby ogłosił wasze zapowiedzi.

Johanna, bardzo błada, kiwnęła tylko głową. Ale Bendikowi nie spodobał się strach widoczny w jej oczach.

- Czego ty się boisz, mała Hanno? - spytał łagodnie. Johanna podniosła rękę do oczu, otarła łzę, która przedarła się przez mur opanowania.

- Wszystkiego - odparła martwym głosem.

- Jeszcze nie jest za późno - podchwyciła delikatnie Amelia. - Wciąż jeszcze możesz pozwolić mu odejść.

Johanna gwałtownie drgnęła.

- Nie, nie, to niemożliwe, mam. Naprawdę myślę, że tego bym nie przeżyła. Nie chcę żyć bez Ravego, nie chcę... przeżywać tego jeszcze raz.

Rodzice popatrzyli na siebie, Amelia ciężko przełknęła ślinę, a potem szepnęła:

- Miejmy więc nadzieję, że będzie ci to oszczędzone. Ale, Johanno, teraz też nie jesteś szczęśliwa. Czy chodzi jedynie o Helenę?

- Być może - odparła Johanna wymijająco, a potem uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Tak, na pewno tak, wszystko się ułoży, gdy tylko ona stąd odejdzie. Jeszcze kilka miesięcy i... Ravi na pewno też właśnie na to czeka. Musi mu być bardzo trudno.

- Bez wątplenia - mruknął Bendik. - Lecz to wszystko jego wina. Jeśli kogoś można by tu było obwinić, to tylko jego.

Johanna wyczuwała, że oboje rodzice tak właśnie myślą. Miała wrażenie, że się dusi, wprost trudno tu było oddychać. Z udawaną wesołością podniosła się gwałtownie od stołu.

- No, nie ma co tak siedzieć i popłakiwać, pójdźmy za Marją. Miło będzie przyjrzeć się budowie. Możemy poprosić Bjørg, żeby przyniosła herbatę i piwo, usiądziemy sobie w salonie.

Amelia wzruszyła ramionami.

- Dlaczego by nie? To mogłoby rzeczywiście być zabawne, a Marję na pewno aż palce świerzbią, żeby zagnać ludzi do roboty.

- Zakładam się, że będą machać młotem i siekierą, jak tylko wybije północ - cierpko zauważyła Johanna. - Marja nawet świątecznemu dniu nie pozwoli się bodaj odrobinę przedłużyć.

Na wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce na podwórzu rozległy się śmiechy i kroki. Okutych obcasów odświętnych butów Johanny nie dało się pomylić z niczym innym. Pewnie będzie musiał się do nich przyłączyć, ale rzeka jakby przyciągała go do siebie i nie chciała puścić. Ravi walczył przez krótką chwilę, aż w końcu poddał się i został na brzegu, w tej granicznej krainie. Gdyby wyciągnął nogi, obmyłaby je chłodna woda, gdyby zrobił jeden niewielki krok, prąd porwałby go ze sobą.

Och, gdybyż tylko mógł rozsupłać ten węzeł, który tkwił mu w piersi! Cisnąłby go wtedy do rzeki i patrzył, jak opada na dno albo rozpuszcza się w wodzie.

Zamiast tego cały czas przełykał ślinę, bo Karl Martin posiadał dziwną zdolność sprawiania, że wszystko w Ravim jeszcze narastało.

- Ravi... Nie chcesz pójść ze mną na plac budowy, popatrzeć? Tam nikogo teraz nie ma, tylko my. Robotnicy wrócą dopiero późnym wieczorem.

Ravi kiwnął głową, ale nie odwrócił się do Johanny. Podkraśla się do niego, stąpając bezszelestnie, ale też i porośnięta trawą ziemia w tym miejscu była bardzo miękka. Na ostatnim kawałku niemal grząska, woda bowiem podmywała koryto i wsiąkała w torf na wiele łokci w głąb.

- Ravi... nie możesz się tak zamartwiać.

Wyciągnięta ręka pogłaskała go po policzku, palce leciutko pociągnęły za włosy, związane z tyłu w gruby koński ogon i schowane pod kołnierzem koszuli. Tylko kilka nieudolnie obciętych pasm zwisało mu na twarz, kiedy niezbyt starannie wetknął je pod rzemienną przepaskę.

- Tak strasznie cię kocham - powiedziała miękko. Ravi jęknął, odchylił się w tył i musiał odwrócić twarz do niej. Johanna ubrana była w odświętną suknię, w której wybrała się do kościoła, ale zdjęła obszerną pelerynę, owijała się nią tylko podczas jazdy. Suknia zapewne należała kiedyś do Marji, Ravi nigdy jeszcze nie widział tak dziwnego fasonu. Suknia, uszyta z wielu różnych materiałów, jeden na drugim, opinała ciało tuż pod piersiami. Biodra Johanny, zdaniem Ravięgo, sterczały nienaturalnie, były takie miękkie, jakby martwe, wypchane Bóg wie czym.

Suknia jednak nie przeszkadzała jej łagodnym ruchom, Johanna nie przejmowała się też wcale, że może ją popłamić. Objęła Ravięgo za szyję i osunęła mu się na kolana.

- Ravi... nie możemy tak trząść się na każdym kroku. Nic złego przecież nie robimy, już teraz nie. Niedługo się pobierzemy. Ojciec mówi... że to musi nastąpić już wkrótce, wiesz przecież, że mama jest pod tym względem bardzo surowa. Nie była mężatką, kiedy mnie urodziła, ale wydaje mi się, że bardzo się tego wstydzi. Nie chce, żeby nałożono na nas kolejne kościelne grzywny.

Ravi z namysłem pokiwał głową.

- Twoja matka jest bardzo dobra i bardzo cię kocha, Johanno. Zły jestem na siebie... Przysporzyłem jej wiele smutków, jej także - powiedział Ravi z pociemniałą twarzą.

- Taka jest cena, jaką trzeba zapłacić, kiedy się kogoś kocha - oświadczyła Johanna.

Ravi znów jej przytaknął. Bał się wręcz objąć ją zbyt mocno, no bo co się stanie, jeśli ręce ma powalane ziemią albo kurzem? Jasnozielony jedwab lśnił taki czysty, gdy leżał rozłożony na jego grubych spodniach i rosnącej dookoła trawie.

Czarny, okuty żelazem obcas kiwał się rytmicznie, a nad nim, ponad gołą łydką, Ravi dojrzał skrawek koronkowych majtek.

- Jesteś taka śliczna - szepnął. - Jak księżniczka, prawdziwa mała dama! A ze mnie jest tylko włóczęga.

Teraz Johanna roześmiała się i zwichrzyła mu włosy.

- Mój ty biedaku, ty trollu, który zwabiłeś księżniczkę na wieki do wnętrza góry. Bo rzeczywiście ta twoja księżniczka jest jak zaklęta i nigdy nie zdoła się uwolnić.

Przytuliła się do niego, złapała go za nadgarstki, a on zaskoczony jej ciężarem opadł do tyłu, lecz i tak jej nie puścił. Johanna leżała, przylgnąwszy brzuchem do jego brzucha, i patrzyła mu głęboko w czarne oczy.

- Nawet się nie waż mnie uwolnić - szepnęła, podczas gdy jej palec rysował linię, prowadzącą od czarnych brwi wzdłuż policzka i dalej poprzez twardy mięsień szczęki. - Nigdy, słyszysz?

Ravi przełknął ślinę i skinął głową. Pocałował Johannę z rozpaczliwą żarłocznością, która sprawiła, że jej ciało pod zielonym jedwabiem oblało się gorącem.

Dłonie szukały gołej skóry, lecz odnalazły jedynie obietnicę. Ktoś wszak mógł ich zaskoczyć, a w dodatku całe tuziny maleńkich guziczków z masy perłowej starczyły, by Ravi się poddał.

- Możemy w to miejsce przyjść wieczorem, jeśli chcesz, możemy się wykapać, albo...

Ravi jęknął i przymknął oczy.

- Tak, dobrze, przyjdziemy tu wieczorem, ale teraz musimy iść na budowę, na pewno już się zastanawiają, co się z nami stało.

W głosie Johanny znów słychać było wesołość, brzmiał lekko, jasno i młodo.

Nigdy nie będę mógł tego zrobić, pomyślał Ravi. Nigdy już się od niej nie uwolnię, to przestało leżeć w mojej mocy. Musiałbym ją zranić, zawieść, być dla niej jeszcze raz okrutny. Może wtedy by mnie wypędziła.

Ale ona nie zniesie kolejnego zawodu z mojej strony. Bez względu na to, co wymyślą inni, co nas dalej czeka, Johanna i tak będzie walczyć.

Świadomość tego była niczym kamyczek szczęścia.

Johanna ucałowała go w uśmiechnięte usta i poderwała się na nogi. Lekko otrzepała ubranie, a potem pociągnęła go za sobą, przez cały czas nie puszczając jego ręki, chociaż

uniosła spódnicę i biegła drobnym kroczkiem jak dziewczynka przez niewysokie fioletowe kwiatki, które rosły nad rzeką.

Ravi zapragnął, żeby rozpuściła włosy, żeby zdjęła czepek, usunęła wszystkie te szpilki i grzebienie i inne rzeczy, których używały kobiety.

Nagle Johanna odwróciła się i szepnęła do niego z tajemniczą miną:

- Wślizgniemy się do ogrodu Amelii i ukradniemy kilka listków z jej serdecznej roślinki. Wiesz, z tej, która błogosławi miłość i pozwala, by wydała owoce, tak jak nasza.

Ravi popatrzył na nią zaskoczony. Co ona mówi? Czyżby znów spodziewała się dziecka? Czy chciała mieć więcej dzieci? Owszem, to dość naturalne, lecz taki pomysł nigdy nie wpadł mu do głowy. Benjamin nie był dla niego tylko dzieckiem, był prawdziwym cudem, cudem sprzecznym z naturą, który nie może się więcej powtórzyć.

Ravi nie wiedział, dlaczego, z takiego jednak czy innego powodu nigdy nie zdołał przywyknąć do myśli, że jest ojcem.

Johanna roześmiała się i pobiegła dalej. Poprawiła czepek, kiedy dotarli na koniec pola, z którego widać było nowy dom. Tam Marja siedziała już jak królowa na fundamentach, pokazywała coś i gadała, usta jej się nie zamykały.

Karl Martin usadowił się oparty plecami o solidny pień świerka i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w wierzchołki drzew.

Rawiego na widok tego mężczyzny zakłuło w sercu.

Karl Martin pragnął, żeby on sobie poszedł. Właściwie wszyscy oni tego chcieli, lecz nieskrywanej niechęci Karla Martina Ravi z trudem potrafił stawić czoło.

- Chodź, może zostały jeszcze jakieś placki albo przynajmniej kilka orzechowych ciastek Marji.

Johanna była w dobrym humorze, pełna zapału, wesoła. Nawet widok Heleny ułożonej w słońcu na miękkich poduszkach nie potrafił zmieścić uśmiechu z jej twarzy.

Ravi nabrał mocno powietrza w płuca i postanowił przegonić szarego karła, który stale włóczył się za nim jak cień i sprowadzał ciemne chmury nawet podczas najpiękniejszych chwil.

Ale karzeł tylko się zaśmiał i najwidoczniej skrył się za spódnicami Johanny.

## ROZDZIAŁ X

Amelia czuła, jak za sprawą łańcuszka otaczającego jej szyję chodzi napięta niczym struna. Przez całe popołudnie przyłapywała się na tym, że uśmiecha się sama do siebie, a policzki na wspomnienie chwili w kościele wciąż pokrywają się rumieńcem.

Co się z nią działo?

Czy kawałek martwego metalu mógł czynić z nią takie cuda? Trochę się tego wstydziła, bo czyż właśnie nie przeciwko takim prastarym klechdom walczyła przy wielu łózkach chorych? Ach, te opowieści o drzazgach z cmentarnego krzyża, ołowiu z okien kościoła, krwi kota i zarażonych szylingach...

O wszystkich tych śmieciach, na które starcy stale się zaklinali, uważając, że w czarnej godzinie lepiej wierzyć im, aniżeli wyczytanym w najnowszych księgach naukom Johanny.

A co powiedziałyby na to Johanna?

Amelia odepchnęła od siebie ten niepokój. Łańcuszek nie mógł być niebezpieczny ani zły, czuła się przecież tak niezwykle młoda, zdrowa i pełna siły.

Uśmiechała się jeszcze, gdy zmiatała okruszki i okrawki z ciężkiego kuchennego stołu. Bendik też już zauważył, że coś się z nią tego dnia dzieje, nie zdradziła się jednak ani słowem. Tylko od czasu do czasu wymieniała tajemnicze spojrzenia z matką, która wpatrzona w jedwabną chustkę Amelii wolno kiwała głową, jakby o wszystkim wiedziała.

Serce mocniej zabiło jej w piersi, gdy stwierdziła, że nie może już dłużej czekać, musi do niego iść.

- Pamiętasz... jak wymknęliśmy się nad rzekę, jeszcze wiosną...? Tak bardzo bym chciała, żebyśmy poszli tam teraz.

- Ależ, Amelio! Jest przecież za zimno. W dodatku robotnicy tamtędy przechodzą i nigdy nie wiadomo, kto...

- A czy to czemuś szkodzi?

Spytała tak miękko i kokieteryjnie, lecz tym, co sprawiło, że wstrzymał się z protestami, był deszcz pocałunków, którymi obsypała jego ciało.

Bendik próbował się wykręcać, dech zaparło mu w piersiach, Amelia wyszukiwała jego czułe punkty, a ponieważ tak dobrze je znała, znajdowała je natychmiast. Jej cichy śmiech aż jaśniał w pokoju i burzył mury, które przez tak wiele nocy nie pozwalały mu się do niej zbliżyć.

Nawet się nie rozebrała.

Została w koszuli i pończochach, a na szyi miała tę piękną jedwabną chustkę. Wargi jej nabrzmiały i Bendik przez krótki moment ujrzał, jak mocno błyszczą oczy żony.

- Amelio, Amelio, jakież to żarty się siebie trzymają? Ona w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła, on zaś jęknął, gdy jej wargi natrafiły na najbardziej wrażliwy obszar.

No tak, najwidoczniej wszystko się odmieniło. Amelia zachowywała się tak swobodnie, smakowała go, widać zapomniała o wszystkich łzach. To nie była wcale rozpaczliwa próba spółnienia dziecka, w każdym geście kryło się czyste pożądanie, rozbawienie i oddanie.

Bendik jęknął i skapitulował. Wyciągnął do żony ręce, żeby ją powstrzymać, lecz tylko dlatego, że pragnął więcej.

Serce Amelii uderzało tak mocno, iż bała się, że on je usłyszy. Wokół jej szyi łagodnie pulsowało ciepło, rozprzestrzeniając się po całym ciele ze znacznie jeszcze większą siłą.

W głowie coś się snuło, tak przyjemnie łaskocząc.

Napięcie stało się niemal nie do zniesienia, Amelia aż krzyknęła, ledwie tylko on ją musnął.

Wargi Bendika były miękkie i znajome. Pachniał ziołową nalewką z leciutkim posmakiem tytoniu Marji.

- Chodź, nie chcę już dłużej czekać. Czekałam przez cały dzień! - zawołała cicho.

Schlebiała mu, nie mógł inaczej zareagować. Największą ochotę miał się jeszcze z nią przez chwilę podrażnić, dręczyć lekkimi jak puch pieścotami, nie dokończonym dotykiem, lecz ona, rozpalona, wyraźnie nie miała cierpliwości, Bendik więc także nie zdołał kontynuować swych miłosnych tortur.

Ona też mu na to nie pozwoliła, jednym bowiem zwinnym ruchem wysunęła się z jego objęć i pochwyciła jego wargi w swoje. Piersi przyciskała do niego tak mocno, że nie mógł już do nich dosięgnąć, nie pozostawiała mu zresztą wyboru. Bendik otoczył ramionami jej plecy i mocno uściskał w momencie, gdy ona sama przedostała się do niego, otaczając go atłasowym ciepłem.

Jęknął głośno, oderwał się od pocałunku, żeby nabrać powietrza, i usłyszał przy uchu jej cichy szepot:

- Ty... ty jesteś niezwykły.

Potała nosem o jego policzek, jeszcze mocniej przycisnęła się do niego biodrami.

- Mmm... ty także.



Popłynęło przez niego czyste, jasne szczęście, mieszając się z intensywną rozkoszą sprawiło, że Bendik miał wrażenie, iż na moment zajrzał w wieczność.

Nie pozwoliła iść mu tam samemu, spoglądała mu prosto w oczy i uśmiechała się, patrząc, jak jego rysy rozpływają się i zmieniają w lustrzane odbicie jej własnych. To było zupełnie inne niż wszystko dotychczas.

Bendik oszołomiony, jakby pływał w przyjemnej ciepłej wodzie, czuł obecność Amelii niczym bezpieczny prąd utrzymujący go na powierzchni.

Coś jednak było inaczej, coś widać zaszło między nimi w samym środku powszedniego dnia, a on nie dostrzegł nawet najmniejszego zapowiadającego to znaku.

Amelia nie przysłała do niego jak wiele razy w ciągu ostatnich lat cała rozedrgana, przesycona czarną rozpaczą, rzucającą cień na najbardziej nawet intymne pieszczoty.

Do tej pory nie potrafiła całkiem oddać się radości, a nic bardziej go nie raniło.

Teraz znów z nim była.

Ach, Boże, była z nim znowu.

Cudowne uczucie trwało jeszcze długo po tym, jak Amelia ułożyła się obok niego, spocona i wilgotna, z włosami rozsypanymi na ramionach.

Bendik przeciągnął palcem po naprężonej sutce i uśmiechnął się do żony.

- Z jakiego to źródła młodości piłaś, moja Amelio? Westchnęła, jakby roztargniona. Bendik czuł, jak jej pierś podnosi się w przeciągłym oddechu.

- Z ciebie - odparła wreszcie.

Bendik przymknął oczy, wystarczyła mu ta odpowiedź.

Amelia jednak dalej wsłuchiwała się w przyciszone echo białego dźwięku, który wciąż pulsował przy szyi i piersi.

Johanna nie była przygotowana na nadejście jesieni. Pogoda zmieniła się z dnia na dzień i nawet powietrze oblekło się w chłodniejszą suknię. Marja grzmiąca i przeklinała, ale majster uspokajał ją, twierdząc, że bez względu na wszystko na pewno uda im się przed zimą obić deskami ściany w nowym domu.

Johanna czuła jeszcze gorące niedzielne popołudnie w całym ciele, kiedy nadeszła pierwsza mroźna noc. Stanowczo zbyt wcześnie i najzupełniej bez żadnej zapowiedzi. Zanim rzepę zwieziono pod dach, zanim zebrano kapustę, rzodkiew, groch i cebulę, rośliny pokryły się białym szronem, grożącym im zniszczeniem.

Mróz przyniósł chorobę, która sadowiła się ludziom w piersiach.

Dopadła najpierw starych i dzieci, które wciąż biegały bez pończoch, wełnianych majtek i grubych bluz, stając się przez to łatwą zdobyczą.

Z pierwszej izby na Vildegård Marja musiała wynieść swoje rzeczy i ustawić je pod daszkiem za kuchnią. Zrobiono miejsce na osiem posłań i nikt już dłużej nie udawał, że wierzy w to, iż Ravi sypia na kuchennej ławie.

A kiedy rozkaszlani, udęczeni gorączką rodzice przynieśli jeszcze czworo dzieci, Johanna załamała ręce i zarekwirowała czeladną. Żaden z parobków się nie sprzeciwił, w zamian bowiem dostali po dodatkowej parze butów.

A znaki z niebios przemawiały bardzo wyraźnie: zima, której tak spieszo z nadejściem, na pewno bardzo da się ludziom we znaki.

Pierwsze dziecko zmarło w połowie tygodnia i zanim minęła kolejna niedziela, Marja i Johanna wielokrotnie musiały podejmować walkę, którą przegrały.

Paskudny kaszel sadowił się głęboko w ciele, a ponadto z piersi chorych wydobywał się brzydki świst. Wysoka gorączka rozpałała ciała, nie pozwalając niektórym zasnąć przez całą noc. Uporczywe ataki kaszlu stawały się przez to jeszcze większą udręką.

Nie pomagało nic, ani kamfora, ani wódka. Nawet specjalny napar Marji, który tyle razy zdołał odwrócić przebieg choroby, tym razem nie był w stanie zniszczyć diabelstwa, które powoli dusiło chorych.

Gorączka była dobrym znakiem. Gdy tylko udawało się ją choć trochę obniżyć i policzki chorych stawały się choć odrobinę mniej ogniste, to jeszcze była nadzieja. Choroba jednak była bardzo ciężka i nawet ci, którzy uchodzili z życiem, nigdy w pełni nie odzyskiwali sił.

- Ona siedzi w płucach - stwierdziła Johanna. - Uczeni na wiele sposobów starają się wyjaśnić, co to za słabość. Czytałam, że niektórzy medycy uważają, iż może pochodzić od małych zwierzątek unoszących się w powietrzu, od nieczystości, które się wdycha. W dodatku to się rozprzestrzenia, musimy być bardzo ostrożne.

Marja zamyślona pokiwała głową.

- Zetknęłam się z nią już wcześniej, i to nie tylko z takim niepozornym ogniskiem jak tutaj, gdzie mimo wszystko nie aż tak znów wielu ludzi umiera. Ale na wyspie... tam ta choroba wyniszczała całe rodziny, ba, nawet wszystkich mieszkańców wsi.

Johanna pytająco przechyliła głowę, ale Marja jak zwykle już zamknęła usta i tym razem także nic więcej nie zdradziła.

- Co mamy począć? Najgorzej jest z dziećmi... Czy podawać im krople z opium?

Marja, przygryzając wargę, wolno obracała karty brunatnej księgi.

- Chyba raczej nie... Obawiam się, że to tylko je osłabi, w dodatku nie odczuwają wielkiego bólu.

- To prawda - cicho szepnęła Johanna. - Większość z nich umiera tak spokojnie...

Strach, który zawsze towarzyszył takim wybuchom choroby, czał się po kątach. Nawet Helena w głębi izby za niedużą zasłonką leżała cicha i milcząca, zatopiona w myślach.

Johanna zdała sobie sprawę, że brak jej już sił, by niepokoić się o dziewczynę. Niech sobie będzie, co chce. Prawdopodobnie wszystko ułoży się lepiej, niż ona się tego obawia. Ravi wciąż był jakby trochę nieobecny, lecz nie miało to związku jedynie z Heleną. Wciąż regularnie stawał przy jej łóżku, Johanna wiedziała, że próbuje jej oddać trochę swojej siły. Dotykał jej z taką czułością, niekiedy zostawiał ją z błyszczącymi oczami, jakby zapatrzoną w swoje wnętrze. Johanna wiedziała, że Helena pragnie czegoś więcej.

Trudno było ją o to obwiniać.

Ravi kilkakrotnie proponował swoją pomoc przy chorych. Johanna nie śmiała prosić go o nic. Zauważyła, że nigdy nie podchodził do najzdrowszych, jedynie do tych, którzy drzemali w oszołomieniu gorączki.

Stało się teraz już całkiem jasne, Ravi zresztą też przestał już zaprzeczać: Ukrywał się przed ludźmi. Tak samo jak kiedyś, a może nawet jeszcze bardziej. I w wiosce wciąż nie zrodził się nawet cień plotek.

Johanna na myśl o tym odczuwała bolesne drżenie.

Bendik często mówił, że trzeba się spieszyć ze ślubem. Jeśli wesele miało się odbyć przed nadejściem spokojnego okresu świąt Bożego Narodzenia, zapowiedzi należało ogłosić już teraz.

Johanna była zbyt zmęczona, by długo nad tym rozmyślać.

Ravi najwidoczniej jeszcze potrzebuje czasu.

Ktoś jednak powinien mu wreszcie wyjaśnić, że im dłużej zwlekają, tym większe staje się ryzyko, że gdy pewnego dnia wyjdzie na jaw, jak żyli przez tyle miesięcy, gniew pastora i ludzi ciężko dotknie parę grzeszników.

W dodatku inni mężczyźni nachodzili Bendika, przedstawiając swoje prośby. Johanna wiedziała o tym aż za dobrze, zdawała sobie też sprawę, że nie są to wcale biedacy. Nie przyjmą spokojnie faktu, że się ich oszukuje. Jeśli się dowiedzą, że przez cały czas miała w zanadrzu Ravięgo, ukrywającego się za kłamstwem, że umarł...

Ta burza będzie trudna do zniesienia.

Chowała troski pod płaszczem ciężkiej pracy.

A gdy nadchodził wieczór, zmordowana padała na łóżko, ledwie zauważając pocałunki Ravięgo na dobranoc i jego poszukujące dłonie. Mogła leżeć przy nim, w bezpiecznych objęciach znajomych ramion, lecz o niczym więcej nie miała siły myśleć.

Przyszłość zależała teraz od niego. Johanna wiedziała, że Ravi ją rozumie i w pewnym sensie czuje się odpowiedzialny za wszystko, co się teraz dzieje.

- Dobrze wiesz, że bez ciebie Johannie byłoby lepiej. Tylko pomyśl o Storlandet! Gdyby oni się dowiedzieli, że żyjesz, przyjacielu, zostałbyś skazany za zabójstwo. Zamiast tego odebrali Johannie dwór. Dużo ją kosztowałeś.

Ravi nie czuł przyjacielskiego poklepywania po ramieniu, ale z głosu Karla Martina przebijał rozsądek. To pewne, że ten człowiek ma rację.

- Nie mogę niczego zmienić, w tym właśnie tkwi problem, Karlu Martinie. Bez względu na to, jak bardzo wszystkiego żałuję, nic nie da się odmienić. Jaki więc pożytek byłby z tego, gdybym od niej odszedł? Mamy przecież syna!

- Syn Johanny zawsze będzie miał ojca - stwierdził Karl Martin uroczyście.

Ravi nic na to nie powiedział.

- Wiem, że ona będzie cierpieć, jeśli wyjedziesz. Ale czy teraz jest szczęśliwa? Chowasz się po kątach jak parszywy lis, nie masz nawet śmiałości, żeby do niej otwarcie należeć. Johanna na pewno się zastanawia, czy ta twoja miłość do niej jest coś warta, Ravi. I zaręczam ci, nie tylko ona się dziwi, dlaczego nie pokazujesz się ludziom!

Na to też nie było żadnej odpowiedzi. Gdzieś w głębi głowy Raviego jakiś cichy głos nucił ten sam krótki refren. Znów i znów, nic więcej jednak z tego nie wynikało.

Przecież ja należę do niej, a ona do mnie. Nie ma nikogo innego i nigdy nikogo innego nie będzie.

Ravi zanurzył palce we włosach, poczuł lekki ból, gdy się w nie zaplątał, ale Karl Martin nie chciał zostawić go w spokoju. Jego ciche słowa uporczywie bębniły w sumienie Raviego i z każdym dniem wydawało mu się, że jeszcze trudniej patrzeć mu na zmęczoną twarz Johanny.

Musi coś zrobić.

Podjąć się w pełni tej roli gospodarza i ojca, mieszkańca wioski. I jednego z parafian.

Albo stąd odejść.

Daleko, bardzo daleko, bez możliwości powrotu.

Bez względu na wszystko, i tak nie zdoła być kimś innym, nawet gdyby postanowił wciągnąć na siebie przebranie zwyczajności.

Pewnego dnia i tak nowa skóra by pękła i ktoś mógłby pod nią zajrzeć. Ravi widział już obrzydzenie i strach malujące się na dostatecznie wielu twarzach, żeby się tego bać.

Nigdy nie stanie się zwyczajnym gospodarzem, zwykłym małżonkiem ani ojcem. Każdego dnia będą go prześladować, jego i prawdopodobnie również jego dzieci.

Czy on miał do tego jakiejkolwiek prawo?

Ravi stracił już orientację, nie wiedział, co jest pytaniem, a co odpowiedzią, jedyny zaś człowiek, u którego ośmielił się szukać rady, był równie zdezorientowany jak on sam.

- Musisz wybrać - odrzekł Bendik z pomroczyńską twarzą. - Ja nie znam cię zbyt dobrze... Nie całkiem też rozumiem. Bez względu jednak na to, na co się zdecydujesz, to trzeba wreszcie położyć kres tej zabawie. Nie możesz tu dłużej mieszkać, nikomu nie pokazując swojej twarzy. Przypuszczam, że prowadziłeś taką grę przez całe swoje życie. Przy twoich niezwykłych zdolnościach musiało ci być bardzo trudno, lecz jeśli chcesz zostać z Johanną, to musisz wreszcie wyprostować plecy i zapomnieć o całym dawnym życiu. Jej nie potrzeba męża, któremu grozi szaleństwo albo też oskarżenie o uprawianie czarnej magii. To dla niej śmiertelnie niebezpieczne, ona wszak wciąż musi walczyć o ludzki szacunek.

Ravi bez słowa pokiwał głową.

Bendik przymknął oczy i przez moment siedział w milczeniu. Wreszcie zaś powiedział:

- Mimo wszystko, Ravi... ona bez ciebie nie będzie w pełni sobą. Ty jesteś chyba jedynym człowiekiem, który potrafi mi zwrócić szczęśliwą Johannę. Jeśli taka w ogóle jeszcze istnieje...

Ravi poczuł, jak te słowa otaczają mu serce niby tarcza. Uśmiechnął się lekko do Bendika.

- Co muszę zrobić, ojczy?

- Pójdź ze mną do pastora, już jutro, a najpóźniej po niedzielnym nabożeństwie.

Ravi ciężko skinął głową.

- A potem?

Bendik wstał, uśmiechnął się szeroko, lecz krótko. Ravi poczuł na ramieniu gwałtowny, mocny uścisk.

- Potem będzie ślub, Ravi, a później nie będziesz już obcym i musisz się zachowywać jak jeden z nas.

Jakie to proste, pomyślał Ravi ze smutkiem.

Jakie proste...

Małeńka chatka Karla Martina wyglądała właściwie tak, jakby zbudowało ją dziecko. Dach powstał ze splecionych gałęzi, ale od środka Karl Martin zrobił nową powalę na solidnym rusztowaniu.

Coś w jego pamięci, co za wszelką cenę pragnął zatrzymać, kazało mu zbudować chatkę tutaj, niską, ciasną, podpartą grubymi pniami drzew.

Dokładnie w tym miejscu.

To tutaj szukał ucieczki jako dziecko i tu jeszcze teraz znajdował źródło spokoju. Szukał go w tak wielu chatach, w domach, wśród prostych ścian z palmowych liści i wśród wysokich marmurowych kolumn.

Nic nie było w stanie dać mu takiego spokoju, jak właśnie to miejsce.

Nie troszczył się o to, że musi spać na wąskiej pryczy, a pod stopami ma jedynie klepisko. Nie było tu pieca z kominem, a już na pewno żelaznego piecyka, jedynie proste palenisko pośrodku. Dym wzbijał się pod powałę i zbierał tam niczym gęsty welon. Karl Martin lubił, żeby tak właśnie było, żeby światło nabierało wełnistości i przytulności w maleńkiej izdebce, gdy rozpałił ogień.

Pragnął tak żyć przez jakiś czas. Ta pierwsza zima będzie czymś w rodzaju próby. Być może znudzą mu się te powroty do dzieciństwa i przyjmie proponowane mu przez matkę oddzielne skrzydło w nowym domu, który wśród ludzi już zdążył zyskać miano pałacu Marji.

Będzie, co ma być. Być może znów dopadnie go niepokój. Czekał już na niego, sprawdzał każdego dnia, lecz z ulgą i zadowoleniem stwierdzał, że nic na razie nie drga mu w trzewiach na myśl o ponownym postawieniu żagli.

Owszem, dobrze się czuł w domu.

Marja być może miała rację.

Nie liczył jednak, by kiedykolwiek dane mu było zaznać tego szczęścia, o jakim mówiła. Musiało wystarczyć to, że mógł chodzić tu, po starych ścieżkach, i odczuwać coś na kształt przepojonej smutkiem ulgi na myśl, że potrafi bez dreszczu obrzydzenia wyobrazić sobie to miejsce jako ostatnią w życiu przystań.

Może już się zestarzał.

W takim razie wcale tego nie odczuł, odkąd bowiem zdołał sięgnąć pamięcią, zawsze czuł się jak starzec. Jak ktoś, kto wie więcej i potrafi spojrzeć wnikliwiej niż większość ludzi. Ktoś, kto ma dość doświadczenia, by wiedzieć, że wszystko, co może doprowadzić do klęski i zmartwienia, na ogół do tego właśnie prowadzi.

Sam nie potrafił ochronić się przed bólem istnienia, być może jednak mógł oszczędzić go innym.

Na przykład Johannie i Amelii.

Karl Martin przez wszystkie te lata spędzone za granicą wyobrażał sobie Amelię jako jasnowłosego, unoszącego się w powietrzu motyla. Jej beztroski śmiech, zdolność niedostrzegania czarnych chmur, otwarte, lekkie serce... Doprawdy, tęsknił za tym.

Jego jaśniejsza połowa.

Coś, co dawało nadzieję dla niego samego?

Może i tak. Wiedział natomiast z całą pewnością, że ból, jaki odczuł po powrocie do domu na widok Amelii jako zrozpaczonej kobiety z naznaczoną smutkami twarzą, odebrał mu wiele nadziei.

Amelię trzeba uwolnić od tych ciężarów. Karl Martin instynktownie wyczuwał, kto może być ich przyczyną.

Gdy Ravi przyszedł do niego kiedyś późnym wieczorem, Karl Martin wyciągnął butelkę hiszpańskiego wina z winogron i wiedział, że już wygrał. Uzyskanie pełnego zwycięstwa mogło jeszcze trochę potrwać, najważniejsze, by nie działać zbyt gwałtownie.

Wiedział jednak, że ten człowiek popada w ruinę z żalu i rozpacz.

Nietrudno było wywróżyć, że presja, pod jaką znalazł się Ravi, wkrótce go załamie, a wtedy wczołga się gdzieś do jakiejś kryjówki, by tam umrzeć.

Karl Martin odczuwał wobec niego niechętny szacunek, którego prawdopodobnie nie potrafił ukryć. Oczy Ravięgo patrzyły bowiem na niego jak na przyjaciela, czarnowłosa zresztą nie wstydził się już, gdy pytał Karla Martina o radę.

## ROZDZIAŁ XI

Ciche jęki chorych rozlegały się w nocy, lecz tylko niektórzy zanosili się chrapliwym głośnym kaszlem. Marja podawała im wywar z syropu brzoźowego z dodatkiem jałowca i kory z jakiegoś nieznanego drzewa. Czy to on pomagał, czy też dziwna substancja, którą paliła w małych miseczkach, tego Johanna nie wiedziała, ale środki, jakie babka wydobyla ze swych podróźnych kufrów, zaimponowały młodej kobiecie.

W izbie chorych z wolna zapadała cisza, lecz nastrój napięcia trwał. Śmierć wciąż pochylała się nad łóźkami, bez najmniejszego kłopotu można było sobie wyobrazić czający się w cieniu szkielet z kosą.

Nic nie dało się powiedzieć ani zrobić. Można było jedynie czekać. A to czekanie odbierało Johannie siły, zaś Marji cierpliwość.

Kiedy Helena za swoją zasłonką nagle zaczęła cicho się krztusić, Johannę zakłuło w sercu. Czy ona też zapadnie na zarazę? Jeśli tak, to pewne, że wtedy śmierć wyjdzie wywabiona z kąta.

Czoło Heleny wydawało się w dotyku lekko ciepłe, lecz to mogło wynikać stąd, że po zmianie pogody powietrze w domu zrobiło się duszne i gorące. Ściany dość długo pochłaniały ciepło pieców, teraz jednak widać już się nasyciły i oddawały je powietrzu. A przecież nad ogniem przez cały dzień nieustannie gotowały się garnki i wielkie kotły z wodą.

Helena pojękiwała, połamane żebra bolały za każdym razem, gdy ściśnięte gardło podrywało się do kaszlu.

- Daj mi trochę wódki, Marjo, to zaraz mi się polepszy. Dziecku dobrze zrobi, jak zacznie się przyzwyczajać do picia. Ma po kim dziedziczyć takie skłonności.

Marja wzruszyła ramionami i spełniła prośbę Heleny. Leżąc w łóźku kobieta złapała ją za ramię, gdy Marja postawiła przy niej kieliszek.

- Zaczekaj! Musisz mi coś obiecać.

- Co takiego? - zdumiała się Marja.

- Obiecaj, że nic nie powiesz Johannie. Ona... mówiła, że gorączka zaszkodzi dziecku.

Nie chcę, żeby znów się o coś martwiła.

Marja badawczo przyjrzała się zielonym oczom, szukając w nich tego, co nie zostało wypowiedziane, ale Helena patrzyła na nią błagalnie, spojrzenie miała wręcz łagodne.

- Odkąd to tak bardzo przejmujesz się spokojem ducha Johanny? - wydusiła z siebie Marja.



Instykt podpowiadał jej, że uległość Heleny nie jest poduszką, do której można zbyt długo przytulać głowę.

Rudowłosa zamruwała, zwilżyła wargi ruchliwym końcem języka.

- Obiecała mi sto talarów. Ale jeśli dziecko nie przeżyje... nie mogę chyba wtedy tego oczekiwać.

Marja wyrwała rękę z jej uścisku.

- Na pewno dostaniesz to, co ci obiecano, Heleno. Pamiętaj, że nie sprzedajesz jagnięcia karmionego ze skopka. Mówisz o istocie z twojej krwi i kości.

Helena uśmiechnęła się lekko.

- Powiadają, że jesteś twarda, że z ciebie szatan nie baba. O mnie też niejeden tak mówił. Szkoda, że nie spotkałyśmy się kiedyś w jakiejś czeladnej, Marjo, byłaby z nas doprawdy piekielna para.

Marja nie zdołała utrzymać na twarzy sztywnej maski. Lekki uśmiech wymknął się na wargi.

- Nie możesz wierzyć we wszystko, co słyszysz, Heleno - odparła tak cierpko, na ile tylko było ją stać.

Obie jednak dobrze wiedziały, że obelga, tak oczywista w słowach Heleny, spłynęła po Marji, zawierała bowiem w sobie spore ziarnko prawdy.

- Wypij to i połóż się spać. Poproszę Amelię, żeby później do ciebie zajrzała.

Helena kiwnęła głową i głośno mlasnęła, rozkoszując się smakiem ziołowej nalewki, zanim kolejny atak kaszlu znów wstrząsnął jej ciałem, aż z oczu popłynęły łzy.

Marja nie mogła się poddać. W sąsiednim pomieszczeniu krzyczało dziecko, jego chrapliwy głos wystraszył ją nie na żarty.

Kiedy płuca napępniały się krwią i z ust pacjenta ciekły czerwone strugi, jasne się stawało, że koniec nastąpi już niedługo.

Miała nadzieję, że chłopczyk jakoś z tego wyjdzie. Starców udawało się żegnać bez zbyt wielkiego bólu, lecz dzieci... dzieci musiały żyć.

Nie było żadnego wytłumaczenia na to, że małym dzieciom odebrana zostaje jedyna szansa życia.

Marja nie potrafiła znaleźć żadnych słów w Piśmie, które by jej to wyjaśniały, w niczym nie znajdowała pociechy, gdy coś podobnego się zdarzało.

I więcej niż raz nie pozwalała czuć nad zmarłym ludziami, którym wydawało się, że potrafią przynieść taką pociechę.

Johanna nie mogła zasnąć. Ravi nie przychodził, lecz to weszło mu już raczej w zwyczaj. Może uciekał od bólu, widniejącego w oczach chorych dzieci? Johanna wyczuwała, że on nie jest w stanie tego znieść. Jeśli nie mógł pomóc, okazywał się wręcz tchórzem, potrafił wtedy siedzieć z twarzą ukrytą za zasłoną włosów, z rękami mocno zaciśniętymi na kolanach, skulony tak, jakby sam był małym dzieckiem.

Wiedziała dobrze, jak bardzo go dręczą wszystkie te dźwięki i myśli płynące od chorych. Wyczuwał ich strach, podobnie jak zwierzę, które nawet nie wie, o co chodzi.

Na pewno już niedługo wróci do domu. Może wybrał się w odwiedziny do staruszka w szafasie albo też znów wyprawił się w góry? Letnie zagrody pozamykano już na zimę, zapraszając do nich stwory z innego świata. Ravi w pewnym sensie należy do gór, do tego królestwa podziemnego ludku, pomyślała ze wstydem Johanna.

Kolejny dzień, jeszcze jeden dzień.

To o jeden krok bliżej, pocieszała się. Wkrótce przecież coś musi zacząć się dziać. Bendik wyraźnie tracił już cierpliwość, domyślała się, że przyparł Ravięgo do muru.

Johanna wiedziała, że ta presja może okazać się zbyt silna.

A jednak w pewnym sensie czuła się spokojna. Ravi ją kochał.

O, tak, wszystko, co miał, znajdowało się właśnie tutaj.

Johanna pozwalała, by Benjamin sypiał u niej w te chłodne noce w porze przejścia od lata do zimy, i wiedziała, że z każdym uśmiechem, z każdą pieszczotą, jaką synek obdarzał Ravięgo, na zawsze wiązał z nim jakąś część swego serca.

Johanna nie bała się już, że Ravi ucieknie w panice. Obawiała się jedynie, że coś może go przygnieść albo że rozerwie się jak skórzany worek zbyt długo zostawiony, by namakał w rwącej rzece.

Z pokoju chorych dobiegało jedynie szuranie stóp Bjørg w filcowych skarpetach i ciche pokasływanie niedomagających.

Dlatego Johanna tak bardzo się wystraszyła, gdy rozpaczliwy krzyk rozdarł nocną ciszę i przenikając przez ściany, dotarł prosto do jej głowy.

Helena!

Johanna jednym susem wyskoczyła z łóżka.

Co się mogło stać? Można by sądzić, że dziewczyna jest bliska śmierci. Ten krzyk był tak przeciągły, że Johanna zdążyła prawie dotrzeć do drzwi, zanim się urwał. Z sąsiedniego pomieszczenia usłyszała jakieś głuchoe odgłosy, Amelia też była już na nogach.

Johanna wybiegła ze swojej izdebki, po drodze chwyciła tylko zgaszoną lampę i ruszyła teraz do paleniska, by ją od niego zapalić. Zaraz pojawiła się Amelia w samej tylko

białej nocnej koszuli, włosy miała do połowy zaplecione, ktoś jednak rozpiął misterną koronę, której zadaniem było przez noc chronić fryzurę.

- Co się stało? Czy Helena...

Pobiegły dalej już razem i zastały Bjørg pochyloną nad łóżkiem dziewczyny. Bjørg jak gdyby walczyła z Heleną, chcąc ją przytrzymać, albo właśnie popchnęła ją na twarde siennik, udaremniając próbę ucieczki.

- Ratunku! - krzyczała Helena ochryple, ale ręka Bjørg przyciśnięta do jej ust zaraz stłumiła krzyk, który słychać już było tylko jako zduszone mamrotanie.

- Co takiego, na Boga? - zaczęła Amelia. Johanna postawiła lampkę na półce nad łóżkiem i odsunęła Bjørg.

Helena skuliła się, a głowę nakryła obiema rękami. Cała się trzęsła, zaś pozycja, w jakiej leżała, nie mogła być dobra dla osoby, która miała uszkodzone biodro i sporo połamanych kości.

- Ależ, Heleno, co się z tobą dzieje? Masz jakieś skurcze? Krwawisz? Odpowiadaj, dziewczyno!

Dwie pary rąk pochwyciły ręce Heleny i odciągnęły je od głowy i twarzy. Zielone oczy były mocno zaciśnięte, a skóra w blasku lampy wydawała się zupełnie szara.

- Ja... tylko mi się... śniło.

Helena zaniósła się cichym szlochem, potem wyrwała jedną rękę i znów zasłoniła nią twarz. Johanna puściła dziewczynę. Lęk w jej duszy powoli topniał, na szczęście to nie sprawa życia i śmierci. Trzęsąc się lekko w cienkiej koszuli, odsunęła się teraz o kilka kroków. Amelia już przysiadła na brzegu pościeli i chwyciła bezwładną rękę chorej.

- Moja droga, posiedzę przy tobie przez chwilę. Nikt nie może zostać sam na sam z takimi potwornymi snami. Spróbuj się teraz uspokoić, zostanę tutaj.

Johanna patrzyła, jak twarz matki, pochylonej nad Heleną, wolno się wygładza. Większości tych bruzd i linii była winna właśnie ona, Johanna, lecz do powstania przynajmniej niektórych przyczyniła się także Helena.

A mimo to Amelia pocieszająco gładziła ją po włosach, przemawiając z taką czułością, jak gdyby leżała tu jej własna córka.

Johanna zawstydzona wycofała się do drzwi.

Powinna umieć o tym wszystkim zapomnieć i raczej współczuć tej nieszczęsnej dziewczynie, która nie posiada bodaj ułamka bogactwa, jakie miała ona, Johanna.

Wiedziała jednak, że w dniu, gdy dziecko Raviego przyjdzie na świat, zmartwienia związane z Heleną na zawsze wyparują jej z głowy. Bez względu na to, jakim chłodem będzie

musiała się wykazać, ta dziewczyna wyniesie się z wioski, gdy tylko będzie w stanie wsiąść do łodzi.

Johanna długo stała nieruchomo, potem położyła rękę na skoblu, ostatnim spojrzeniem obrzucając pomieszczenie.

Już miała otworzyć usta, żeby życzyć matce i Helenie dobrej nocy, gdy nagle to, co zobaczyła, zmroziło ją zupełnie i słowa zamarły jej na wargach.

Chciała mrugnąć, ale nie była w stanie nawet poruszyć powieką.

Chciała krzyknąć, lecz gardło miała jak zasznurowane.

Upłynęła bardzo długa chwila, zanim do umysłu Johanny dotarło wreszcie, co ujrzały jej oczy.

Biały krzyż nad łóżkiem.

Nie krucyfiks, nie obraz namalowany ani też nie cień.

Wiedziała o tym już w momencie, gdy go zobaczyła, lecz jej umysłowi potrzeba było jeszcze kilku prób, by w pełni pojąć znaczenie symbolu.

Tu, nad łóżkiem Heleny, przez kilka niezwykle wyraźnych ułamków chwili dostrzegła to samo ostrzeżenie, jakie kiedyś widziała nad łóżkiem pastorowej Lund.

To dziecko umrze.

Helena także.

Johanna zdołała wreszcie zmusić ciało do posłuszeństwa i chwiejąc się na nogach, wyszła bez słowa w mroźną noc, by tam się uspokoić. Wciąż była jedynie w samej nocnej koszuli i tylko odruchowo sięgnęła po leżącą na półce na ganku ciemną kurtę Bendika, której używał do powożenia.

Łez płynących z oczu nie poczuła, dopóki nie schłodził ich wiatr i nie zaczęły mrozić skóry niczym kropelki lodu.

Rozszlochana usiłowała pogodzić się z tym strasznym przesłaniem, z widokiem białego krzyża nad łóżkiem Heleny, i obrazem swojej własnej matki, która, niczego nie podejrzewając, pochylała się nad chorą, próbując wlać w nią trochę nadziei i pokrzepienia...

Wszystko to na nic się nie zda.

Helena już była skazana, biały krzyż słał dobitne ostrzeżenie.

Z wolna uświadamiała sobie żal za nie narodzonym dzieckiem Raviego, czuła go niczym twardniejącą grudkę lodu w żołądku i wiedziała, że musi czym prędzej odszukać Raviego, by ją z nim podzielić, zanim nie urośnie tak, że rozsadzi ją od środka.

Nie słyszał zduszonego od płaczu wołania, maszerował drogą rytmicznym, długim krokiem. Wcześniej tędy nie chodził, kręcili się tu bowiem ludzie. Teraz jednak na nic nie

zważał i nie bał się wcale, że spotka kogoś za następnym zakrętem. Parł do przodu, zaciśnięte pięści uderzały o uda, lecz twarde spojrzenie uporczywie kierowało się w stronę cienia gęstych zabudowań na górze. Nie rozglądał się na boki, pilnował się, by wzrok nie padł na dwór położony nieco wyżej na zboczu.

Na Storlendet odchodziła węższa droga w lewo i Ravi, skręciwszy, nie zwolnił kroku.

W gruncie rzeczy to chyba właśnie przed nimi się ukrywał.

Teraz jednak czuł w sobie nową pewność, rosła w nim spokojna i bezpieczna. Znalazł bowiem sposób, drogę, którą mógł się cofnąć. Magnus ze Storlendet to może w istocie stary łotr, musi być jednak zainteresowany poznaniem ostatecznej prawdy.

Nie może, ot tak, odwrócić głowy i puścić mimo uszu słów człowieka, który przychodzi do niego i oznajmia, że właśnie on zabił jego syna i jest przygotowany na poniesienie kary.

Nawet gdyby miało go to kosztować dwór.

Nawet gdyby to oznaczało, że musi zrezygnować z części żądań i ugiąć się przed wyrokiem, jaki niewątpliwie zapadnie.

- Masz pewną szansę - stwierdził Karl Martin. - Jesteś w stanie zmienić tę umowę, papiery asesora stracą całą swą wartość, skoro ty mimo wszystko żyjesz i możesz ponieść odpowiedzialność za to, co uczyniłeś. Możesz odzyskać Karlsgård dla Johanny, lecz tylko wówczas, jeśli jesteś gotów ponieść wielką ofiarę.

Ravi był na to zdecydowany.

O, tak, żadna ofiara nie będzie zbyt wielka.

Tak czy owak, on już przegrał. Przegrał wszystko to, o czym, jak kiedyś sądził, mógł marzyć.

Życie z Johanną jako jej małżonek, pod ciężarem obowiązków i ostrzałem spojrzeń... Wiedział dobrze, że nie wytrzyma życia w strachu, że zostanie odkryty.

Już lepiej wszystko zniszczyć samemu, rozliczyć się, a potem pocieszać się tylko tym jednym:

Ona nie straciła nic innego, tylko jego.

Johanna nie należała do ludzi, którzy potrafią wieść życie w mrocznym bloku tajemnic, na tyle Ravi ją już poznał.

Tylko to jedno Johanna będzie w stanie znieść. Ten jeden drobiazg, który, gdy przyszło co do czego, w niczym już nie robił różnicy. Wszystko to bowiem i tak jego wina. Nie ma znaczenia, kto trzymał nóż, kiedy śmiertelny cios dosięgnął Erlenda.

Gdy wyminął furtkę, zaczął iść wolniej. Pora była późna, lecz Raviemu nie przyszło do głowy, że ludzie mogli już udać się na spoczynek. Z komina wydobywał się lekki zapach smażonego jedzenia, w oknach kuchni migotało światło.

Zastukał mocno do drzwi.

Nikt nie odpowiedział.

Ravi zaczął z całej siły walić pięściami.

Wkrótce usłyszał jakiś stukot na schodach.

Ciche przekleństwa towarzyszyły gospodarzowi do sieni prowadzącej do głównych drzwi.

Gdy się otwały szarpnięciem, oczy Magnusa Storlendet popatrzyły prosto na Ravięgo. Mężczyzna trzymał w garści latarnię, z jaką się chodzi do obory. Dawała niebieskawe, nierówne światło.

Magnus kilkakrotnie na przemian otwierał i zamykał usta, lecz nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Wolna czerwoność jego twarzy ustępowała miejsca księżycowej bledości.

- Pozwól mi wejść do środka - poprosił Ravi zasapany, wyciągając przed siebie drżącą dłoń.

Wieśniak zatoczył się kilka kroków w tył, zdrętwiały ze strachu. Ravi uznał to za przyzwolenie.

- Ty... ty... Panie Jezu Chryste, zgiń, przepadnij! - mamrotał Magnus schrypniętym głosem.

- Chcę ci tylko o czymś ważnym powiedzieć - rzekł Ravi.

- Na świętą Zuzannę i wszystkich pomocników niebieskich... przepadnij, zgiń, słyszysz?

- To ja zabiłem twego syna, rozumiesz?

- Wiem o tym, przeklęty, wiem! Ale odejdz stąd, nie przychodź więcej, nie mam nic, co mógłbyś...

- Johanna nie może cierpieć za moje grzechy. Masz jej oddać dwór!

Być może sprawiła to desperacja w głosie Ravięgo, a może jego rozpaczliwe wysiłki, żeby dosięgnąć ręki wieśniaka, w każdym razie Magnus uskoczył w tył, jęcząc ze strachu, a wtedy Ravi nagle zdał sobie sprawę, że ten człowiek wygląda tak, jakby zobaczył ducha.

- Nie jestem upiorem, jeśli tak ci się wydaje - oświadczył Ravi wolno i wyraźnie.

Magnus Storlendet urwał mamrotanie Ojcze nasz.

Pewniejszym już ruchem chwycił latarnię. Z głębi domu zaczęły docierać teraz jeszcze inne dźwięki, Ravi dostrzegł też za plecami gospodarza jakiś szary cień. To ta jego zasuszona baba schodziła ze schodów.

Wieśniak podniósł rękę, wydawał się już mniej przestraszony.

- Ragna! To morderca! Weź go za rękę.

Ravi stał całkiem nieruchomo i czekał. Chuda kobieca ręka wsunęła się w krąg światła i uszczypnęła go. Teraz mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ale głos ciągle jeszcze mu się trząsał, kiedy chrząknął i niemal krzyknął:

- Jesteś tak samo z krwi i kości jak i my! A bodaj cię! Wynoś się stąd, zanim napuszczę na ciebie lensmana!

- Ale... musicie mnie wysłuchać. To ja...

- Zabiłeś Erlenda, tak! Wiedzieliśmy o tym przez cały czas. Ty i ta przekłeta dziwka z Karlsgård!

Ręka Ravięgo klasnęła o policzek mężczyzny, solidny cios, a zaraz potem zaciśnięta pięść wbiła się w tłusty brzuch. Mężczyzna jęknął, wypuścił latarnię z ręki. Żona uderzyła w krzyk, rzuciła się dusić płomienie. Ravi cofnął się, zadowolony.

- Na drugi raz zastanowisz się, zanim powiesz coś takiego o Johannie. Masz się z nią rozliczyć, Magnusie Storlendet. Oddasz jej dwór! To na mnie powinna spaść kara. Teraz możesz posłać po lensmana.

- Do stu piorunów... spuszczę ci takie lanie, że...

- Ucisz się, Magnusie... panuj trochę nad sobą. Ten człowiek ma w pewnym sensie prawo do...

- On nie ma żadnych praw! Nachodzi nocą porządnych chrześcijan, żeby ich wystraszyć na śmierć! Zakrada się jak jakiś złodziej i łajdak, którym zresztą jest, i żąda, żebyśmy oddali to, co się nam prawnie należy! Odejdź stąd, ty diable, inaczej pożałujesz!

Kobieta uczepliła się ręki męża, który nawet nie próbował jej się wyrwać, żeby zadać cios. Ale Ravi też się nie cofnął i twarz gospodarza ze Storlendet znów stanęła w płomieniach, a wąska strużka krwi popłynęła mu z kącika ust.

- Nie odejdę stąd, dopóki nie sprowadzisz lensmana! Powiem lensmanowi, że zabiłem Erlenda, a wtedy ten pakt, który zawarliście, i tak nie będzie ważny, więc...

Teraz Magnusowi Storlendet krew naprawdę uderzyła do głowy. Złapał Ravięgo za kurtkę, a chwycił go tak mocno, że szew pękł od pachy aż do pasa i kurtka rozdarła się niemal na dwoje. Mocne pięści zaczęły potrząsać Ravim jak szmacianą kukłą, poczuł, że głową mocno uderza o ścianę.

Najgorsze jednak były wypowiedane z sykiem słowa.

- Skoro śmiesz... niweczyć... moje plany... to powiem ci, że tej twojej kochanej Johannie zrobi się gorąco! Napuszczę na nią Larsa Włóczęgę i wszystkich innych szaleńców, którzy się nie boją za mocno tknąć kobiety. Zaczaję się na nią na ciemnej drodze i wycisnę każdą resztkę oddechu z jej pięknej szyi... a twojego bękarta... też uduszę!

Ravi poczuł, że oblewa się zimnym potem, a w piersi coś go dławi. Biernie pozwolił się potrząsać i spokojnie czekał, aż rozzłoszczony wieśniak wreszcie go puści. Zachwiał się na nogach, ale na szczęście nie upadł. Zamroczone utkwił spojrzenie w przerażonych oczach kobiety.

Wiedział, o czym ona myśli. Bała się, lecz nie jego pięści i ciosów, Magnus był przecież o wiele silniejszy, w dodatku bijatyka to dla niego nie pierwszozna. Kobieta doskonale zdawała sobie z tego sprawę, lecz mimo to śmiertelnie się bała.

Ravi oblizwał usta i usłyszał swój własny bełkotliwy głos:

- Pożałujesz tego, Magnusie Storlendet! Przekonasz się, że to miejsce jest doprawdy przekłete. Zostaniesz stąd wypędzony, wygnany, zaznasz udręki i nie będziesz miał ani chwili spokoju, dopóki nie ubiorą cię w koszulę z desek. Stracisz tyle samo, ileś skradł mnie, i po dziesięćkroć więcej. Będziesz...

- Wypędź go, on nas przeklina! Ach, Magnusie, koniec z nami, coś ty narobił!

Kobieta krzyczała histerycznie, usiłując zasłonić twarz dłońmi, jak gdyby przenikliwe spojrzenie Ravięgo nie było w stanie dotrzeć do niej przez taką zasłonę.

- Nic nie zostanie ci oszczędzone - mruknął Ravi pod nosem, kiedy, kulejąc, wycofywał się do drzwi.

Wyczuł teraz obecność jeszcze innych ludzi za plecami. Parobcy i dziewczki służące stali zapewne w kątach i trzęśli się ze strachu, obserwując tę niesamowitą scenę.

Ragna kilkakrotnie się przeżegnała, a potem złożyła haczykowate palce w histerycznej modlitwie.

Ravi milczał, czuł jednak, jak gniew wyływa z niego niczym małe łódeczki niesione na fali ogromnej niechęci. Zalała ona wszystkich obecnych tu ludzi, nie był już w stanie dłużej nad nią zapanować.

Magnus Storlendet złapał wreszcie za stojącą w kącie szczotkę. Podniósł ją wysoko.

- Wynoś się! Uciekaj stąd, przeklęty łotrze z samych głębi piekieł, nie przychodź ze swoim diabelstwem tu, gdzie mieszkają dobrzy chrześcijanie!

Chłodne nocne powietrze jakby przebudziło Ravięgo z półsnu, jaki nagle go ogarnął. Wytoczył się na podwórze, potknął i przewrócił na beczke stojącą przy schodach, lecz zaraz



się podniósł i stanął na nogi, wciąż mając w uszach przenikliwy śmiech gospodarza ze Storlendet.

Ten człowiek się bał. Dało się to słyszeć po jego śmiechu. Ravi zacisnął zęby i poprzysiągł sobie, że się postara dostarczyć mu do tego powodów.

Nie odważył się wrócić do domu, całe ciało go bolało, pulsowało i wszystkie dawne znaki pojawiły się znów z pełną mocą. Żołądek skurczył się w gorącą jak ogień niedużą grudkę, z każdym krokiem coraz trudniej mu było oddychać. Za oczami jęły się przesuwać niezrozumiałe obrazy, a w uszach rozległ się dochodzący jakby gdzieś z oddali krzyk. To miało jeszcze narastać, atakować go z każdym krokiem coraz silniej. W końcu zostanie zmuszony, by paść na kolana i poczuć, jak wszelka wola i radość życia uchodzi gdzieś, wyszana, i mieć świadomość, że czekają go nie mające końca udreki.

Jęknął w głębokim bólu, starając się nie zaciskać oczu. Najważniejsze teraz to utrzymać się na nogach, wbić wzrok w ścieżkę, w krajobraz dookoła, we wszystko to, co wśród narastającego koszmaru było prawdziwe, rzeczywiste. Wiedział, że jeszcze przez pewien czas wytrzyma, że jeszcze przez chwilę będzie mógł wpatrywać się w jakieś drzewo czy też charakterystyczny szczegół aż do oślepienia. Wkrótce jednak nie da już dłużej rady kontrolować powodzi obrazów i odczuć.

Miał nadzieję, że zdoła w czas dotrzeć do szałasów i zastanie tam Gunneliusa z wódką w takiej ilości, która wystarczy, by zdławić i złagodzić ból.

## ROZDZIAŁ XII

- Gdzie jest Ravi?

Johanna musiała wreszcie zadać to pytanie, bez względu bowiem na to, gdzie szukała, nie mogła go znaleźć. Nikt go nie widział przez całe wczorajsze popołudnie i nocą także nie wrócił do domu. Kiedy nie pojawił się następnego ranka, Johanna się wystraszyła.

Biały krzyż przeraził ją dostatecznie mocno, by i tak nie mogła spać przez całą noc. Najpierw chodziła w koło po swojej izdebce, niemal wykręcając przy tym ręce ze stawów. Mocno przygryzała grzbiet dłoni, czując, że krzyk rozpaczy ciśnie jej się do gardła. Boże mój, cóż to takiego się działo? Helenie pisana jest śmierć. Ta wizja była tak potężna i wstrząsająca, że Johanna poczuła się zupełnie załamana. Dlaczego ona miała zobaczyć coś takiego? Dlaczego nie mogła po prostu pozostać niczego nieświadoma, tak jak większość ludzi? Dlaczego jakaś dziwaczna moc miała odebrać jej całą nadzieję na to, że wszystko jeszcze pomyślnie się ułoży i obróci w dobro?

Czy starczy jej odwagi, żeby powiedzieć o tym komuś jeszcze? Amelia śmiertelnie by się wystraszyła, Marja być może pokiwałaby głową i rzuciła przez ramię, że starczy im chyba jeden jasnowidz w domu.

Natomiast Ravi... Mój Boże, on zapewne wiedział o rym przez cały czas! Jego moc jest wszak tak silna, na pewno wiedział o wszystkim już od samego początku...

Johannie przyszła do głowy straszna myśl:

Czy to dlatego wybrał ją? Dlatego, że wiedział, iż Helena jest już skazana na śmierć?

Czy to dlatego tak niechętnie podchodził do jej postania i ręce tak osobliwie trzęsły mu się i drżały, gdy przykładał je do ciała dziewczyny?

Johanna rozsłochała się, zdjęta przerażeniem, i nigdzie nie mogła znaleźć ukojenia, nawet wtedy, gdy przytuliła się do swego uśpionego dziecka i uczepiła się drobnego ciała, na poły je chroniąc, na poły zaś chcąc skraść mu nieco jego spokoju.

Leżała, przez cały czas nastawiając uszu, i podrywała się na każdy najdrobniejszy szelest.

Ale żadne szurające kroki, żaden szept nie dał się słyszeć.

Jedynie kaszel chorych i głuche uderzenia jej własnego serca napełniały uszy hałasem.

Kiedy wreszcie wstał świt, leżała zmarznięta i cała się trzęsła, ledwie śmiała się ruszyć. Co ona powie? Co oni sobie pomyślą?

Najpierw musi odnaleźć Raviego, popatrzeć mu w oczy i zażądać, by przysiągł jej, że o niczym nie wiedział. Dlaczego zniknął akurat tej nocy?

Czy był aż do tego stopnia niebezpieczny, że wiedział z góry o tym, co ona może zobaczyć? I dlatego uciekł nawet przed nią?

Johanna z trudem przełknęła ślinę, czuła łązy palące pod powiekami, ale teraz mały Benjamin zaczął się kręcić w łóżku, zaraz też otworzył oczy i uśmiechnął się zadowolony.

Musiała to wszystko od siebie odgonić, przynajmniej na chwilę, musiała odpowiedzieć dziecku uśmiechem, pogłaskać je delikatnie po okrągłym policzku. Nie wolno go straszyć. Przytuliła synka delikatnie, jak zwykle gładząc go po rączkach i nóżkach, po piersi i głowie. Był cały i zdrowy. Dzięki ci, Boże, naprawdę cały i zdrowy.

Zmusiła się, by oddychać spokojnie. Tłumaczyła sobie, że gdy tylko wstanie i odsunie zasłony z maleńkiego okienka, zmruży oczy, wyglądając na świat skąpany w słońcu, wszystko od razu przestanie wydawać się tak przerażające.

Widać oni też się budzą. Słyszała, jak Bjørg pobrzękuje rondlami i garnkami.

Amelia być może już wyszła z domu. Ciężko pracowała przez ostatnie dni, żeby ocalić ze zbiorów to wszystko, czego nie zniszczył pierwszy niespodziewany atak mrozu. I chociaż teraz dni znów nastały cieplejsze, Amelia co wieczór rozkładała wielkie kawały wełnianego płótna i gałęzie na roślinach, które wciąż jeszcze stały na polu zielone. Rano zdejmowała to okrycie i jak na razie zdołała ocalić wiele późnych ziół i róże, które hodowała w ogrodzie.

Johanna wesoło ucałowała Benjaminą w pierś, zanim włożyła mu dodatkową koszulkę i wymieniła wełnę, z którą sypiał między nogami.

Dziecko złapało ją za włosy i mocno pociągnęło, śmiejąc się przy tym z zachwytem.

- Ty mały rozbójniku... poczekaj tylko, na pewno sobie z tobą poradzę!

Benjamin wymachiwał rączkami i wierzgał, urządając sobie zabawę, polegającą na próbach wywinięcia się z rąk matki. W końcu jednak musiał ustąpić, bo Johanna straciła cierpliwość i czym prędzej naciągnęła na niego ubranie.

- Chodź, zobaczymy, czy Bjørg ma już gotowe śniadanie!

Johanna usiłowała udawać beztroską, kiedy włożyła łyżkę do garnka i posmakowała porannej owsianki. Wciąż wyczuwało się w niej mąkę, znak, że jeszcze przez chwilę powinna się pogotować. Bjørg siedziała na stołku przy palenisku i szorowała łyżki i miski, które moczyły się w wodzie od poprzedniego wieczoru.

- Dzień dobry, Johanno, i szczęście Boże.

- I tobie także, Bjørg. Jak się tu wszystko układa? Skinieniem głowy wskazała na sąsiedni pokój, gdzie leżeli zarówno chorzy, jak i Helena.

- Chyba w porządku, ona zdaje się mimo wszystko nieźle spała. W każdym razie teraz śpi.

- To dobrze.

Cisza, jaka zapadła, wprost kłuła Johannę w skórę. Dobrze wiedziała, że Bjørg bacznie się jej przygląda. Czyżby chciała sprawdzić, czy Johanna się boi? Czy czuła, że coś się stało? A może wydawało jej się, że to po prostu nocne koszmary Heleny tak bardzo wystraszyły Johannę?

Prawdopodobnie tak.

Johanna zasiadła przy długim stole, leżały na nim rozsypane papiery Bendika. Najwidoczniej siedzieli tu razem z Marją i sprawdzali wydatki związane z budową nowego domu. Może nawet rozmawiali także o weselu, choć na razie nikt nie zamówił jeszcze nawet jednego słodkiego placka u Milli Piekarki.

Johanna pozwoliła Benjaminowi pobawić się ślicznym gęsim piórem. Mógł się nim poplamić, ale ubóstwiał łaskotać się nim delikatnie po skórze, a Johanna nie miała dziś serca odmawiać mu tej przyjemności.

Głowa wydawała jej się ciężka od braku snu i od trosk.

Gdzie jest Ravi? Czuła, że jeśli on wkrótce się nie pojawi, strach przemieni się w gniew. Tak bardzo go teraz potrzebowała, był jedyną osobą, z którą mogła porozmawiać. Chciała dostrzec zaskoczenie w jego oczach, musiała je zobaczyć, żeby nie oszaleć.

On nie mógł o tym wiedzieć.

Musiałby się zdradzić, niemożliwe przecież, by chodził i rozmawiał z nimi jak gdyby nic, pozwalając, by wierzyli, że wszystko będzie dobrze.

Na Boga, to dotyczy jego dziecka, a Helena to bliska jego sercu osoba, temu wszak nie dało się zaprzeczyć!

Johanna jęknęła cicho, aż Bjørg popatrzyła na nią wyraźnie zatroskana.

- To nic, to tylko to co miesiąc. Bjørg kiwnęła głową, wstała.

- Przygotuję ci herbatkę. Woda już się gotuje. Znajomy pojemniczek stał na półce nad paleniskiem.

Zawierał sporządzoną przez Amelię mieszankę z suszonych ziół, pomagających na kobiecą miesięczną przypadłość.

Johanna wypła powoli.

Weszli Amelia i Bendik, a Marja przez drzwi zawołała, że idzie dopilnować cieślów. Z obory przyszła Ingebjørg, zanim i ona usiadła do stołu, zaniósł jeszcze miskę owsianki do parobków.

Amelia nuciła jakąś cichą melodię. Gdy sięgała po masło, podplomyki, kwaśne mleko czy malutkie kawałeczki kielbasy, ręce fruwały jej nad stołem jak motyle.

Bendik z czułością poklepał Johannę po plecach.

- Jak się miewasz, moja kochana? Spałaś dziś w nocy? Słyszałem, że Helena tak strasznie krzyczała.

- Coś jej się przyśniło - mruknęła Bjørg. - Jakiś zły sen. To niedobre dla dziecka.

Amelia surowym spojrzeniem powstrzymała dalsze ponure wróżby.

- Wszystko będzie dobrze, czuję to. Helena da sobie radę, prawda, Johanno?

Johannę zapiekło w piersi, lecz w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w talerz, skinęła głową.

Amelia zaczęła gawędzić o pogodzie, o tym, jak pięknie rosną jesienne róże i jak cudownie, że najmniejszy chłopiec w salce dla chorych najwyraźniej zdrowieje.

Johanna nie była już w stanie przełknąć ani kęsa.

Bjørg z wiele mówiącą miną kiwnęła głową w stronę kubka, z którego unosił się aromat melisy, pieprzu i odrobiny goryczki.

- Idź się położyć - powiedziała Amelia. - Zabierzemy Benjamina na dwór, bo zamierzamy się z Bendikiem wybrać na przejażdżkę do Døsen. Podobno przywieźli kilka bel jakichś pięknych materiałów, a Marja prosiła, żebym zajęła się przygotowaniem pościeli na wszystkie łóżka w nowym domu.

- Dobrze, mamó. Może rzeczywiście tak zrobię, ale biedna Bjørg będzie miała za dużo roboty.

- Phi, to nic takiego, każę tylko mężczyznom przynieść kilka wiader wody. Z całą resztą poradzę sobie sama. Mamy przecież zaledwie siedmioro chorych.

- Ja w każdym razie przygotuję południowy posiłek - mruknęła Johanna i podniosła się od stołu.

On musi przecież już niedługo wrócić.

Schroniła się w maleńkiej izdebce, lecz nie znalazła tam spokoju, wkrótce i stamtąd uciekła na blade słońce.

Bendik i Amelia już wrócili, śmiali się i uśmiechali do siebie, kiedy wnoszono bele materiałów owinięte w grube płótno. Benjamin dostał coś dobrego do ssania, ślina ciekła mu z ust, kiedy próbował zmiążdżyć ostrymi ząbkami laskę palonego cukru.

Johanna nabrała powietrza w płuca i wreszcie wyrzuciła to z siebie:

- Ravi zniknął. Ja... nie widziałam go od wczorajszego popołudnia.

- Ach, tak? Ale... on przecież często gdzieś się wyprawia. Może... może wybrał się na ryby?

Johanna z powagą pokręciła głową. Wyraz jej błyszczących oczu sprawił, że matka wypuściła z rąk zwój materiału i mocno ją objęła.

- On chyba wróci niedługo, jak to ma w zwyczaju. Nie uważasz, że tak będzie?

- Ja... ja nie wiem.

- Czy coś się stało, Johanno? Co to ma znaczyć? Czyście się pokłócili? Co...

- Nie, nie, nic takiego. Ale po prostu się boję, mam.

Bendik też do nich podszedł, słowa córki wprost kłuły go w serce. Ravi wydawał się ostatnio trochę nieswój, na pewno coś musiało się stać. Wciąż o coś pytał. Czy naprawdę poszedł, gdzie go oczy poniosą?

- Nie odjechałby bez pożegnania - stwierdził Bendik spokojnie.

Amelia posłała mu pełne irytacji spojrzenie.

- A kto powiedział, że on odszedł? Przestań wygadywać głupstwa, Bendiku! Nie widzisz, że Johanna od takiego gadania jeszcze bardziej się boi?

Bendik usunął się na bok.

Kobiety weszły do środka.

Ręka Amelii na ramieniu córki.

Bendik westchnął.

To najwyraźniej nigdy się nie skończy.

Miał coraz więcej wątpliwości, czy Johanna kiedykolwiek zdoła odnaleźć spokój przy Ravim. Może w istocie jedyną nadzieją dla niej byłby jego wyjazd? Albo gdyby umęczył ją swymi dziwactwami do tego stopnia, by wreszcie nic już do niego nie czuła?

To może potrwać.

Długo, bardzo długo, uświadamiał sobie Bendik.

Po raz drugi w życiu tak wyraźnie dotarło do niego, jak długo potrafi żyć miłość.

- Ravi jest u mnie - oznajmił Karl Martin beztrąsko. - Sądzę jednak, że próby obudzenia go na nic się nie dadzą. Przynajmniej na razie - dodał, uśmiechając się półgębkiem.

Johanna poderwała się.

- Wszystko z nim w porządku? Wszystko dobrze? Chyba nie zrobił sobie żadnej krzywdy?

Karl Martin potarł krótką bródkę i zmrużonymi oczyma popatrzył na siostrzenicę.

- No cóż, całkiem zdrowy nie jest, ale możesz być spokojna, Johanno, takie rzeczy się zdarzają, kiedy mężczyzna na zbyt dużo sobie pozwoli.

Johanna ze zdumienia rozdziawiła usta.

- Czy on pił? Ale... ale przecież obiecywał... Karl Martin pokręcił głową ze smutną miną.

- Moja ty biedaczko, nie jesteś pierwszą kobietą, która uwierzyła w takie niemądre obietnice. No cóż, Johanno, nic ci nie przyjdzie z zamartwiania się, na pewno pod wieczór wróci do ciebie z podwiniętym ogonem.

- Nie ma mowy, zaraz tam idę! Pójdź ze mną, Karlu Martinie, otworzysz mi!

Karl Martin uniósł brwi w górę.

- Nie ma takiej potrzeby, nie zamykam drzwi na zamek, a poza tym on leży na zewnątrz, pod wielką leszczyną.

Johanna rzuciła się biegiem. Jasna chusta powiewała za nią, kiedy okrążyła węgiel domu i znikła na ścieżce prowadzącej w stronę Oppdal.

Znalazła Ravięgo pijanego do nieprzytomności dokładnie w miejscu, które opisał Karl Martin, pod wielkim żółknącym drzewem. Dookoła na ziemi leżały łupiny orzechów, lecz żadnej wiewiórki nie można było obwinie o naniesienie śmieci pokrywających ciało Ravięgo. Ręce leżały ze zgiętymi palcami niemal wbitymi w ziemię, wyglądało to tak, jakby próbował się w nią wkopać. Brud na jego twarzy, wymieszany z wilgocią, kładł się niby grube strupy pod oczami i wokół ust.

Bił od niego ostry zapach wódki, pusta szklana butelka lekko błyszcząca w słońcu. Ravi niczego nie widział, spał nieprzytomnym snem.

Johannie serce zlodowaciało w piersi.

Wierzyła, że oszczędzone jej już będą takie widoki, obiecał przecież. Sądziła, że nauczył się choć trochę o tym, co na pewno nie pomoże przegonić złych wizji.

Jej gniew spadł również na wuja, który dał Raviemu wódkę. Ale Karl Martin nie mógł przecież o wszystkim wiedzieć. Karl Martin nie znał Ravięgo i pewnie chciał tylko okazać mu uprzejmość, dlatego zaprosił go na kielicha. Ale przecież Ravi potrafił już panować nad sobą i nad wódką. Johanna nie widziała go pijanego od narodzin Benjamina, a odkąd się tu zjawił, zdarzyło się to po raz pierwszy.

- Ravi, Ravi... coś ty narobił! - poskarżyła się głośno i spróbowała nim potrząsnąć. Z całych sił postarała się go obrócić tak, by leżał na plecach.

Odsunęła czarne włosy z powalanej błotem twarzy, a potem zwilżyła kraj sukienki śliną. Delikatnie otarła mu ziemię i paprochy z oczu. Lekkie drganie policzka powiedziało jej, że on już niedługo się przebudzi.

- Coś ty narobił? - powtórzyła cicho i lekko go szturchnęła.

Ravi sapnął w półśnie, twarz mu się ściągnęła, ręce usiłowały odszukać coś w powietrzu. Johanna zobaczyła, że Ravi ma zniszczoną kurtkę, a prawą dłoń pokrywa zakrzepła krew.

Znów ogarnął ją strach.

- Ravi, czyś ty się bił?

Teraz szarpnęła nim mocniej i on wreszcie do połowy otworzył oczy, usiłował skupić na niej wzrok.

- Helena - jęknął bezprzytomnie. - Nieszczęsna, nieszczęsna Helena!

Johanna odsunęła się od niego, jak gdyby uciekała przed ogniem.

Ravi, wyczuwając jej ruch, także drgnął, zęby zadzwoniły mu w ustach, gdy podniósł się, podpierając rękami o ziemię.

Teraz wreszcie ją zobaczył.

- Johanna... Co ty tu robisz? Co...

- Wydaje mi się, że to ty powinienes się wytłumaczyć.

- Gdzie ja jestem... Kto...

- Zasnęłaś na podwórku Karla Martina i wypileś przynajmniej połowę tej butelki. Masz zakrwawioną jedną rękę, kurtkę całą podartą, a twarz taką, jakbyś nosił maskę z błota.

Johanna mówiła cicho, lecz jej słowa nie były pozbawione emocji.

- Ja... to było takie straszne, Johanno, ale nie potrafiłem tego zatrzymać. Po prostu naszło mnie, jak jakaś straszna nienawiść. Ja... ja... a najgorsze, że wcale niczego nie żałuję.

- Coś ty zrobił? - szepnęła Johanna, w panice szukając jego zakrwawionej ręki.

Ravi cały czas przetykał ślinę. Wyglądał jak śmiertelnie chory, miał polepione włosy i przekrwione oczy. Johanna niemal się wystraszyła tego czarnego spojrzenia, lecz nie spuszczała z niego oczu.

- Na miłość boską, Ravi, chyba nie pozwoliłeś, żeby znów jakiś diabeł w ciebie wstąpił! Chyba nie... to chyba nie ty...

Ravi pokiwał głową z paskudnym uśmiechem. Johanna zadrżała, ale wciąż nie puszczała go. Ravi wolno podniósł twarz do słońca.

- Wiem, że czeka mnie piekło... ale nie mogłem postąpić inaczej, nie mogłem tego znieść, Johanno, nie mogłem patrzeć, że tak się smucisz.



Teraz Johanna zaczęła już krzyczeć.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek umierał, nie chcę, słyszysz? Nie będzie dobrze, nawet gdybyś odebrał życie...

- Cicho, cicho, Johanno... nie jest wcale pewne, że będzie aż tak źle.

- Owszem, to pewne, widziałam to na własne oczy! Widziałam biały krzyż, nie ma już drogi odwrotu, Ravi! Ta twoja czarodziejska moc straszy mnie do szaleństwa, ale że naprawdę potrafisz użyć swych zdolności po to, by zabijać, w to nigdy, przenigdy nie wierzyłam!

Ravi znów osunął się na ziemię, skulił w śmieciach pod drzewem jak nie donoszony płód.

- Przestań, nie mów nic więcej, nie mam siły!

- Ty tchórzliwy diable! Obiecałeś mi, przyrzekałeś, że będziesz mój, i to na zawsze, słyszysz? Obiecałeś, że nigdy nie wykorzystasz tej swojej mrocznej mocy przeciwko żadnemu człowiekowi, a ja, głupia, jeszcze ci uwierzyłam!

Ravi pojękiwał cicho, zatykał uszy rękami. Johanna widziała, jak zagryzł mocno wargi, aż ukazały się na nich kropelki krwi, lecz nawet wtedy nie przestała. Jej drobne ręce wyciągnęły się do niego, chciały go zmusić, by jeszcze raz popatrzył jej w oczy. On jednak czepiał się tylko samego siebie i jej wysiłki na nic się nie zdały. Grad rozpaczliwych ciosów spadł na skulone plecy.

- Wykorzystałeś swoje przekleństwo, zabiłeś! Nie stać cię było na dokonanie wyboru jak mężczyzna, nawet tyle nie byłeś w stanie dla mnie zrobić, ty nędzny psie! Czy nie dość między nami śmierci i grzechu, i podłości, po tym wszystkim, co się stało?. Czy nie dość, ty parszywy...

Urwała i odczołgała się w tył. Usiadła na ziemi, czując, jak ból, który przedtem ścisnął tylko serce, teraz rozlewa się po całym ciele.

- To już koniec, wiesz o tym? Uczyniłeś tę jedną jedyną rzecz, jakiej nie zdołam ci wybaczyć, rozumiesz?

Westchnął głośno gdzieś w głębi za zasłoną ramion, Johanna widziała, że cały się trzęsie, lecz bała się sprawdzać, czy zostało w niej jeszcze bodaj odrobinę litości.

- Zmarnowałeś swoją ostatnią szansę, Ravi - oświadczyła zdumiewająco bezbarwnym głosem. - Tego przekleństwa nie da się chyba cofnąć.

Jego milczenie wzięła za twierdzącą odpowiedź.

Wstała, zachwiała się na nogach, czuła bowiem, że kręci jej się w głowie, jak gdyby to ona opróżniła ową nikczemną butelkę rumu.

Nie ustępowała, wszystko w jej wnętrzu się burzyło, wiedziała dobrze, że będą to ostatnie słowa, jakie do niego wypowiada. Ravi musi więc usłyszeć wszystko, i to tak, by nigdy jej słów nie zapomniał.

- Nie potrafię znieść tych twoich czarnych stron, Ravi, ani też twojego tchórzostwa. Wszystko to, ile dla ciebie zniosłam, ile się napłakałam, natęskniłam i naprzeklinałam... Ty na to nie zasługujesz. Jesteś zły, owszem, zły, tak jak mówią ludzie.

- Ja... chciałem tylko... ocalić ciebie.

- Ocalić mnie, obrzucając swoim złem niewinnych ludzi? Chyba rzeczywiście nigdy naprawdę cię nie znałam, Ravi.

Śmiała się teraz przenikliwie, ale z oczu trysnęły jej łzy.

- Chyba byłam tak zaślepiona, że nie widziałem tego wszystkiego, co widzą inni. Jesteś diabłem!

Ravi podniósł wyciągniętą dłoń na wysokość twarzy, jak gdyby pragnął powstrzymać pełne nienawiści słowa Johanny.

- Nie chcę cię więcej widzieć na oczy, nie chcę też nic o tobie słyszeć! Najlepiej będzie, jak się wyniesiesz, daleko, jak najdalej stąd! Heleny pewnie nie da się już uratować, lecz ty, przez wzgląd na twą brudną duszę, powinieneś szukać jakiegoś wybaczenia za to, coś uczynił. Ja ci go dać nie mogę - oświadczyła Johanna i odsunęła spódnicę z zasięgu wyciągających się do niej palców.

Próbował ją złapać, za wszelką cenę zatrzymać, jakieś bełkotliwie słowa wypadały mu z ust, prosił i błagał, by zaczekała.

- Nie ma żadnego usprawiedliwienia, Ravi. Gdybyś tylko miał dość odwagi, żeby choć jeden jedyny raz stanąć i popatrzeć ludziom w oczy! Gdybyś tylko umiał wybrać! Tak, gdybyś nawet wybrał ją, byłoby po tysiącokroć lepiej niż teraz!

- Nie odchodź, Johanno, nie odchodź, nie wolno ci... Wyrwała mu się resztką sił, jakie jeszcze jej zostały, i pobiegła, ale łzy nieprzerwanym strumieniem płynęły jej po twarzy.

Mrok, jaki ogarnął twarz Johanny, przeraził Amelię tak bardzo, że ledwie śmiała odezwać się do córki. Widzieli, jak wraca biegiem do domu, ale nawet nie zatrzymała się przy nich, skupionych wokół kamiennego stołu w promieniach wieczornego słońca w oczekiwaniu, aż Bjørg zawoła ich na wieczerzę.

Karl Martin także tam był, siedział z Benjaminem na kolanach i wydawał się jakby trochę nieobecny.

- Johanno, co się stało? Co się takiego dzieje?

Ale Johanna zasłoniła tylko twarz rękami i przemknęła pod wyciągniętą do niej ręką Bendika. Spojrzeli na siebie wstrząśnięci.

Karl Martin popatrzył w górę i cicho gwizdnął.

- On wcale nie umarł, jest po prostu pijany. Dojdzie do siebie.

Bendik z namysłem pokręcił głową.

- Dość już tego - mruknął. - Miarka się przebrała, rozprawię się z tym łotrem...

Amelia powstrzymała go, wystraszona, bo łagodna twarz męża ściągnęła się w jakże rzadkim, lecz przytłaczającym gniewie.

- Zaczekaj, dowiedzmy się najpierw, co się stało. Niech ona się trochę uspokoi, pójdę potem do niej.

Bendik bardzo niechętnie usiadł. Z domu dobiegał cichy płacz. Każdy dźwięk wywoływał na twarzy Bendika grymas bólu, Amelia czuła podobnie. Bendik miał rację, nie mogli dłużej siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak ten przeklęty człowiek rozszarpuje Johannę na strzępy.

## ROZDZIAŁ XIII

Wrzesień płynął niczym mroczna szaroczarna noc, nieskończenie powoli, jakby zupełnie bez bicia serca. Johanna nie zauważała, że sala dla chorych z wolna pustoszeje, a w nowej budowie Marji brakowało już teraz zaledwie kilku okien i dekoracyjnych listew pod kalenicą.

Nie zauważyła też, że nadszedł i minął dzień świętego Michała, że właśnie w ten szczególnie dzień wprowadzono konie do stajni, a specjalna michałowa owsianka przygotowana przez Bjørg była tego roku bardziej słona niż zwykle, trafiały się w niej też grudki.

Rozmawiała ze wszystkimi, cały czas niby była obecna, wykonywała należącą do niej część pracy, lecz nie pamiętała już, co to znaczy czuć, że żyje.

Ravi nie przychodził do niej wieczorami.

A co gorsza, zamknęła przed nim również swoje sny.

- Ktoś musi z nią porozmawiać - rzekł Bendik zrozpaczony. - Amelio, mogłabyś chyba spróbować jeszcze raz?

Amelia westchnęła ciężko i odłożyła robótkę.

- Nie wiem, co jeszcze jej powiedzieć, Bendiku. Wydaje mi się, że nie ma dla niej pociechy. Możemy mieć tylko nadzieję, że to minie...

Bendik burknął coś pod nosem, ostatnio bardzo się postarzał. Amelia nie była pewna, jak długo będzie mogła znosić to, że dwoje najdroższych jej ludzi tak ogromnie cierpi. Są niezdolni do bodaj cienia uśmiechu.

Pokręciła głową.

- Na nic się to nie zda, Bendiku. Ona ten krzyż musi udźwignąć sama. Nasza Johanna nie jest już maleńkim dzieckiem, dobrze o tym wiesz.

Przez Amelię przemawiał rozsądek, to za jego sprawą jej głos brzmiał aż nadto spokojnie i pewnie. Mąż posłał jej spojrzenie pełne oskarżenia.

Przejęła się tym. Powinna wszak umieć coś poradzić. Była matką, powinna znaleźć jakąś radę. Powinna coś zdziałać, żeby jej dziecko tak strasznie nie cierpiało.

Ale żadnej rady nie było.

Amelia wreszcie to zrozumiała.

Bendik jednak nie sypiał po nocach, kręcił się w łóżku. Zza ściany dochodziło popłakiwanie Benjamin, a może to płakała Johanna? Nie widzieli jej łez, ale rano oczy często miała czerwone i zapuchnięte.

Bendik wzdychał, nie mógł się ułożyć w odpowiedniej pozycji, żeby zapaść w sen. Poduszka wydawała się twarda, pościel, choć uszyta z najcieńszego lnu, drapała. Zmęczona, śpiąca Amelia przeciągle ziewnęła u jego boku, objął ją ramieniem, przytulił do siebie. Niech przynajmniej ona odpocznie. Ostatnio miała wiele zajęć. Wprawdzie Johanna pracowała tak, jak gdyby jej ręce nigdy nie chciały zaznać spokoju, to jednak wszystko szło jej opornie, wydawała się jakby nieobecna i potrafiła wyprawiać najdziwniejsze rzeczy. Zaledwie wczoraj zniszczyła całą kadełkę wełny, którą farbowała, nie dopilnowała ognia i przedza we wrzątku zbiła się w jeden wielki szarozielony kołtun.

Bendik stłumił westchnienie, by nie martwić jeszcze bardziej zmęczonej żony.

To na pewno minie. Pomimo żalu Johanny Bendik musiał przyznać, że mocniej wierzy teraz, iż wszystko zdoła się ułożyć. Za jakiś rok córka być może zapomni o Ravim i znów będzie potrafiła się cieszyć. Już przyszłego lata będzie się śmiać i bawić na podwórku z coraz większym Benjaminem.

Ravi zniknął.

Tym razem na dobre.

Chyba nareszcie można było w to uwierzyć.

- Przegoniłaś go od siebie kolejny raz? Dlaczego? W jasnym blasku słońca zielone oczy Heleny lśniły jak szmaragdy. Pomogli jej wyjść na dwór, skórę miała białą jak ser, długie leżenie w łóżku bardzo ją też osłabiło. Jedna noga wciąż była unieruchomiona między sprężystymi pieńkami brzozy. Włożyła jednak niebieską sukienkę, włosy miała umyte i rozczesane. Johanna zorientowała się, że nie pozostało w niej nic z gniewu czy zazdrości wobec tej dziewczyny. Gdy napotykała teraz wzrok Heleny, czuła jedynie głębokie ukłucie żalu. Niekiedy powracało do niej spojrzenie oczu Karen, a po przeżyciu w pokoju Heleny Johanna odnajdywała coraz więcej cech, które czyniły te dwie kobiety podobnymi do siebie.

Brzemienne.

Samotne.

Bezradne.

No cóż, Helena nie była wcale nieszczęśliwą, godną pożałowania kobietą. Ani słowem też nie zająknęła się o śmierci, w przeciwieństwie do Karen, która mówiła o niej często. Karen nie bała się umierać. Być może wyczuwała, co ją czeka, na długo przedtem, zanim Johanna ujrziała znak nad jej łóżkiem.

Helena jednak z pełną oczywistością rozprawiała o przyszłości.

- Nie musisz wcale brać do siebie tego dziecka, przecież wiesz. Na pewno znajdą się jacyś inni ludzie. Do diabła z tym przeklętym kocurem! Nie chciałaś chyba, żeby sobie poszedł, prawda? To on znów uciekł, tak? Ha! Ja też znam Ravięgo, nie zapominaj o tym!

Johanna z początku nie odpowiadała. Helena nadgryzła soczystą śliwkę, jedną z tych, które rosły w sadzie Amelii na Karlsgård, przyniósł je dziś do domu Karl Martin. Niewątpliwie wybrał się nocą po zakazane owoce na dwór, który posiadał i utracił, wcale o tym nie wiedząc.

- To ty go wypędziłaś? Czy to on znów cię zostawił? Johanna odwróciła głowę.

Helena domagała się prawdy, a tej Johanna nigdy nie mogła jej zdradzić.

- On... my... doszliśmy do wniosku, że nie możemy być razem. Jesteśmy zanadto różni...

Helena wypluła pestkę śliwki daleko jak mężczyzna i zaśmiała się, jakby w ogóle nie miała uczuć.

- Ha! Co za głupie gadanie, Johanno. Wy jesteście niemal jak dwie połówki jabłka, zawsze o tym wiedziałam. Coś się stało, jestem pewna! A może to Ravi mimo wszystko nie potrafił dokonać wyboru? Przecież dobrze wiesz, Johanno, niemało razy zaglądał tu do mnie, a w jego rękach było nie tylko ciepło, rozumiesz chyba, co mam na myśli?

Biedna Helena, pomyślała Johanna. To aż dziwne, jak mało oburzają mnie jej słowa. Czy to prawda, że z ust umierającego człowieka zniesie się wszystko?

Johanna podała dziewczynie małeńki nożyk. Helena zabrała się za jabłko, widać nie bardzo jeszcze dojrzałe, musiało być kwaśne i twarde.

- Chcesz spróbować?

Długie, białe jak mleko palce podały owoc Johannie. Ręka jej zadrżała, gdy brała jabłko od Heleny. Ale jabłko nie było tylko i wyłącznie kwaśne, miało smak wiosny, zielonej świeżości. Johanna uśmiechnęła się do Heleny.

- Pewnie ci trochę przykro, że on poszedł? Tobie także?

- Tak, do diabła! Przecież ja z niego jeszcze nie zrezygnowałam. Gdybym tylko pozbyła się tego ciężaru, jakim jest dziecko, to na pewno...

Johanna pokręciła głową, w wiele mówiący sposób wydmuchała powietrze przez nos.

- Ty także nie mogłabyś nigdy być szczęśliwa z Ravim. Rozszarpalibyście się na kawałki. Oboje jesteście tacy uparci, zapatrzeni w siebie.

- I kto to mówi? - zaśmiała się Helena przenikliwie, uderzając się w kolana z lekkim grymasem bólu. - Doprawdy, brakuje ci piątej klepki, Johanno. Musiałaś już chyba zrozumieć

do tej pory, że ta, która zdoła zatrzymać Ravego, musi lepiej jeździć konno niż królewscy żołnierze.

Johanna wzruszyła ramionami.

- Sądziłam, że on może się odmieni... jeśli tylko dostanie dość miłości.

- Na pewno - odparła Helena cierpko. - Na pewno przeobraziłby się w posłusznego złotowłosego słodkiego wieśniaka, gdybyś tylko dostatecznie mocno go kochała.

Johanna uśmiechnęła się leciutko na te słowa Heleny.

- Pewnie w sumie miałaś rację - powiedziała wolno. - Zamierzasz iść za nim?

Pytanie to przywołało gorycz w jej ustach. Zdawała sobie sprawę, że niepotrzebnie pyta. Wiedziała przecież, że Helena nigdy nie zrealizuje żadnych swoich planów, jej życie toczyło się tu i teraz, dopóki żyło w niej dziecko. Tak długo jak pozwoli na to biały krzyż.

- No cóż, chyba nie. Skoro będę miała tyle pieniędzy, ile ty mi obiecałaś... Starczy mi pewnie na postawienie jakiejś niedużej chatki. Może wybiorę się z powrotem do Hallingdal? Mam tam rodzinę, wiesz przecież. Może kupię sobie piękne stroje, takie jak ma Marja? I zdołam uwieść jakiegoś syna ze dworu. A potem wrócę tam, będę domagać się części spadku, która powinna mi przyspaść, może nawet odnajdę swego ojca, zobaczymy. Nie lubię planować na zapas.

- To na pewno bardzo rozsądne - odparła Johanna zamyślona.

Rozpacz szarpała ją od środka. Najbardziej miała ochotę potrząsnąć Heleną, rzucić jej w twarz brutalną prawdę, patrzeć, jak dziewczyna powoli zdaje sobie sprawę z tego, że śmierć nadchodzi i z każdą chwilą jest coraz bliżej.

Czy wtedy by złagodniała? Czy poczułaby w sobie tęsknotę za wiecznością, która zdołałaby ją zaprowadzić do kościoła, a w każdym razie zmusić do odmówienia przynajmniej kilku modlitw?

W to Johanna nie wierzyła.

Dlatego przełknęła żółć i próbowała uśmiechem dodać Helenie otuchy.

- Zobaczymy - powtórzyła Helena i rzuciła jeszcze kilka pestek od śliwek daleko za próg.

Kot, śpiący w słońcu na schodach, otworzył jedno oko, ale stwierdził, że nie ma siły biec, żeby sprawdzić, co to upadło na ziemię.

Helena wyciągnęła się ostrożnie, a potem położyła rękę na brzuchu.

- Nie ma żadnych nadziei, żeby to mogło stać się szybciej, prawda? Niech mnie diabli porwą, mam wrażenie, że oszaleję od tego ciężaru, przecież ja się prawie nie mogę ruszyć, a nocą coś się tam we mnie kręci i wije, jakbym miała cały brzuch pełen żywych śledzi.

Johanna wróciła myślą do miesiący, kiedy sama nosiła dziecko pod sercem. Dobrze pamiętała bezsenne noce, gdy leżała przytulona do Ravięgo, czując tę niezwykłą bliskość, jaka wytwarzała się pomiędzy ich trojgiem. Ręce Ravięgo głaszczące nie narodzone dziecko, które sprawiały, że wydawało jej się, że już je czuje. Jakże ona tęskniła!

Helena jednak była twarda i obojętna na to, co w niej rosło. W każdym razie tak się zachowywała, a jej zatroskanie wydawało się szczere, gdy dowiedziała się, że Ravi sobie poszedł. Prawdopodobnie obawiała się, że ta umowa, którą zawarła z Johanną, przestanie być ważna.

- Jak chcesz, trochę cię pomasuję, to może się przydać, jeśli dziecko już ułożyło się tak jak powinno.

- E, ono i tak bez przerwy się kręci. Wolę raczej wyciągnąć się tu, na słońcu. Możesz mi przynieść mój koc?

- Oczywiście - cicho odparła Johanna. Zielone oczy wbiły się w nią.

- Johanno, dlaczego ty właściwie tak się zamartwiasz? Skoro sama kazałaś mu się wynosić?

Johanna wolnym ruchem znów odwróciła się w stronę dziewczyny.

- Myślałam, że już ci na to odpowiedziałam - odrzekła zmęczonym głosem. - A ty nie zachęcasz do zbudowania zaufania, szczególnie przy tym twoim ciętym języku i twardych słowach, które ciskasz, nie zważając na nikogo..

Helena wzruszyła ramionami.

- No cóż, wobec tego zapomnij o tym pytaniu. Ja i tak będę sobie myśleć tak, jak chcę.

Johanna po prostu odeszła. Rzuciła jeszcze tylko koc Helenie i dołączyła do Bjørg, żeby pomóc jej w wieczornym obrządku. Krowy i owce wróciły już z letnich zagród, mieli też półroczne prosię, a poza tym dziesięć kur, które przechadzały się w małej zagrodzie za oborą.

Słońce już zaczynało chylić się ku zachodowi.

Od strony rzeki dochodziło ciche zgrzytanie kamienia o kamień.

Pierwsze zboże już zostało ścięte, lecz plon tego roku nie był duży. Ceny mąki znów pójdą w górę, a dla wielu oznaczać to będzie więcej kory niż ziarna w chlebie przez najbliższą zimę.

Nie było w tym nic nieoczekiwanego.

Pozostawała jedynie nadzieja na dobre połowy i na to, że mężczyznom, którzy wybierali się w góry z nożem i prochem, by tam szukać pożywienia, szczęście będzie sprzyjać. Dla tych zaś, którzy mieli dość srebra w kufrach, rok ten niewiele będzie się różnił od wielu innych lat.



Gorszy będzie natomiast dla biedaków, bo na Karlsgård nikt już nie piekł chleba, który miał zostać rozdany za darmo. A Marja tej jesieni najwidoczniej świata nie widziała poza swoim nowym domem.

Johanna ciężkim krokiem skierowała się do obory.

Rodzice tego nie wiedzieli, lecz wielokrotnie stawała w stajni, tuląc głowę do brunatnej klaczy, i pozwalała, by ból wydostawał się z jej ciała głośnym bolesnym szlochaniem i przenikał w ciało zwierzęcia.

Znów zaczęła czuć się pusta.

To prawdopodobnie dobry znak.

Niekiedy odczuwała też gniew, a to jeszcze lepsze.

Amelia przysłała do Marji z uśmiechem, czającym się w kąciku ust. Marja zagospodarowała się w izbie, która w przyszłości miała być dużą kuchnią w jej nowym domu. Rzemieślnicy niemal ukończyli tu już pracę, ściany od środka obili deskami, wymurowali też piec, na którym można było gotować, a służył jednocześnie za źródło ciepła. Żelazna płyta, którą chciała umocować na rusztowaniu nad ogniem, stała oparta o ścianę. A nowy żelazny piecyk już składano w kuźni.

Marja zamówiła stół i ławy, olbrzymią szafę i całe łokcie półek aż po sam sufit. W pomieszczeniu było sporo miejsca, choć cały jeden bok zajmowała potężna metalowa balia, Marja nazywała ją wanną. Stała na miedzianych nóżkach i właściwie po ukończeniu budowy miała zostać przeniesiona do pokoiku za kuchnią.

Amelia na widok wielu wymysłów matki nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Marja zaplanowała sobie, że będzie miała wodę w domu płynącą do środka przez rurę, tak samo jak to widziała w wielkich rosyjskich pałacach. Mężczyźni namordowali się z tłumaczeniem jej, że woda nie może popłynąć rzeką pod górę, niestety więc parobcy i służące z pałacu Marji będą musieli zgodzić się na noszenie wody wiadrami jak wszyscy ludzie. Marja jednak się nie ugięła i Amelii wcale by nie zdziwiło, gdyby jej zamysł w końcu się powiódł.

Ostatnią rzeczą, jaką zamówiła, były dwie pompy ze stoczni, przy których użyciu zamierzała pompować wodę.

- A dlaczego nie? - spytała Marja, wzięwszy się rękami pod boki z błyskiem uporu w oczach.

Mężczyźni zacisnęli usta i niepewnie zerkali na siebie, wreszcie zrobili tak, jak im kazała, bez dalszych już sprzeciwów, ale plotki o dzikich pomysłach Marji na pewno nie rozchodziły się przez to wolniej.

Amelia ucieszyła się, że zastała matkę w ten wieczór spokojną i rozluźnioną. Na palenisku płonął ogień, ale komin nie był jeszcze odpowiednio ustawiony i źle ciągnął. Murarz powinien podnieść go wyżej.

- Mamo, coś ci muszę powiedzieć...

Marja postawiła na stole maleńkie ciasteczka z kandyzowanymi owocami, a nadżarem zawiesiła na żelaznym haczyku nowusieńki kociołek.

- Proszę, proszę, siadaj. Jak się miewacie? Wiem, że byłam zbyt zajęta, mało się widywaliśmy... mam na myśli Johannę. Musisz przysłać ją tu do mnie któregoś wieczoru, żebyśmy mogły trochę porozmawiać. Wydaje mi się, że najwyższy czas przemówić dziewczynie do rozumu. Johanna musi wreszcie nauczyć się znosić podłość mężczyzn. Wszystkie musimy się tego nauczyć, prawda?

Amelia niepewnie skinęła głową. Matka była taka twarda. Ale przecież kochała kiedyś mężczyznę? Karla Oppdala... Drugiego takiego ze świecą by szukać. Co sprawiło, że tyle miała w sobie teraz gorzkości?

- Ja... sądzę, że ona sama się o tym przekona. A we wsi są wciąż zacni mężczyźni, którzy czekają na Johannę. Taka jest przynajmniej zaleta tego dziwnego strachu Raviego przed ludźmi. Nikt nie wie, co tu się wydarzyło...

- No tak, sądzą pewnie, że Johanna cierpi na wiosenną chorobę, jest jedną z tych, wiesz, co to zapadają na najmroczniejszą melancholię, gdy tylko słońce pojawi się na niebie, przynosząc trochę radości w codziennym dniu większości ludzi.

Marja pokręciła głową, zmarszczyła brwi, aż niemal zlały się w jedną kreskę. Między niezwykle silnymi zębami błysnęło wypolerowane drewno. Fajka stała się jej nieodłącznym towarzyszem, ssała ją i cmokała, nawet gdy nie była zapalona.

Amelia położyła łokcie na stole i oparła głowę na dłoniach, jakby była małą dziewczynką. Najwyższa chyba pora, żeby przejść do rzeczy.

- Mamo - powiedziała. - Wydaje mi się, że twoje czary zadziałały... Mój okres nie przyszedł. Mogło się tak stać z innych powodów, ale przyznam ci się, że naprawdę czuję się inaczej.

- Naprawdę? To niebywałe, Amelio!

Córka roześmiała się i nawet się zaczerwieniła.

- Czuję się jak niemądra mała dziewczynka, ale tak, to niewiarygodne, wspaniałe. Nie uwierzysz, ile razy już ci za to dziękowałam, choć przecież nie mam jeszcze pewności. Nie mogę powiedzieć o niczym Bendikowi ani Johannie, dopóki...

Marja naląa czarnego gorzkiego napoju, dodała śmietanki i kupnego cukru. Podsunęła patereę z niezwyklymi ciastkami w stronę córki. Ciasteczka były twarde i długo leżały w szczelnych puszkach, ale wciąż zachowały słodycz i dziwny smak nieznaných owoców.

- Sprawdzałaś chyba trochę? Spuchłaś? Masz jakieś inne oznaki?

Amelia kiwnęła głową.

- Tak. Trochę bolą mnie piersi, już od pewnego czasu i... Tak, przypuszczam, że to prawda.

Marja cmoknęła i pokręciła głową z lekkim uśmiechem.

- Prawdę mówiąc, sama w to nie wierzyłam. Nie przypuszczałam, że znów zostanę babcią!

Amelia również zachichotała.

- Wydaje mi się, że inni będą mieli większy problem niż ty. Pomyśl tylko, Johanna będzie miała siostrzyczkę albo braciszka młodszego od jej syna. Doprawdy, dziwne z nas kobiety, mamó!

- Tak, i dobrze się stało! Ludzie będą mieli inny temat do gadania, żeby nim się sycić w długie zimowe wieczory.

Kawa była gorąca, gorzka. Amelia znów parsknęła śmiechem.

- Aż boję się więcej o tym myśleć! Tak strasznie się cieszę w środku. A Johanna... tak bardzo cierpi.

- Ją także to ucieszy, jestem o tym przekonana. Ona niepokoi się o ciebie tak samo jak ty o nią! Doprawdy, wydaje mi się, że obu wam byłoby o wiele, wiele łatwiej, gdybyście zadowolili się swoimi własnymi zmartwieniami.

Amelia poczuła, że te słowa ją ranią. Matka zawsze żyła w taki właśnie sposób i kiedy Amelia była mała, wiele razy pragnęła, żeby Marja bardziej się nią przejmowała, była bardziej obecna. Gdy jednak udawała mniejszą i bardziej nieszczęśliwą niż była, żeby dopraszać się jej troski, matka zawsze ją odrzucała.

Amelia napotkała spojrzenie matki.

- Musisz mi w tym pomóc, mamó. Wiesz przecież tak dużo... Takiej starej babie jak ja może być naprawdę ciężko.

- Bzdura, ledwie skończyłaś czterdzieści lat i przecież wcześniej już rodziłaś. Jesteś zdrowa jak pchła i masz co najmniej tyle samo siły. Wszystko pójdzie dobrze, jestem o tym przekonana. Dlaczego inaczej łańcuszek miałby zadziałać?

Amelia wolno skinęła głową.

- Ja też tak sobie myślałam. Tak długo miałam nadzieję i modliłam się o to błogosławieństwo... Po wszystkim tym, co złego się wydarzyło, mam teraz wrażenie, jakbym wreszcie zasłużyła, by moje modlitwy zostały wysłuchane.

- Na pewno tak właśnie jest, Amelio, zasłużyłaś na wszelkie dobro. Zawsze byłaś szlachetna i pracowita.

Pochwała spadła na Amelię niczym strumień ciepła, wypełniając maleńki kącik w jej sercu, w którym matka wcześniej z braku czasu albo miłości nie zamieszkała.

Marja nakryła teraz dłoń córki ręką i powiedziała:

- Wracaj do domu, Amelio! Wracaj do domu i powiedz im wszystkim. Ogromnie się cieszę z tego, że spotkał mnie zaszczyt i dowiedziałam się jako pierwsza.

Znaczy to dla mnie więcej, niż jesteś w stanie się tego domyślić. Ale teraz idź już i zapowiedz im, że za parę tygodni będzie u mnie wielka uczta. Uczta z okazji całego tego dobra, jakie teraz nas czeka.

Amelia uściskała matkę, szepcząc słowa podziękowania. Potem jej ręka sięgnęła za wysoki kołnierzyk zielonej koszuli.

- Pewnie chcesz z powrotem swój łańcuszek, mamó, zrobił już przecież to, co do niego należało.

Marja roześmiała się.

- Nie, nie, jest teraz twój. Musisz wiedzieć, że ja się teraz boję go włożyć. Pomyśl tylko, gdyby ktoś zaczął się do mnie, starej baby, zalecać, istniałaby groźba, że będę tu siedzieć jak jakaś Sara!

Amelia uśmiechnęła się, ale zadowolona opuściła ręce. Łańcuszek tak bezpiecznie spoczywał na skórze.

- Dziękuję, mamó - powtórzyła jeszcze raz. - Nie wiesz nawet, jak strasznie się cieszę.

- Owszem - odparła Marja zadowolona i naląła sobie jeszcze jedną filiżankę kawy.

Z sąsiedniej części domu dobiegały miarowe uderzenia młotka. Cieśle wbijali potężne drewniane kołki w solidne dębowe deski, którymi miała zostać pokryta podłoga.

Amelia owinęła się chustką i życzyła matce dobrej nocy. Pobiegła przez trawę do starych zabudowań Vildegård, drżąc z niecierpliwości, kiedy wreszcie zobaczy radość w zatroskanych oczach Bendika.

- To nieprawdopodobne, mamó! Lekarstwa Marji są naprawdę fantastyczne! Ileż ona musiała nauczyć się w świecie. Ach, mamó, jakże się cieszę w twoim imieniu! W waszym imieniu.

Bendik okręcił córkę w koło, uszczęśliwiony tym, że nie musi ukrywać własnej radości. Ileż czasu upłynęło już, odkąd Johanna się uśmiechała! Miał wrażenie, jakby jej wesołość sama w sobie sprawiła mu ogromną ulgę i radość większą, aniżeli wielka nowina.

Znów miał zostać ojcem.

To wprost nie do uwierzenia.

Uświadomił sobie, że już wiele lat temu porzucił nadzieję, i dlatego właśnie to wieczne oczekiwanie Amelii tak bardzo działało mu na nerwy. Myślał już, że to całkiem niemożliwe, nieosiągalne. Dlatego tak bardzo go bolało, gdy ona w swej rozpaczycy przychodziła do niego ze stale rosnącą nadzieją na to, że ich miłość wyda kolejne owoce.

A jemu wystarczało to, że się kochali.

Teraz nie mógł się napatrzeć na pałające policzki Amelii i ręce Johanny pieśczeniście przebiegające po płaskim brzuchu matki.

One się tak strasznie cieszyły. Radość Bendika natomiast przemieniła się przede wszystkim w poczucie ulgi. Wziął małego Benjamina na ręce i wyszedł, by poprosić Ingebjørg o przyniesienie placków i piwa z piwnicy. Takie nowiny należało uczcić.

Benjamin poczochnął mu włosy, jak to miał w zwyczaju, głośno się przy tym zaśmiewając. Widać nawet dziecko zaraziło się miłym nastrojem. Biedny malec, bez ojca... Bendik uściskał chłopca i ucałował rączki, które potrafiły tak mocno uszczypnąć, gdy dosięgły ucha albo pokrytego zarostem policzka.

- Dada - powiedział chłopczyk - Dada, meko.

- Oczywiście, dostaniesz mleka, słodkiego, pysznego mleka ze śmietaną. Dostaniesz dziś wieczorem, malutki, bo widzisz, będziesz miał niedługo maleńką ciocię albo wujka.

Roześmiał się na widok wyrażającego zdumienie spojrzenia chłopczyka. Widać myśl o nowo narodzonej cioci była tak samo śmieszna, kiedy się miało rok, jak i wtedy, gdy człowiek zbliżał się do pięćdziesiątki.

Plac budowy Marji oświetlały dwa wielkie ogniska. Marja nakazała, żeby nie przerywać prac, chociaż wieczory nastąpiły teraz już tak ciemne, że trudno było zobaczyć, gdzie się piłuje. Tyle było jeszcze do zrobienia, ludzie pracowali na zmianę dzień i noc. Gdy brakowało światła dziennego, siadali z delikatną robotą przy ogniskach i dopasowywali parapety, smołowali jętki albo wycinali proste wzory, które miały ozdobić fasadę domu.

Marja także sypiała niewiele.

Rozbudzony zapał stawiał ją na nogi zaledwie po kilku godzinach odpoczynku, bo gdy tylko dach i ściany będą gotowe, zamierzała zabrać się do urządzania najważniejszego pomieszczenia w domu: biblioteki. Taki będzie jej dar dla nich wszystkich, podarek, który

sama dostała i którego utrzymanie doprawdy wiele ją kosztowało. Już za samą cenę przewozu książek do domu dałoby się pewnie kupić pół zagrody.

To nie miało żadnego znaczenia. Kiedy ten dom zostanie zbudowany tak, jak tego chciała, nie zostanie jej już chyba pieniędzy.

Ale też wtedy nie będę ich już potrzebowała, pomyślała Marja zadowolona.

Z najmniejszej izby usunięto wszystkie rzeczy Marji. Trafiły pod daszek przy nowym domu, chociaż Amelia z uśmiechem powiedziała, że w niczym nie będzie przeszkadzać, nawet gdyby powstały jeszcze trochę. Izba na stryżku wciąż była po brzegi pełna sprzętów z Karlsgård i wielu innych dziwactw, które Marja i Karl Martin przywieźli z sobą.

Ale przyjemnie, że zrobiło się trochę luźniej.

Na ich łóżku nie tłoczyły się już teraz zwoje materiałów, kufry i wysokie stopy lekkich worków, mogli po prostu odsunąć narzutę na bok i ułożyć się w miękkich, czystych prześcieradłach.

Bendik i Amelia kochali się z nabożeństwem, które oboje niemal doprowadziło do płaczu.

Ona czuła, jak serce męża zaczyna uderzać szybciej, a dłonie zaczynają ją gładzić z coraz większym szacunkiem.

Boże, jakże ona za tym tęskniła!

Jakież potężne jest to nowe szczęście, posiadające moc, by odebrać jej niemal wszelki nieznośny ból.

Czuła drobne ukłucia w sercu, kiedy w jej modlitwach nie wiadomo skąd pojawiał się strach, a teraz cud, jaki właśnie się zdarzył, przesłonił wszystko.

- Mamy się za co modlić w dniu dziękczynienia w tym roku - szepnęła cicho, gdy później leżeli z twarzami jedna przy drugiej.

Bendik, nasycony, sennie pieścił jej leciutko już nabrzmiałe piersi.

Amelia westchnęła cicho.

- Boże, mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży, Johannie... nam wszystkim.

- Zapowiada się nieźle. Ona wkrótce zapomni o całym żalu, zresztą to na pewno już łagodnieje. Zauważyłem, że w jej oczach pojawił się blask.

- Boję się - zadrżała Amelia, ale Bendik miękko ucałował jej usta.

- Ja także - odparł tak samo cicho. - Jestem już właściwie na to za stary, sądziłem, że na zawsze pozostanę tylko dziadkiem, ale nikt bardziej by się nie ucieszył...

- Wiem - odrzekła wdzięczna, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Dobrze, że Marja jest w domu, a Johanna się ożywia. Możesz liczyć na wszelką pomoc, jakiej ci tylko będzie potrzeba, Amelio.

Zaczął gładzić palcami jej skórę.

- Amelio? Zastanawiałem się nad czymś, zapomniałem spytać. Ten łańcuszek... Dostałaś go od Marji?

Amelii zaparło dech w piersiach, ale prędko się opanowała i jak gdyby nigdy nie odparła:

- Oczywiście, wspominałam chyba o tym, mama mi go przyniosła. To stara rzecz, od dawna w rękach rodziny.

Ale ciekawość Bendika już się obudziła. Zaczął obracać w palcach dzwoneczek.

- On jest w środku pusty! A łańcuszek jest taki ciężki, gruby. To nie jest chyba kobieca biżuteria?

- To stara rzecz - odparła Amelia obojętnym głosem. - Bardzo, bardzo stara. Moja babka Maria dostała go od pewnej niemłodej już kobiety, kiedy była jeszcze dziewczyną... Ale ta historia jest jeszcze dłuższa, Bendiku. Opowiem ci ją jutro...

Ziewnęła przeciągle i przytuliła się do niego.

Bendik pocałował ją i wymruczał życzenie dobrej nocy. Amelia poczuła lekki nacisk jego ręki na miękkim brzuchu.

Ponownie ogarnął ją nieokreślony smutek.

Jakie to dziwne znów nosić w łonie życie.

Helenie w ciemności latały przed oczami czerwone kłęбки wełny. Niemal zakręciło jej się od tego w głowie, chciała zamknąć oczy, żeby na nie nie patrzeć, ale przecież już wcześniej je zmrużyła. Zamiast tego więc Helena jęknęła głośno i otworzyła powieki. Czerwone klaczkę nie zniknęły, ale zaraz z kątów wyłoniły się cienie i teraz na nich skupiła wzrok.

Każda noc dłużyła jej się jak cały rok.

Nie miała już sił na to, by myśleć o nadchodzących miesiącach ani nawet o tygodniach czy wręcz o dniach. Wiedziała, że to się kiedyś skończy. W pewien cudowny, piękny, wspaniały dzień obudzi się i znów będzie w pełni sobą. Nie będzie jej dokuczać ta niemożliwa bliskość. Teraz przez cały czas ktoś przy niej był, w każdym momencie dnia, w każdą szarą godzinę nocy. Nie mogła go odepchnąć ani nawet poprosić, by na chwilę zostawił ją samą.

Nigdy do nikogo tak się nie zbliżyła, nie potrafiła znieść takiej bliskości.

Teraz nie miała żadnego wyboru, przed tym nie dało się uciec. W myślach wyobrażała sobie to dziecko. Widziała czarne oczy Raviego w bladej, okrągłej jak księżyc twarzy, pomarszczonej, jakby woskowej, jak te, które już kiedyś widziała i zawsze krzywiła się na ich widok.

Nowo narodzone dzieci. Helena nigdy ich nie lubiła. Budziły w niej lęk, wpędzały w drżenie, odwracała od nich oczy. Owszem, przyzwyczała się do Benjamin, ale też i on był większy i potrafił już jeść, a nie wysysać siły z matki.

Ach, Boże, jak też można pozwolić, żeby dziecko...

Helena mocno nacisnęła dłońmi twarde piersi, unosiły się w rytm jej oddechu, w górę i w dół, w górę i w dół...

Skupiła się na tym, by oddychać spokojniej, to pomogło. W ciemności uśmiechnęła się do samej siebie, surowym, nieprzyjemnym uśmiechem.

Musi to wytrzymać.

Tę noc i jeszcze jedną, a potem kolejne noce, aż księżyc obróci się dwa razy i wreszcie nadejdzie czas.

Czas wolności.

Musiała o tym myśleć, myśleć o nowym życiu, jakie przyniesie jej to dziecko. Taka jest cena, którą zapłaci, żeby mieć wszystko, czego tylko dusza zapagnie. Będzie miała dość pieniędzy, żeby zbudować sobie dom i kupić stroje, na których widok nieznajomi będą jej się kłaniać, a nie obrzucać drwinami i spojrzeniami pełnymi nieskrywanej żądy, jakie musiała znosić wcześniej.

Będzie miała dom, nazwisko, miejsce wśród zwykłych normalnych ludzi. Będzie im równa. Przystanie być suką, którą wolno im opluwać i wyśmiewać się z niej po tym, jak już załatwili to, po co przyszli.

Jeszcze im wszystkim pokaże.

O, tak, przekonają się.

Ona, Helena, córka mordercy i niewolnica chłopca z Røyse, pokaże tym dobrym ludziom, którzy byli jej krewnymi, że nie mogą jej już więcej przegnać. Osiądzie wśród nich i na wieki będzie im przypominać o ich zdradzie wobec kobiety, którą nazwali Liv Więźniarką.

Wróci do nich jak opóźniona fala powodzi, wywołana kamienną lawiną. I być może pewnego dnia zostaną zmuszeni, by oddać jej to, co jej się należało.

Westchnęła i znów zamknęła oczy.

Miesiące spędzone wśród bliskich Amelii przebudziły w niej coś, jakąś tęsknotę, której nigdy wcześniej nie zaznała. To właśnie oni nauczyli ją cenić dobre jedzenie,



rozpieszczali ją nie kończącym się myciem i obmywaniem. Dali jej lekkie, miękkie ubranie, które nie wpijało się w skórę ani nie szorowało po niej, sprawiając ból.

I rozmawiali z nią. O całkiem zwyczajnych rzeczach, niegroźnych, bez ostrej obelgi kryjącej się za każdym niewinnym słowem.

Na pewno nie nazwałaby ich przyjaciółmi, oni przecież jej nienawidzili, w głębi ducha oskarżali ją o całą tę niedolę, jaka na nich spadła. Ich najdroższa Johanna była nieszczęśliwa, a taki grzech nigdy nie zostanie Helenie wybaczony.

Ale przebaczenie nie ma żadnego znaczenia. Zapłacą jej za to, i to jest najważniejsze. Johanna chciała tego dziecka, teraz prawdopodobnie jeszcze bardziej niż przedtem. Dziecko było jedyną rzeczą, jaką miała nadzieję dostać po Ravim. Ta głupia dziewczyna była z nim nierozzerwalnie połączona, przybita do niego gwoździami jak wygarbowana skóra na ścianie stodoły.

Ha! Tak właśnie jest, pomyślała Helena. Przybita do ściany, napięta, zmięczona i zostawiona. Johanna straciła co najmniej tyle samo co ona. Była w tym pewna pociecha, chociaż nic nie mogło stłumić tęsknoty, jaką odczuwała również Helena.

On był dobry. Zajął się nią na długi czas. I ona też była głupia, pozwoliła mu się oszołomić. Nic dziwnego, że teraz tak to boli. Nic dziwnego, że w niektóre noce jej ciało wprost wije się w konwulsjach. Ravi był jak narkotyk, niebezpieczny, i gdy człowiek się do niego przyzwyczai, niemożliwy do porzucenia.

Zupełnie poza jej kontrolą ręce same zsunęły się na rosnący brzuch.

Dziwne, że cząstka Ravięgo rośnie teraz w jej wnętrzu. Dziwne, że te tępe kuksańce w jej brzuchu pochodzą być może od dłoni równie szczupłej i pięknej jak jego.

Na tę myśl przez moment poczuła mdłości.

Bo tej ręki nie mogła odepchnąć, nie mogła wbić w nią zębów ani uderzyć.

Nie mogła nawet ująć jej i trzymać, albo uścisnąć tak mocno, by zdrętwiała.

Czerwone plamy wciąż migotały jej przed oczami, uporczywe i irytujące. Ale między nimi mogła teraz dostrzec niewyraźną, niczym odbicie w mętnej wodzie, uśmiechniętą twarz. Czarne włosy, głęboko osadzone oczy. Dotarł do niej szept, chociaż nawet nie próbował poruszyć wargami:

- Nie próbuj uciekać. Masz przed sobą długą i ciężką podróż, ale ja będę ci towarzyszył. Będę tam. Pójdę twoim śladem, tak jak chodziłem nim wcześniej.

Helena odwróciła głowę, nie chciała patrzeć. Cóż to za niemądre wywołane myślą obrazy? Cóż za idiotyczny smutek, ta tęsknota?

On był draniem. Być może okazywał jej dobroć i tak delikatnie jej dotykał swymi gorącymi dłońmi, że na pewno roztopił trochę lodu z jej serca.

Helena jednak przeklęła w duchu i pomyślała: Nikt chyba nie jest niczego winien wiośnie, wszyscy i tak wiedzą, że wkrótce pola znów zamrzną.

Ravi odszedł, a ona musiała dać sobie radę bez niego i bez wszystkich tych dziwaków, którzy zaplątali się w jej życie. Była silna, wiedziała, w którą stronę się zwrócić, dostatecznie twarda, by wytrzymać wszelkie przeciwności losu. Na pewno się o tym przekonają, jeśli tylko starczy im cierpliwości, by poczekać, aż uwolni się od tego żywego ciężaru.

W maleńkiej izdebce Johanny paliła się w lichtarzu samotna łojowa świeczka. W złocistym świetle twarz Benjamina nabierała miękkości, Johanna, czytając, czule położyła mu rękę na piersi.

Dobrze było zapełniać głowę nowymi słowami, trudnymi, niezwykłymi słowami, wymagającymi skupienia wszystkich myśli, by móc je przetrwać. Z każdego z nich mogła się czegoś nauczyć. Z wolna obce języki stawały się dla niej wyraźniejsze, powoli wychwytywała sens kolejnych słów.

W momencie gdy przyswajała sobie kawałek nowej wiedzy, jeszcze mocniej tęskniła, by wiedzieć więcej.

A w tym wszystkim, co czytała, w nie kończących się opisach narzędzi i niezwykłych lekarstw, szukała śladów, które przyniosłyby jej odpowiedź na zagadkę ciężącego na rodzinie przekleństwa.

Synek oddychał równo, spokojnie. Nikt by po nim nie poznał, że coś go dręczy, gdy tak leżał owinięty w żółty kocyk.

Ale ta choroba, od której dzieci umierały, a dorośli tak prędko tracili siły po nie kończących się krwawieniach, była prawdziwym przekleństwem. I te granatowoczarne siniaki, oczy pełne czerwonej cieczy.

Johanna wiedziała, że musi istnieć jakaś inna odpowiedź niż ta, którą słyszała od starych. Wiedziała, że nie jest to plaga zesłana przez rozgniewanego Boga czy demona.

Ludzie w świecie pisali długie księgi o tych sprawach. O tym, jak niemądrze jest wierzyć, że ludzie są skazani na życie w niewiedzy. Ich ciała nie są wcale cudem, a choroby nie oznaczają przekleństwa. To trochę tak jak z broną na polu albo innym z trudem wykutym narzędziem: jeśli coś się rozpadło na kawałki, można je pozbierać i naprawić. Jeśli w ścianie domu zgnije jakiś bal, nie można siedzieć i mówić, że tak właśnie chciał Bóg. Należy go usunąć i wstawić świeży albo zapchać dziurę suszonym torfem.

Tak właśnie pisali nowocześni myśliciele. Johanna nie do końca ich rozumiała, zawsze kłuł ją lekko nieduży cień strachu. Niekiedy musiała nawet złożyć dłonie i prosić Boga, by zniszczył książkę na jej oczach, jeśli naprawdę kryło się w niej bluźnierstwo.

Ale tak nigdy się nie stało.

Przeciwnie, w tych godzinach lektury Johanna miała wrażenie, że nareszcie nadchodzi spokój, jeszcze silniejszy i lepszy od tego, którego doznawała w kościele.

Znów czuła w sobie swe dawne ciągoty, ten sam głód, który zmuszał ją do czynu, odkąd po raz pierwszy uświadomiła sobie, że leczenie chorych i zrozumienie ludzkiej natury nie jest tajemnicze i groźne jak to, co uprawiały niektóre kobiety.

To prawdziwa nauka, wielka rozległa nauka, która od wielu już lat zmuszała najważniejszych i najpotężniejszych ludzi do pisania ksiąg i poświęcania życia nieustannej pracy.

Jakże pragnęła do nich dołączyć.

Odwiedzić te miasta, wyjechać za granicę, tam, gdzie człowiek, który przelał swą wiedzę na karty tej księgi, na pewno jeszcze żyje.

To on odkrył, że krew w ludzkim ciele można wymienić, że cienką rurką można wlać w chorego nową świeżą krew. Na razie wciąż bał się próbować tego na ludziach, ale księga zawierała szkice wielu innych niewiarygodnych operacji.

Johanna zadrżała z napięcia i tęsknoty.

Gdzieś głęboko w brzuchu tętnił puls głuchymi zachęcającymi do działania uderzeniami. Dłoń spoczywająca na piersi Benjamina pogładziła jeszcze raz rozgrzane małe ciało, a potem wsunęła się pod jej własną brodę.

Czuła się, jakby miała w sobie powołanie, takie jak kobieta, która chce iść do klasztoru, jak święta, jak oblubienica Chrystusa.

Ravi odszedł. Tym razem ona nie będzie już za nim tęsknić. Ani razu nie przyłapała się jeszcze na tym, że niespokojnie wygląda na fiord w poszukiwaniu łodzi.

On już nigdy nie wróci.

Nie miała już nawet na to nadziei.

Bo ten straszny czyn, jakiego się dopuścił, ta potworność, tego Johanna nie mogła znieść ani wybaczyć.

Owszem, mogła żyć z jego słabościami. Jakoś by się im ułożyło, gdyby tylko bardziej się do nich przyzwyczaiła. To, że nie można mu ufać, że uciekał w góry, że chował się przed ludźmi... i że nie potrafił dokonać wyboru. Ale to, że rozwiązywał swoje kłopoty, przywołując mroczną stronę swych zdolności, tego nigdy, przenigdy nie zniesie.

Nie wtedy, gdy w grę wchodziło zabójstwo.

A już na pewno nie wtedy, gdy dotyczyło jego własnej krwi i kości.

To nieludzkie, pomyślała Johanna, czując, jak chłód ogarnia jej duszę.

Tego nie zniesie nikt. Ani Bóg, ani kobieta.